ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ROK XVII. — OGÓLNEGO ZBIORU TOM LXVII.

TOM III. – ZESZYT I.

Lipiec.

WARSZAWA.

1892.

DRUK JANA COTTY, W WARSZAWIE.
29 Senatorska, 29

SPIS RZECZY.

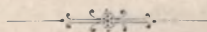
str.



Druk ukończono dnia 9 Lipca 1892 r.



STARA MAGIA
W NOWÉJ SZACIE.



W maju, r. b. jeden z dzienników warszawskich zamieścił następujące doniesienie: „W tych dniach wysłano z Warszawy do głównego Zarządu prasy podanie, celem uzyskania koncesyi na nowy tygodnik pod tyt. „Fenix,“ specyalnie poświęcony spirytyzmowi, hypnotyzmowi, magnetyzmowi i t. p. Spółka wydawnicza została już utworzoną.“ Następnego dnia inny dziennik warszawski doniósł z Berlina, że „znane *medium* spirytystyczne, Valeska-Toepfer, z powodu oszustwa w wykonywaniu swéj sztuki, skazana została na dwuletnie więzienie.“ Z bezpośredniego przekonania wiemy, że w Warszawie znajdują się zwolennicy spirytyzmu, szczególniéj tak zwane „*sensitivy*“ żeńskie. I otóż przyszło nam do głowy, że doniesienie o zamierzoném wydawnictwie tygodnika poświęconego spirytyzmowi i o zawiązaniu spółki wydawniczéj może zostawać w związku z propagandą spirytyzmu. Może też być, iż zamierzone wydawnictwo zechce walczyć z tém obłąkaniem umysłu, co nam się wydaje mniéj prawdopodobném, gdyż spirytyzm zaczyna u nas dopiéro kiełkować. Bądźcobądź, nie uprzedzając się jeszcze do owego tygodnika, będącego w zawiązku, chcemy pomówić o téj staréj magii, przebranéj w nowe szaty.

Chcąc postępować systematycznie, trzebaby zaraz z początku dać jaką taką definicyą magii wogóle; chociaż bowiem dodziśdnia jeżdżą po jarmarkach magicy, jednakże nie mamy podręcznika téj umiejętności czy też sztuki. Ale definicya taka niepodobna do wykonania dlatego, że tak starożytne ludy jak i nowożytne obejmują nazwą

magii najrozmaitsze objawy. Więc też można wymienić tylko przedmioty, któremi się ta umiejętność i sztuka zajmowały. A zatém wszelkiego rodzaju czarodziejstwo, demonomania, brzuchomówstwo, sympatyczne leczenie, wywoływanie duchów nieboszczyków, zgadywanie myśli, przepowiednie astrologiczne, poszukiwania kamienia czy proszku filozoficznego, i t. d. W nowszych czasach do tego szeregu dodano: magnetyzm zwierzęcy, spirytyzm, hypnotyzm, sugestyą, czyli poddawanie myśli zblizka i *actio in distans*, t. j. poddawanie zdaleka, czyli telepatyą, która niedawno pozyskała sobie i u nas roztelepane głowy. Otóż, jak widzimy, podać definicyą tego wszystkiego, jako jednéj scyencyi niepodobna: zawsze czytelnik tyle przynajmniéj rozumié, że mamy tu do czynienia z umiejętnością tajemniczą, inaczéj z okultyzmem.

Z długiego szeregu przedmiotów, stanowiących pole sztuk magicznych, należy wyłączyć tak zwany od czasów Mesmera magnetyzm zwierzęcy, zamieniony przez chirurga angielskiego Braid'a na dzisiejszy hypnotyzm. Zjawiska hypnotyczne, jak letarg, katalepsya, somnambulizm, badane są dzisiaj po klinikach szpitalnych przez lekarzy chorób nerwowych, którzy już nieco rozumieją te stany patologiczne i charakteryzują je jako coraz częstsze przypadłości newrozy. Dzięki dotychczasowym badaniom lekarzy specyalistów, zaczynamy teraz lepiéj rozumiéć przeróżne nadzwyczajności ze świata ludzkiego, jakie nam przekazały dzieje starożytne, średniowieczne, a po części i nowsze. Do czego badania hypnotyzmu i sugestye doprowadzą, jakie dadzą wyniki, o ile te wyniki będą mogły znaleźć zastosowanie w terapii, pedagogice, etyce, kryminalistyce, tego przesądzać nie należy. Podciągać całą sferę objawów hypnotycznych pod nazwę magii czy to białéj, czy czarnéj, świadczyłoby o grubéj nieznajomości tych badań naukowych, które są obecnie w pełnym rozwoju. My téż na razie zajmiemy się tylko spirytyzmem, który jest starą magią przebraną według paryzkiéj mody A. Kardec'a i najnowszych jego zwolenników.

Czém tedy jest spirytyzm? Zabobonem polegającym na przypuszczeniu, że z duchami tak jak z żyjącymi ludźmi możemy obcować. Spirytyzm w mniemaniu swoich uczonych i nieuczonych zwolenników ma zastąpić filozofią, religią a nawet fizykę, która z czasem wejdzie w fazę transcendentalną. Apostołami téj mądrości nad mądrościami są: A. J. Davis, A. Kardec, Güldenstubbe, Zölner, Crookes i inni. Podług nich, człowiek składa się z ciała, duszy niższéj czyli zwierzęcéj i duszy boskiéj, czyli wyższéj, która się za pomocą kolejnych wcieleń coraz bardziéj udoskonala. Śmierć jest odrodzeniem ducha,

który też po wyjściu z ciała prowadzi na tej lub owej gwieździe takie życie, w jakiem tu na ziemi smakował. Duchy mieszkają w pałacach z całym komfortem urządzonych, jeżdżą drogami żelaznemi, bywają w towarzyskich zebraniach, w teatrach, na koncertach i posiedzeniach kółek spirytystycznych. Stosownie do gwiazd, na których mieszkają, każdy trudni się czém inném. Dzięki duchowemu płynowi (*fluidum*), stanowiącemu niejako ich powłokę, te „spirytusy“ przenikają wszelką materyę, mogą się stać widzialnymi, można je wyczuwać, ważyć i t. p. Nie wszyscy jednak ludzie zdolni są do konferencyi z duchami; tylko niektórzy obdarzeni są tym przywilejem i takich-to właśnie pośredników między duchami a zwyczajnymi ludźmi nazywają *media*. Duchy tedy przez te media pukają, mówią, piszą, rysują i t. p. Jeżeli medium jest mądre, szlachetne, duchy też mądrze i szlachetnie gadają; jeżeli głupie, duchy też głupieją. Ukazują się one czasami duchowo, czasami cieleśnie, więc też spirytyści zdejmują z nich fotogramy i odciski. Wreszcie, tego co duchy już nawyrabiały, nie spisałby na dwóch wołowych skórach, a wszystko rzeczy jedne od drugich ciekawsze i cudowniejsze.

Teraz szczypta historyi. Jeżeli nie ogólną, to przynajmniéj pod względem spirytyzmu, prawdą jest, iż nic nowego pod słońcem. Wszystko to, co dzisiejszy spirytyzm dokazuje, znano już przed tysiącami lat i znają to nietylko uczeni, astrofizycy (Zöllner), lecz i czarownicy, zwłaszcza szamani dzisiejsi wśród najbardziéj upośledzonych plemion ludzkich. Dzieje mniemanych umiejętności okultystycznych świadczą, że w staréj Chaldei, Babilonii, u Persów, Żydów, Greków, Rzymian, w wiekach średnich i aż do naszych czasów nie brakło wywoływaczy duchów, którychto wywoływaczy zwano po grecku psychagogami. Oto jeden przykład z dziejów żydowskich. Wiadomo, że gdy Żydzi sprzykrzyli sobie rządy sędziów, Samuel wybrał im na króla Saula. Stary Samuel chciał ochmistrzować młodemu Saulowi, co się temu nie podobało i doprowadziło do wojny domowéj. Samuel umarł, a Saulowi źle się wiedzie, bo mu tamten zapowiedział, że go Pan odrzuci i dom jego. Żałując po niewczasie swojéj krewkości, Saul chciałby się jeszcze rozmówić z Samuelem, ale ten już był na tamtym świecie, a Filistyni na karku. Ze strachu rzecze tedy do sług swoich: „Szukajcie mi niewiasty, mającéj pythona i pójdę do niéj, a wywiem się przez nią.“ I rzekli słudzy do niego: jest niewiasta mająca pythona w Endor... i poszedł sam, a dwa mężowie z nim, i przyszli do niewiasty w nocy i rzekł jéj: wróż mi przez pythona, a wskrześ mi, kogoć powiem... I rzekła niewiasta do niego: kogóż ci mam wskrzesić? Który rzekł: wskrześ mi Samuela. A gdy ujrzała nie-

wiasta Samuela; krzyknęła wielkim głosem.... (*Regum*, I, XXVIII, 7—12). Potém nastąpiła konferencya między Saulem a Samuelem, „który był mąż stary, a w płaszcz ubrany“. Mamy tedy rozmowę z duchem, ale w płaszczu. Działo się to mniéj więcéj na lat 1050 przed naszą erą.

Czém więc jest spirytyzm? Albo oszukaństwem, albo chorobliwém na jawie złudzeniem. Jako złudzenie należy do grupy zjawisk psychopatologicznych, zwanych halucynacyami; jako oszustwo kwalifikuje się pod sąd kryminalny. Oto jeszcze przykład. Będzie temu z ćwierć wieku, gdyśmy w *Times*'ie czytali ciekawe zdarzenie z zakresu spirytyzmu. Pewien fotograf londyński, któremu źle szło rzemiosło, zwinął warsztat i został pośrednikiem między nieboszczykami a żyjącymi. Na téj saméj ulicy, co i *mister* Fox czyli *fuchs*, mieszkała wdowa staruszka, któréj nieboszczyk mąż zostawił parę tysięcy funtów. A że czule kochała swego starego, nie mogła się oswoić z samotnością i nieraz gorzko wyrzekała przed sąsiadkami na swoje sieroctwo. Kumoszki znające pana Foxa, jako psychagoga, zaleciły jéj żeby się go poradziła, azaliby nie raczył wezwać nieboszczyka męża na pogadankę. Stanęła ugoda; po pierwszym seansie, nastąpił drugi, trzeci; babinie się podobały te posiedzenia i byłaby je ciągnęła aż do śmierci, gdyby nie to, że się funty wyczerpały. Dopiéroż otrzeźwienie, dopiéroż lament. Policya wytropiła psychagoga, a sędzia urządził mu seans w kryminale.

Na schyłku wieku XVIII-go racyonalizm encyklopedystów przepłoszył nieco duchowidztwo, nie tyle jednak, żeby Mesmer i wielki kophta, hr. Balsamo Cagliostro nie mogli już znaleźć czcicieli. Trochę późniéj mamy jasnowidzącą z Prevorst (Fryd. Hauffe, † 1829); następnie w północnéj Ameryce zjawiają się duchy w stołowych nogach i około r. 1845 czynią najazd na Europę. Odtąd już z małemi przerwami kołaczą się to ciszéj, to głośniéj w obu tych częściach świata. W Indyach i Ameryce powstają towarzystwa teozoficzne, ex-pułkownik tamtejszy, Olcott, szczepi między chrześcianami buddyzm, układa katechizm dla neofitów, zatwierdzony przez arcykapłana buddyjskiego Sumangalę, przybywa mu do pomocy w apostolstwie pani Blavatzka. We Francyi Allan Kardec wydaje cały szereg pism, poświęconych spirytyzmowi, w Indyach angielskich pan Sinnet, a w Anglii szczególniéj Crookes, uprawiają naukowy spirytyzm. Naukowy spirytyzm! Czy to nie szyderstwo z nauki, którą Sinnet traktuje w r. 1883, jak dworską dójkę wobec jaśnie wielmożnéj dziedziczki, nowożytnéj magii! Tak więc spirytyzm, teozofizm, buddyzm, nietylko przetrwały tysiące lat, ale za naszych dni zaczynają bujać

daleko zuchwaléj niż dawniéj, dzięki poparciu i jakiemuś skołowaceniu ludzi, mających niejakie imię w nauce.

Ażeby skończyć z historyą dodajemy, że przed 30 laty bywały i w Warszawie seanse spirytystyczne, na których duchy nieboszczyków przemawiały do ciekawych przez stołowe nogi, kopiując odpowiedzi swoich amerykańskich i paryskich krewniaków. I oto doczekaliśmy drugiego wydania tych ciekawości, z tą różnicą, że wówczas posiłkowano się podręcznikami Kardec'a, a teraz mamy ujrzéć własne pismo tygodniowe uprawiające spirytyzm. Dziwić to znowu nie powinno tak bardzo, albowiem póki ludzi na świecie, póty będą oszuści i oszukiwani, a głupstwo ludzkie podobno jest większe, niż miłosierdzie boskie.

Jeżeli zaś tak ma być, o czém wątpię żeby ktoś wątpił, zachodzi pytanie, jakie są przyczyny tego zjawiska upokarzającego zarozumiałość ludzką? Zastanawiając się nad przyczynami spirytystycznéj choroby, uczeni tak je formułują. Mówią oni, że w człowieku leży nie dająca się prawie wygładzić dążność do nadzwyczajności (*le merveilleux*). Jakoż, postrzeżenie to jest prawdą. Zjawiska codzienne, z któremi się człowiek zżył, nie budzą jego ciekawości, chociaż ich nie rozumié. Cielę z dwiema głowami więcéj obchodzi i zaciekawia publiczność, niż cielę o jednéj głowie. Głodomór jakiś oblata wszystkie dzienniki kuli ziemskiéj, budząc więcéj ciekawości w czytającém pospólstwie, niż cały proces trawienia. Cmentarne ogniki większą przejmują trwogą nocnego wędrowca, niż zaćmienie słońca. Nieboszczyk ukazujący się bratu w hallucynacyi bardziéj przestrasza ludzi, chociaż go nikt nie widział oprócz owego brata, niż trzęsienia ziemi. Gdyby się nieboszczykowie częściéj ukazywali, spowszednieliby i granoby z nimi w winta, jak z dawno znajomymi sąsiadami. Otóż, to pragnienie cudowności, nadzwyczajności, to żywe interesowanie się faktami, na które w życiu naszém nie było kategoryi faktów podobnych, znanych, w któréjby się owe nadzwyczajne pomieściły i przez to wytłómaczone zostały, objaśniamy popędem do nowości. Wiadomo bowiem, że wrażliwość nasza przez ciągłe stykanie się ze zjawiskami tępieje; potrzeba nowego i przeczącego dotychczasowemu naszemu doświadczeniu wrażenia, ażeby uderzyło zmysły i umysł. Tak właśnie ma się rzecz z duchami; ukazują się one rzadko, a miliony ludzi nigdy ich nie widziały. Stąd ciekawość, strach, który ma duże oczy i widzi to, czego inni nie widzą, i słyszy, czego inni nie słyszą.

Daléj, zauważono, iż ludziom zdrowym na ciele i umyśle duchy się nie pokazują. Człowiek taki po wytężonéj pracy, umiarkowanym i zdrowym pokarmie prześpi noc całą i nietylko duchów nie widzi we

śnie, ale nie ma żadnych zgoła widzeń. Na jawie także ich nie widuje, albo tylko w hallucynacyi, która jest wynikiem bądź fizycznej choroby, bądź mocnych wzruszeń moralnych. Mówimy wtedy, że są to zjawiska subiektywne, których doświadcza pacyent, ale niedostrzegalne dla otaczających. Gdy się one powtarzają, dowód to, że się w głowie człowieka coś psuje i należy go oddać w ręce rozumnego psychiatry.

Jedną z najgłówniejszych przyczyn objawów spirytystycznych, o ile nie są sztuką kuglarską, jest gruba nieznajomość praw przyrody. Gdyby spirytýści byli iletyle obeznani z fizyką, chemią, psychologią i patologią umysłu, prawdopodobnie nie poszukiwaliby ani „fluidu“ płynącego z kończyn palców magnetyzera, ani „ciała astralnego“ w które się duchy oblóczą jadąc na pogadanki z ludźmi, ani „wyższego wzroku duszy — *second sight*“, — ani „czwartego wymiaru przestrzeni.“ Wszakże trzeba dodać, że gdyby prawa przyrody znali, rozumieliby, że „duch ciała i kości nie ma“ i niezawodnie przestaliby się zajmować spirytyzmem. Politurowany głupiec słoniem się nie udawi. Z historyi znowuż dowiedzieliśmy się, że sztuki ich znane były od wieków, a co najmniej od czasu, gdy człowiek pierwszy raz rozdwoił się i niejako rozpołowił na ciało i duszę. Etnografia nauczyłaby ich, jak spirytyzm do dziś dnia stanowi całą mądrość szamanów i wszelkiej nazwy czarowników między najnędzniejszemi plemionami ziemi.

Nie małą pomocą w szerzeniu się spirytystycznego obłąkania jest powszechna do dziśdnia wiara w istnienie demonów, upiorów, zmór, gnomów, koboldów, wiedźm, strachów i duszków, któremi nianie, mamy, ciocie, babcie nabijają młodziutkie główki, strasząc je, bawiąc i do snu kołysząc. Nazywa się to poezyą ludową, najbardziej podobno przydatną do zajęcia wyobraźni dziecinnej. Ztąd też, gdy się zjawi kuglarz, brzuchomówca, spirytysta, psychagog, wróż, cygan obieżyświat, znajduje w społeczeństwie grunt umysłowy, przygotowany pod swój zasiew. Nie tępiono zielska spirytystycznego przez porządną naukę, zrosło się ono z umysłem tak mocno, że go w późniejszym wieku żadną gracą nie wydrzesz. Bo i na cóż zresztą pozbawiać człowieka złudzeń a twórczą fantazyą poetów przedmiotu do nieśmiertelnych arcydzieł!

Są i tacy, którzy utrzymują, że teraźniejszy spirytyzm jest reakcyą przeciw materyalizmowi zarówno teoretycznemu jak i praktycznemu. Kiedy, mówią, Büchner, Moleschott, Czolbe i inni metafizycy materyalistyczni zredukowali ducha ludzkiego do odrobiny fosforu, a społeczeństwa zapasione i przesycone słodkiemi owocami in-

dustryalizmu, ugrzęzły po uszy w sybaryckiém eldorado; wtedy to i duch dopomniał się o swoje prawa, ale uprzedmiotawiając się już nie w dziełach piękna, prawdy i dobra, lecz w astralném ciele i w stołowych nogach: czém kto grzeszy, na tém bywa karany.

Może w tém twierdzeniu jest okruszyna prawdy; nietyle jednak, ile jéj widzą obrońcy praw ducha, spirytyści bowiem z wyjątkiem jakiegoś Zöllnera, o ruchu umysłowym naszego wieku mało wiedzą, a zatyłe w dobrobycie społeczeństwa tak w starożytności jak i w naszych czasach najmniéj o duchu myślą. Nie chcemy przecież w zupełności odmawiać względnéj prawdy owemu twierdzeniu, uzupełniając je o tyle, że teoretyczny materyalizm pobudził uczonych do gruntowniejszego badania zjawisk umysłowych i psychologią sprowadził na drogę doświadczalną.

Jak pośród dzieci i bab kruchcianych wiara w duchy i strachy utrzymuje się przez ustne opowiadania, tak znów pośród czytającego nawet po francusku pospólstwa krzewili ją i krzewią powieściopisarze i poeci. W starożytności Homer, w średnich wiekach Dante, w naszém stuleciu mistycy-romantycy. Różnica między duchami starożytnymi a spółczesnymi ta jednak zachodzi, że gdy tamte, by się stać widzialnemi pijały krew baranią i czerstwiéj wyglądały; teraźniejsze po herbatce i lodach okrutnie wyschły, zwyczajnie jak mary. Ulisses wałęsając się po morzach, przybił do brzegów cymmeryjskich i tam przed czeluścią wiodącą do hadesu składa ofiarę nieboszczykom:

„A gdym tak cienie zmarłych przebłagał w pokorze, Onym owcom ofiarnym podciąłem gardziele, I krew w ten dół ściekła. Wnet duszyczek wiele Tam się złazić poczęło z erebu otchłani: Młode pary, toż starce latami złamani; Panieneczki miłością młodocianą strute; Widma dzielnych witeziów, oszczepami skłute... Cały ten tłum do dołu ciśnie się i roi... Sam zaś dobywszy miecz mój wyostrzony, wysunąłem się broniąc marom nieboszczyków krwi téj lizać...“ [1]). Oto przynajmniéj realistyczny obraz; cienie krew liżą, gdyż bez tego posiłku mówić nie mogą, tak są nikłe i rozwiewne. Teraźniejszych duchów rzadko kiedy szkło fotografa uchwyci. Zdenerwowane zdechlaczki płci obojéj nie dostarczają już takich widm rumianych jak przeanieleni greccy rozbójnicy. Gdyby się duchy nie pokazywały w głośnych poematach, na scenach teatralnych i w cudownych powieściach, prawdopodobnie mniejby ich było na świecie, a pani Valeska-Toepfer nie zeznawałaby przed sądem w Berlinie (Maj 1892), iż posiada siły nadprzyrodzone i jest w możności komunikowania się z duchami.

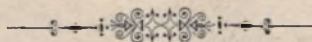
---

[1]) Odyssea, XI; tłom. Siemieńskiego.

Już-to duchy bywają pocieszne, jak np. duch pewnego dobosza francuskiego, zmarłego w 1751, którego duchowy sobowtór bębnił Marsyliankę, znaną dopiéro od r. 1792. Takich cudów pełno w rocznikach spirytystycznych. Żeby spółka naszych spirytystów chciała swoim nakładem wydać na nowo Młot na czarownice i Diabła w swojéj postaci, byliby jéj wdzięczni bibliomani, a publika miałaby niezrównaną uciechę. Książki to już rzadkie i nakład wróciłby się z procentem, bo atmosfera jakoś do demonomanii bardzo się nadaje: jesteśmy już na poły zahypnotyzowani.

Dobrze to jest i wcale łatwo żartować sobie ze spirytyzmu, mówią spirytyści, ale przecież są rzeczy, o których się filozofom nie śniło a w seansach spirytystycznych biorą udział nietylko czeladnicy kunsztu nadziemskiego, lecz i majstrowie, majstrowie nielada. Oto panowie Zöllner, Crookes, Sinnet, Lombroso i mniéj głośći a coraz liczniejsi, odbywają uczone, jak naturalista Pliniusz mówił, *umbrarum inferorumque colloquia.* Pisząc o seansach Lombrosa, pewien tygodnik warszawski (9 Stycznia 1892) z poważną miną sensata radził swoim czytelnikom, żeby się na seryo rachowali ze spirytyzmem, bo na posiedzeniach ukazują się latające płomyki. Miałażby 35-letnia panna Eusapia Palladino, będąca medium Lombrosa, mieć na sobie tak jak Valeska-Toepfer, pod zwierzchnią suknią, inną suknię napuszczoną fosforem? Nie dziwmy się niczemu; niejednego uczonego męża wodzą za nos żeńskie media i sensitivy. Mając do czynienia ciągle z waryatami, najtrzeźwiejszy lekarz może chwilowo bredzić. Głód cudowności ludzie najrozmaiciéj zaspakajają.

Jeżeli zatem nawet ludzie gruntownie uczeni wpadają w sidła spirytyzmu i nie jako obserwatorowie człowieczéj nędzy, lecz jako współdziałacze biorą udział w nienaturalnych doświadczeniach, możnaby to zjawisko tymczasowo tłómaczyć sobie osobliwą strukturą ich mózgu. Rzeczywiście, zdarzają się umysły, którym nie wystarcza wyjaśnienie faktu z przyczyn dostępnych badaniu, które koniecznie zawracają do mniemanych głębin transcendentalnych. A ponieważ wielu faktów jeszcze nie umiemy rozumowo wytłómaczyć; ztąd gonienie za nieznaném i niepoznawalném. Wobec takiego stanu wiedzy ludzkiéj, uczeni dobrego kalibru powiadają: idźmy śmiało naprzód i czekajmy. Póki człowieka na ziemi, póty umysł jego będzie miał przed sobą zagadki do rozwiązywania. *K.*





POCZĄTKI WARSZAWY. *)

I.

Epoka historyczna danego obszaru zaczyna się z chwilą, gdy osiadła na nim ludność dochodzi sama, czy z obcą pomocą, do zorganizowania swéj zbiorowéj działalności i wytworzenia instytucyi, umożliwiających wspólną obronę, wymianę produktów pracy, wymiar sprawiedliwości, rozdział zajęć i obowiązków społecznych, wreszcie wyższe stopnie duchowego życia.

Moment ten dla całego terytoryum, zajętego przez plemiona polskie, przypada stosunkowo późno, na wiek X-ty, o wiele późniejszym jeszcze jest on dla téj części ziemi polskiéj, która otoczona zewsząd błotnistemi przeważnie dolinami wielkich rzek, pokryta bagnistą puszczą, stanowiła jakoby wyspę, do wnętrza któréj nie mogła się długo przedostać kultura, ogarniająca przyległe obszary.

Południową granicę téj wyspy, obejmującéj około 200 mil kw. (w przybliżeniu), stanowi Pilica, zachodnią, na lewém dorzeczu Wisły, Bzura, na prawém zaś Narew, północną—Bug, od wschodu oblewa ją Liw i osłaniała puszcza płaskowzgórza łukowskiego, Wieprz zaś odgranicza od południo-wschodu. Przez środek niemal téj „wy-

*) Praca niniejsza oparta jest przedewszystkiém na dokumentach, jakie mieszczą Kod. dypl. Muczk. i Rzyszcz., Kod. Wielkopolski Zakrzewskiego, Kod. Małop. Piekosińskiego, Kod. Mazow. Lubomirskiego, Kodeks czerwiński (rękopis), przy którym użyczył mi swej łaskawéj pomocy prof. Przyborowski, Dokum. Kujaw. i Mazow. Ulanowskiego, Księgi sądowe ziemi czerskiéj Lubomirskiego, „Lites“ Działyńskiego, tudzież prace Kozłowskiego, Sobieszczańskiego, Wejnerta, Bartoszewicza (Kościoły warszawskie), Dunina (Prawo mazowieckie).

spy“ przerzyna się Wisła, łukiem wygiętym ku półn.-wschodowi, zmieniając swój kierunek północny na zachodni i zachodnio-północny. Tu właśnie przyjmuje ona swe najważniejsze dopływy, prowadzące wody pasa środkowych nizin: Pilicę i Bzurę z lewego brzegu, Wieprz, Narew z Wkrą i Bugiem (Liwem) z prawego brzegu.

A jednak, pomimo niedostępności tego obszaru, pomimo późnego rozwinięcia się na téj „wyspie“ wyższego stopnia kultury, samo fizyczne ukształtowanie w połączeniu z centralném położeniem, musi sprowadzić tu wytworzenie się ważnego ogniska ekonomicznego, politycznego i umysłowego, dla rozległego terytoryum, którego ludność znajdzie tu naturalny centr swego zbiorowego życia.

Ognisko to powstanie w punkcie wskazanym przez samo ukształtowanie fizyczne obszaru, tam, gdzie wielkie naturalne trakty lądowe, idące od południa ku północy, grzbietami wododziałów, Warty i Wisły (Warty—Pilicy), tudzież Bzury i Wisły, schodzą się z bocznemi traktami od wschodu, południa i zachodu, także biegnącemi po liniach wododziałów, by wraz z nimi przekroczyć Wisłę i na jéj prawym brzegu rozdzielić się na kilka kierunków. Gwiazda naturalnych dróg lądowych i nieregularna gwiazda zbiegających się dróg wodnych, mają swój środek w punkcie, który zajęła Warszawa.

Późniejsze drogi sztuczne: szosy i koleje żelazne nie wiele odstąpiły od kierunków wskazanych przez warunki orograficzne. Koléj warszawsko-wiedeńska przeprowadzona została grzbietem wododziału Pilicy i Warty, drogi żelazne, rozchodzące się z Pragi czterema promieniami, również trzymają się, z małemi zboczeniami, niezbyt wydatnych linii działów wodnych śród zbliżonych dorzeczy Wisły, Narwi i Bugu.

II.

O zaludnieniu, stosunkach plemiennych i stopniu kultury na obszarze między Wisłą a Pilicą, w dobie przedhistorycznéj (do końca XII w.), świadczą nam jedynie nazwy miejscowości i nieliczne wykopaliska. Rzymski pieniądz z epoki cesarstwa, znaleziony w warstwie gliny, w głębokości 3 metrów, przy prowadzeniu robót kanalizacyjnych w pobliżu rogatek belwederskich [1]), wykopalisko monet rzymskich (ces. Adryana) w Izdebnie (powiat błoński) i monet angielskich z XI w. pod Kaskami (w pobliżu Izdebna), przekonywują, iż trakty lądowe, przecinające Wisłę pod Warszawą, istniały już w odległych

[1]) Zachowany w zbiorach magistratu warszawskiego.

wiekach. Cmentarzyska przedhistoryczne, rozkopane w Raszynie (1852 r.), w Książenicach (1856), Izdebnie, Skierniewicach (1860), urny znalezione przy budowie pałacu belwederskiego (1823) i tarasu zamkowego, cmentarzyska okolic Pragi (Tarchomin, Targówek, Grochów) zbadane w ostatnich dwudziestu latach, stwierdzają dawność osad ciągnących się po obu brzegach Wisły i rozproszonych wzdłuż traktów lądowych.

Rzecz naturalna, iż brzegi Wisły, tudzież jéj głównych dopływów, były siedliskiem najdawniejszych osad i najstarszéj kultury, na zajmującym nas obszarze.

Nazwy najważniejszych z pomiędzy starych osad nadwiślańskich, na przestrzeni między ujściem Bzury i Pilicy, pozwalają przypuszczać, iż założycielami ich byli przybysze z wybrzeży dolnéj Wisły—Pomorzanie. Ruch kolonizacyjny w kierunku ku wschodowi istniał już w epoce przedhistorycznéj. Emigracya ta, pozbawiając zachodnią Słowiańszczyznę najdzielniejszych jednostek, ułatwiała podbój niemiecki. W państwie piastowskiém, w rycerstwie epoki bolesławowskiéj, zgromadziły się zapewne najlepsze siły nadelbańskich i nadodrzańskich plemion. Śmiali osadnicy i żeglarze pomorscy posuwali się dolinami Wisły i Narwi, przynosząc ze sobą wyższy stopień kultury, cechujący Słowian nadbaltyckich.

Z pobliskich Warszawie osad nadwiślańskich najważniejszemi i najdawniejszemi zarazem są: Czersk, jako centr polityczny i Czerwińsk, jako ognisko religijne. Te same nazwy spotkamy i to kilkakrotnie, jedynie na obszarze dawnego Pomorza nadwiślańskiego. Czerwińsk jest nazwą dwu osad w pow. kwidzyńskim i słupskim, a Czersk ukazuje się trzykrotnie w pow. bydgoskim, chojnickim i słupskim. W pobliżu Czerska nad Brdą, niedaleko ujścia jéj do Wisły, wznosił się dawny bardzo gród Wyszogród, którego nazwę spotkamy téż w Wyszogrodzie nad Wisłą (w pobliżu Czerwińska). Śród drobniejszych osad otaczających Warszawę znajdujemy Tarczyn, noszący nazwę wsi pow. brodnickiego, Płochocin (starożytna wieś w pow. błońskim), którego nazwę nosi jedna tylko również stara wieś w pow. świeckim, Tarchomin (za Pragą), występujący w nadaniu bisk. pruskiego Chrystyana, Radzymin powtarza się w ściągniętéj formie Radzmin, w nazwie wsi pow. tucholskiego. Iłów (pod Sochaczewem) nosi nazwę osad pow. złotowskiego, niborskiego, nieszawskiego. Z dalszych po Mazowszu rozsianych starożytnych osad spotykamy Serock, powtarzający się jedynie w pow. świeckim, Raciąż sierpecki, którego miano noszą starożytne osady w pow. nieszawskim i tucholskim. Daleko bardzo w górę Wisły sięgnęła nazwa Nieszawa,

którą spotykamy pod Toruniem, w kujawskiéj osadzie nad Wisłą, w Wielkopolsce (pow. obornicki) i pod Józefowem lubelskim nad Wisłą. Warszewice nadwiślańskie (naprzeciw Czerska) powtarzają się w nazwie wsi pow. toruńskiego. Arciechów nad Narwią (pow. radzymiński) i drugi nad Wisłą (pow. sochaczewski), tudzież Arciszewo pod Wyszogrodem (pow. płocki), mają jedyną pokrewną co do nazwy we wsi Arciszewo w pow. gdańskim. Do téj grupy należy téż stare targowisko nad Bugiem: Zuzela. Nazwa Warszawa (Warszowa), pochodząca zapewne od pomorskiego imienia Warcisław, ma całą grupę pokrewnych nazw w pow. wejherowskim, toruńskim, nizinnym (nad Bałtykiem — Prusy wschodnie). Płock również, pokrewne etymologicznie nazwy, posiada w osadach pow. kościerskiego, wałeckiego, złotowskiego, chodzieskiego (Płocice, Płociczno, Płociska). Nazw tych nie znajdujemy w Małopolsce (z wyjątkiem Czerska, drobnéj osady w pow. opoczyńskim i drugiego koło Kowla), towarzyszą one wybrzeżom Wisły i jéj głównych dopływów, po ujście Pilicy. Starożytność tych osad i ich znaczenie (grody dawne lub targowiska) wskazuje, iż osadnicy pomorscy, choć nie byli może pierwszymi i wyłącznymi mieszkańcami tych stron, to pierwsi przynieśli tu zawiązki wyższéj kultury i posiedli przeważny wpływ na nieliczną zapewne i mało rozwiniętą ludność, tułającą się po leśnych obszarach.

O ile najważniejsze (strategiczne i handlowe) osady noszą piętno pomorskiego początku, to znowu nazwy z końcówką *ice*, cechującą małopolskie pochodzenie, są późniejszemi widocznie pastersko-rolniczemi wsiami, rozłożonemi przy traktach biegnących z Małopolski przez Pilicę na północ i schodzących się u przeprawy przez Wisłę pod Warszawą. Nazwy te częste na obszarze między Pilicą a lewym brzegiem Wisły nie pojawiają się prawie wcale na prawym brzegu Wisły. Wielkopolska przeważnie forma nazw na „*ino*“, rzadziéj się pojawia na tym obszarze. Obok mazurskich wybitnie nazw: Opypy, Pęchery, Dańki i późniejszych z końcówką *izna* (głównie na prawym brzegu Wisły), spotykamy liczne nazwy ogólno-polskie, jak: Białołęka, Kamień, Grochów, Brudno (Brodno) i t. p. Pomimo napływu niemieckich, prusko-litewskich osadników, pomimo iż na dworach książąt mazowieckich spotykamy litewskie i ruskie księżniczki, jako małżonki, niemieckich kapelanów i rycerzy, nazwy miejscowości czysto polskie świadczą, iż przybysze szybko utracali swe plemienne odrębności i stanowili niewielki procent w stosunku do miejscowéj ludności.

III.

Nie znamy dotąd ni dokumentów, ni świadectw rocznikarskich, któreby rzucały światło na stan zajmującego nas obszaru, przed upływem wieku XII-go. Obszar ten, jakkolwiek zależał politycznie od państwa piastowskiego, zostawał jednak w luźnym bardzo związku z organizmem państwowym. Wschodnia linia kasztelanii, ciągnących się brzegami Bzury i Narwi, zostawiała terytoryum między Bugiem i Pilicą na pastwę Litwinom i Jadźwingom. Dziś na téj przestrzeni (łącznie z Warszawą) mieszka około miliona ludzi, na początku obecnego stulecia znajdowało się z Warszawą około 300,000 głów (1,200 na 1 milę), w pierwszych zaś latach XIII-go wieku można z wielkiém prawdopodobieństwem przyjąć stosunek 100 do 150 dusz na milę kwadr., a więc 20,000 do 30,000 na całe terytoryum.

Nieliczna ludność, żyjąca przeważnie z przemysłu leśnego, niechętnie dźwigała brzemię narzucanych jéj ciężarów państwowych, nie otrzymując w zamian skutecznéj osłony od najazdów. Ucisk urzędników i służby książęcéj na pograniczu, tak odległém od centrów władzy państwowéj, przyczyniał się téż niemało do obudzenia w mieszkańcach wstrętu i oporu ku zaprowadzanym porządkom, nowéj wierze i kulturze. To téż przy uposażaniu kościołów i klasztorów książęta piastowscy nie nadają do końca XII w. dochodów z obszaru między Bugiem a Pilicą. Chrześciaństwo dostało się tu niewątpliwie późno bardzo (może na początku XII w.?). Zorganizowanie kościelne tych stron przeprowadzone zostanie dopiéro w XIII w. Wprowadzenie porządków państwowych nastąpi także w tym czasie. Do końca XII w. utrzymują się tu niewątpliwie pierwotne urządzenia, których szczątki tak długo się przechowały w pobliskiéj Jedlni (śród puszczy kozienickiéj), w starostwie przasnyskiém i u Kurpiów w ostrołęckiéj puszczy.

Wymowném świadectwem zarówno małego znaczenia politycznego zajmującego nas terytoryum, jak i niskiego stopnia istniejącéj tu kultury, wreszcie różnoplemienności napływających tu osadników, jest brak nazwy ogólnéj dla ziemi i ludzi. Nie jest-to część Mazowsza, bo nie sięga tu władza biskupa płockiego (mazowieckiego pierwotnie) i książęta mazowieccy odróżniają w swych tytułach obszar ten od Mazowsza, nie jest-to również Małopolska, choć granice ziemi sandomierskiéj i dyecezyi krakowskiéj sięgają po za Wieprz, po Łuków. Łęczycka ziemia i Kujawy nie rozciągały swych terytorów tak daleko ku wschodowi. Kościelnie i politycznie jest-to bezimienny anneks

Wielkopolski, wchodzący niewątpliwie w skład państwa Piastów już w X-ym wieku.

Przypuszczenie to stwierdza fakt zależności kościelnéj tego obszaru od biskupów poznańskich. Brak wszelkich świadectw, tradycyi nawet, odnośnie do początku i przyczyn téj zależności, każe odnosić sam fakt do najodleglejszéj przeszłości, do czasów, w których biskupstwo poznańskie ogarniało całą Polskę piastowską. Gdy w ciągu XI w. powstawały kolejno: arcybiskupstwo gnieźnieńskie, biskupstwo kujawskie i mazowieckie, gdy następnie w pierwszéj połowie XII w. nastąpiło rozgraniczenie dyecezyi, wtedy przy wykrawaniu z obszaru, poddanego pierwotnie biskupom poznańskim nowoutworzonych dyecezyi, lesiste, nieludne i pod względem kościelnym zaniedbane terytoryum między Bugiem i Pilicą, pozostawiano jako niepożądany nikomu skrawek, przy dawnych zwierzchnikach kościelnych, nie wiele sobie robiących zachodu z opieką duchowną nad tą ludnością nieuległą, pogańską może w większéj części.

Przy rozdziale państwa po zgonie Krzywoustego obszar ten, jako dodatek do Mazowsza, dostał się Bolesławowi Kędzierzawemu, który w ciągu swoich rządów († 1173) nie wiele zwracał uwagi na nieludne, po macoszemu traktowane terytoryum. Syn jego, Leszek, odziedziczywszy po ojcu Mazowsze z Kujawami, musiał przy swych stosunkach z władnącym w Brześciu Wasilkiem i otrzymanym po nim zwierzchnictwie nad Podlasiem, zwrócić uwagę na polityczne i strategiczne znaczenie linii Wisły i Bugu. Stopniowo zapewne rozwijała się w umysłach książąt ówczesnych myśl o potrzebie zorganizowania politycznego i kościelnego tego obszaru, który ze względu na zbiegające się tu ważne drogi wodne i lądowe, posiadał wielkie znaczenie dla dalszego rozwoju akcyi politycznéj, wytkniętéj zajęciem Podlasia.

Zadanie to podjął i wykonał w ciągu długoletniego panowania Konrad, syn Kazimierza. Wskutek układu z bratem Leszkiem objął on rządy Mazowsza w 1199 r. i sprawował je do 1247 r. Dziejopisarze polscy, widzący w nim władzcę, który sprowadzeniem Krzyżaków dał początek rozwojowi zgubnéj dla kraju potęgi, nie zwracają uwagi na inne strony jego rządów, pomijają milczeniem organizatorską pracę na obszarze, który w trzy wieki potém stanie się centrem rzeczypospolitéj.

Tymczasem dopiéro bliższe poznanie zasług energicznego księcia ukazuje nam w odmienném świetle fakt sprowadzenia Krzyżaków, zostający w związku ze sympatyami Konrada dla niemieckiéj kultury, którą posługuje się w swéj cywilizacyjnéj i polityczno-kościelnéj dzia-

łalności na obszarze Mazowsza i występującéj na widownię dziejową ziemi czerskiéj.

IV.

Różnice w pochodzeniu i stopniu kultury napływowéj ludności, zajmującéj obszar między Bugiem a Pilicą, w związku z różnicami fizycznych warunków tego terytoryum, sprowadzić musiały rozmaitość praw zwyczajowych i urządzeń w pojedyńczych grupach, czy kategoryach osad. Na żyznym pasie po obu brzegach Pilicy i w klinie, jaki tworzą schodzące się koryta Pilicy i Wisły, istniały już wcześnie wsi pastersko-rolnicze, zaś śród rozległych puszcz (Kampinoska, Jaktorowska), zalegających przestrzeń między prawym brzegiem Bzury i Wisłą, tudzież prawy brzeg Wisły, utrzymywały się długo zapewne pierwotne leśne osady z odrębnemi warunkami bytu i urządzeniami, wreszcie wzdłuż brzegów Wisły, Narwi, a po części i Bugu, ciągnęły się grody, targowiska, osady rybackie, przewoźnicze i wsi, oddające się hodowli koni i bydła, a po części i rolnictwu.

Możnaby dopatrywać się związku między temi trzema grupami osad, a dokonanym, przez Konrada niewątpliwie, rozdziałem całego obszaru na trzy kasztelanie: sochaczewską, rozciągającą władzę swą nad osadami leśnemi puszcz Kampinoskiéj i Jaktorowskiéj; skrzyńską, ogarniającą grupę wsi nadpilickich i czerską, władnącą osadami po obu brzegach Wisły. Mała część prawego dorzecza Bzury (okolice Skierniewic) należała do dyecezyi gnieźnieńskiéj i kasztelanii łowickiéj, a znowu zachodnia połowa międzyrzecza Wisły, Narwi, Bugu wchodziła w skład dyecezyi płockiéj i zależała zapewne od kasztelanii wyszogrodzkiéj. Kasztelan sochaczewski występuje już w akcie z 1221 r., a wszystkie trzy kasztelanie wymienia dokument Konrada z 1231 r. (Kod. Wielk., N. 132).

Z trzech grodów naszego obszaru najważniejszym jest w tym czasie Czersk. Najdaléj wysunięty ku wschodowi, położony nad Wisłą, oparty o najludniejszą i najżyzniejszą część całego terytoryum między Pilicą a Wisłą, stanowił on zapewne już za Leszka ważny punkt oparcia w wyprawach podlaskich. Gród ten jest puklerzem osłaniającym osady brzegów Wisły i rolnicze wsi nadpilickie, a zarazem składem soli i targowiskiem, na którém ludność puszcz prawego brzegu Wisły wymienia swe leśne produkty na owoce pracy rolniczéj lewego brzegu. Obok grodziska stoi tu dworzec książęcy, w którym pojawi się wkrótce cały szereg dostojników nowo utworzonéj ziemi czerskiéj. Miro, kasztelan czerski, występuje 1236 r., Albert, woje-

woda w 1246 r. (Kod. Wielk. 597). Konrad nie włącza jeszcze ziemi czerskiéj do swego tytułu, ale syn Konrada, Ziemowit pisze się już 1249 r. *„Dux Mosovie et dominus de Chirnisce“* lub: *„Dux M. et Chyrnensis.“*

Najdonioślejszém z przekształceń, jakie za rządów Konrada i z jego przeważnie inicyatywy zaszły na zajmującym nas obszarze, było wprowadzenie własności ziemskiéj prywatnéj, zabezpieczenie jéj od samowoli urzędników książęcych i ściągnięcie korzyściami, jakie przedstawiała ta nowa forma posiadania, ludności napływowéj, która weźmie się z zapałem do trzebienia puszcz i zakładania osad.

Dawne prawo zwyczajowe nie wystarczało zapewne do uregulowania stosunków, wynikających z wprowadzenia nowéj formy własności, ztąd Konrad, idąc za przykładem książąt wielkopolskich, posiłkuje się prawem niemieckiém, które częściowo czy w całości nadaje dawnym lub nowo zakładanym osadom. Władysław ks. Kaliski już w 1210 r. dając pewien obszar w okolicy Przemętu na uposażenie klasztoru Cystersów, pozwala osadzać wsi i targowiska ludnością polską i niemiecką, na prawie niemieckiém (*teutonicali jure et libertate*); 1232 r. otrzymują Templaryusze poznańscy prawo osadzenia wsi Koźmin na prawie niemieckiém. Tenże sam przywilej dla posiadłości koło Nakła otrzymuje 1233 r. klasztor lubiąski. Konrad mazowiecki współcześnie wprowadza te urządzenia na Mazowszu.

Paprocki (Herby, 405) przytacza nadanie Konrada z 1224 r. dozwalające Warcisławowi, marszałkowi dworu, przenieść wsi w ziemi ciechanowskiéj: Ślepowrony, Strachowo, Drozdzino i Wolę z prawa polskiego na niemieckie. Jeżeli ten dokument nie jest sfałszowanym, to niewątpliwie mylnie odczytał Paprocki datę i akt pochodzący od Konrada II († 1294) cofnął o pół wieku conajmniéj [1]). Jednakże w tym czasie prawo niemieckie musiało już być wprowadzone wraz z niemieckimi osadnikami do niektórych osad nadwiślańskich. W najdawniejszych aktach nosi ono nazwę „niemieckiego“ (*theutonicale*), późniéj dopiéro przybiera miana: magdeburskiego, chełmińskiego, średzkiego.

W akcie, tyczącym się założenia nowego miasta w Płocku, wydanym 1237 r. przez biskupa Piotra, powiedziano: *„omnes habitatores civitatis sive Theutonicos sive Polonos iudicet scultetus“*.

Na dokumencie z 1239 r. wydanym w Troszynie (gostyńskie)

---

[1]) Przeciwko pochodzeniu aktu z czasów Konrada I przemawia zarówno tytuł jakiego tenże nie używał (*dominus et haeres plocen., cernen., raven.*) jak i wspomniana w liczbie wsi Wola.

podpisał się „*Conradus scoltetus de Dobrin.*“ Ciekawy wielce akt uposażenia kościoła parafialnego przez Konrada, w 1244 r. [1]), wspomina o dziesięcinie z łanów wójtowskich. Ziemowit nadaje 1254 r. prawo niemieckie dla osiedlających się w dobrach biskupa płockiego, pozwala wybiérać wedle upodobania, prawa pewnéj prowincyi lub miasta. Dopiéro w jakiś czas po urządzeniu Chełmna przez Krzyżaków (1233 r.), miasta nadwiślańskie i wogóle mazowieckie będą otrzymywać nadania prawa chełmińskiego.

V.

Organizacya kościoła w Polsce dokonywa się bardzo wolno. Dopiéro w pierwszéj połowie wieku XII następuje rozgraniczenie dyecezyi i urządzenie kapituł. Tworzeniu parafii stoi na przeszkodzie brak księży świeckich i materyalnego poparcia ze strony ludności. Przy grodach i targowiskach spotykamy wszędzie małe i ubogie kapliczki, obsługiwane przez kapelanów książęcych lub nawiedzających je od czasu do czasu zakonników.

Pierwsze parafie pojawiają się przy grodach, w dobrach biskupich i klasztornych. Zarówno kolegiaty jak klasztory obywają się małemi kaplicami. Klasztory mieszczą się w samych grodach (Tyniec, Sieciechów, Płock). Dopiéro przy końcu XII w. zaczynają wznosić się okazalsze świątynie (Sandomierz, Łęczyca), i w miarę wzmagania się uczuć religijnych występują w ciągu XIII w. liczniejsze fundacye klasztorów i kościołów.

Na obszarze między Bugiem i Pilicą proces przyswojenia uczuć i pojęć religijnych i wiążąca się z nim organizacya kościoła przedstawia przynajmniéj półwiekowe opóźnienie odnośnie do Wielkopolski a nawet i Mazowsza właściwego.

Odbywające się na tym obszarze na początku XIII w., przekształcanie stosunków przez szerzącą się uprawę roli i wytwarzanie własności ziemskiéj prywatnéj, sprzyja zorganizowaniu kościelnych instytucyi. Około 1220 r. Konrad wydaje nakaz płacenia dziesięcin arcybiskupowi i biskupom. Dziesięciny oddawane dotąd w skórach kunich lub popielic, zostają zamienione na snopowe. Centrem kościelnym staje się najważniejszy gród i targowisko zajmującego nas obszaru — Czersk. Przy grodzie tutejszym stoi zdawna kaplica p. w. św. Piotra, przy któréj, zapewne za Konrada, powstaje kolegiata złożo-

[1]) Akt ten podaje w przekładzie polskim tylko, Kornel Kozłowski w historyi Czerska dołączonéj do „Dziejów Mazowsza“ F. Kozłowskiego.

na z trzech prebend kanonickich. W 1252 r. istnieje już archidyakonat czerski w dyecezyi poznańskiéj; 1267 r. spotykamy Wiktora archidyakona. Przy targowisku czerskiém powstaje na początku XIII w. kościołek parafialny p. w. Wniebowzięcia N. P. Maryi, uposażony dziesięcinami 1244 r. przez Konrada.

Wsi wymienione w akcie uposażenia, leżą zarówno na prawym jak i lewym brzegu Wisły, rozmieszczone na rozległéj przestrzeni. Parafie pierwotne zapewne nie miały ściśle oznaczonych granic terytoryalnych, gdyż znaczne obszary leśne oddzielały od siebie grupy osad. Rozgraniczanie to najwcześniéj musiało nastąpić w parafiach obejmujących osady ciągnące się brzegami większych rzek. W pobliskiéj z Czerskiem Górze kościół par. istnieje już od 1253 r. Iłów posiada kościół od 1224 r., przy grodzie grójeckim (Grodziec) znajduje się w 1241 kaplica p. w. św. Mikołaja a przy niéj pleban. W Sochaczewie musiała już w XII w. istnieć przy grodzie kaplica, lecz kościół parafialny i klasztorny (Dominikanów?) wzniesione zostały w połowie XIII w. gdyż w 1257 r. Bogufał bisk. poznański pozwala biskupowi płockiemu poświęcić „dwa kościoły w Sochaczewie i dwa ołtarze w Błoniu." W 1222 r. odbywa się konsekracya kościoła w Trojanowie pod Sochaczewem. Jeżeli teraz biskupi poznańscy dla wielkiéj odległości wyręczają się biskupami płockimi, to w ciągu XII w. zapewne tém mniéj się troszczyli o duchowe potrzeby nielicznéj ludności odległego i ubogiego anneksu. Ztąd duchowieństwo dyecezyi płockiéj rozciąga opiekę nad zaniedbywanemi owieczkami i w zamian za swe trudy zyskuje nadania dóbr, dochodów i beneficyi kościelnych na obszarze podległym biskupom poznańskim. Kościół parafialny w Zegrzu nad Narwią otrzymuje (na początku XIII w.?), za uposażenie dziesięciny z całéj grupy wsi i osad otaczających późniejszą Warszawę i Sochaczew. Osadami temi były: Polików, Mościska (Powązki), Młociny, Wawrzyszew, Sochaczew, Czerwonka, Rybno, Rozlazłowo. Nadanie to pochodzić musi z czasów, gdy na obszarze późniejszéj ziemi sochaczewskiéj i warszawskiéj nie było ani jednéj parafii, podczas gdy brzegiem Narwi ciągnął się już, wraz z linią grodów, szereg kościołów.

Zasługa krzewienia i utrzymywania chrześciaństwa pomiędzy Bugiem i Pilicą w ciągu XII w. należy się klasztorowi czerwińskiemu, słusznie zwanemu w akcie ks. Grzymisławy z 1229 r. „*Sacrosancta mater ecclesia*,"

Kanonicy regularni św. Augustyna, obok Benedyktynów najstarsze ze zgromadzeń duchownych w Polsce, osiedli w Trzemesznie, pod Gnieznem, wedle tradycyi, jeszcze za Mieszka I. Wcześnie bar-

dzo bo przy końcu XI w. któryś z panujących a może biskup mazowiecki osadza ich w Czerwińsku, starém nadwiślańskiém targowisku i grodzie zapewne.

Akt z 1155 r. (przyjęcie klasztoru pod protekcyę papiezką, świadczy, iż przy klasztorze mieszczącym się w grodzie niewątpliwie, stał kościół (*beatae Marie*) pierwszy zapewne dla obszaru między Bugiem, Bzurą i Pilicą. Uposażenie oparte było na dochodach książęcych (19-ty targ, 19 grzywna z kar, 19 statek co do cła, 10-te źrebię i 10-ty dzień, zapewne służby dla zamku) a przytém na posiadłościach rozłożonych częścią w pobliżu Czerwińska, po obu brzegach Wisły jak: Łomna z przyległościami, Kromnów, Gocław, Skołatowo, Parlin, Komsin, Stróżewo, Świdwa, Garwolewo — bądź też w odleglejszych stronach jak Nasielsk, Kochów nad Wisłą pod Maciejowicami („*ex dono Henrici ducis*“) i najdalszy na wschodnich kresach Zaszków nad Nurcem, z prebendą. Nadanie Bolesława Kędzierzawego i Henryka ks. sandomirskiego, datowane 1161 r. w Łęczycy, przy poświęcaniu kościoła, wymienia z podanych poprzednio osad: Zaszków, Komsin i Parlin, a z nowych: Pomiechowo nad Wkrą (niedaleko ujścia do Narwi) i Zuzolę targowisko z karczmami i przewozem na Bugu (niedaleko Nura i Zaszkowa). Konrad mazowiecki nadaje 1221 r. wieś Koskowo (na połd. od Śniadowa w łomżyńskiem) a „*comes Obeczan*“ Glinki albo Obiecanowo pod Makowem. W 1222 r. Konrad przy zakładaniu kościoła w Trojanowie nad Bzurą (pod Sochaczewem) uwalnia ludność dóbr klasztoru czerwińskiego od sądów księcia i wojewody.

Grzymisława, wdowa po Leszku, współczując prześladowaniom i stratom jakie ponosił klasztor (*sacro sancta mater ecclesia ...non solum hostili feritate verum etiam falsi christiani pravitate cottidie cernitur perturbari*) potwierdza 1229 r., na zjeździe z ks. Konradem przy przewozie przez Pilicę w Wierzbicy, nadane przez ks. Henryka targowisko w Kochowie z karczmami i przewozem.

W Iłowie 1240 r. zamienia Konrad swą wieś Borzęcino (o 17 wiorst na zach. od Warszawy) na wsi klasztorne: Służewo (pod Warszawą) i Popień w rawskiém. R. 1243 ks. Bolesław (syn Konrada) nadaje klasztorowi Powielino w płockim. Innocenty IV przyjmując 1254 r. klasztor pod swą opiekę. poleca przez legata Opizona, by arcyb. gnieźnieński i opat wąchocki osłaniali opieką posiadłości klasztorne. Wyliczone w tym akcie włości i liczne dziesięciny świadczą zarówno o zamożności osypywanego nadaniami klasztoru jak i żywéj działalności jego na polu kościelném, objawiającéj się przez zakładanie kaplic, tworzenie prepozytur przy główniejszych targowiskach

i grodach. W dobrach klasztornych mają kaplice 1254 r. na lewym brzegu Wisły: Łomna, Brochów, Borzęcino, na prawym zaś: Baboszewo, Skolatowo, Pomiechowo, Nasielsk, Zaszków, Kochów. Gorliwy protektor klasztorów ks. Konrad II († 1294 r. w Czerwińsku) wystawiwszy w Błoniu kościół p. w. św. Trójcy, oddał go 1288 r. w posiadanie i zarząd kanonikom czerwińskim, dodając 1289 r. do poprzedniego uposażenia [1]) wieś Miedzieszyno nad Wisłą (na wschód od Pragi). Drugiemu aktowi spisanemu w Błoniu 1289 r. asystuje Andrzej biskup poznański. Kościół i parafia w Nasielsku zostają też zdawna pod zarządem kanoników. W południowéj części zajmującego nas obszaru istnieje już w 1215 r. filia klasztoru lubińskiego (benedyktynów) w Jeżowie rawskim. Zdaje się, że nie ma tu właściwie klasztoru tylko kościołek parafialny, przy którym pełnią służbę zakonnicy przysyłani z Lubinia (nad Obrą). Możnaby domyślać się iż osadzili ich tu arcybiskupi gnieźnieńscy posiadacze przyległych obszarów (klucz skierniewicki).

Najbogatszy w dawne świątynie klin, objęty korytami Wisły i Pilicy zawdzięcza fundacye kościelne, nie przechodzące po za początek XIII w., książętom mazowieckim i bisk. poznańskim (uposażenie kościoła w Górze). Kiedy cystersi sulejowscy otrzymują Mogielnicę od ks. Bolesława w 1249 r. targowisko to posiada kaplicę. Dominikanie pojawiają się w Warce 1291 r., w Sochaczewie zaś zapewne już dawniéj (1257?). Przy dworach książęcych wcześnie spotykamy kaplice: w Iłowie 1224 r.; Wiskitki znane w 1221 r., Warka 1234 r., Jazdów 1288 r. posiadały też niewątpliwie kaplice.

Rokitno (pod Błoniem), jako własność dawna archidyakonów czerskich, musiało przez nich być zaopatrzone w kościołek.

Dzięki opiece, jaką Konrad I rozciągnął nad obszarem między Bugiem a Pilicą i wprowadzonym tu porządkom, zaludnienie szybkie czyni postępy w ciągu XIII w. Jeszcze w dokumentach z pierwszéj połowy tego stulecia występują sokolarnie, bobrownie nadwiślańskie, daniny miodowe, dziesięciny w skórach zwierzęcych jako cechy leśnéj kultury przeważającéj w dorzeczu Wisły między ujściami Pilicy i Bzury. Kultura ta szybko teraz ustępuje miejsca rolnictwu opartemu na własności prywatnéj wprowadzonéj z prawem niemieckiém. Cały szereg grodów osłania ruch handlowy na Wiśle i traktach lądowych. Zajęcie Podlasia, pogrom Jadźwingów zabezpiecza owoce

---

[1]) Na uposażenie przeznaczył trzy wsi (w okolicy Błonia?), które bądź zostały źle odczytane przez wydawcę (kod. dypl. Mucz. Rz. I, 128) bądź też nie istnieją obecnie. Jedno tylko Wawrzyszewo zostało trafnie objaśnione.

pracy rolnika i mienie kupca. Tym warunkom zawdzięcza swój szybki rozwój cicha osada nadwiślańska — Warszawa, mająca już przy końcu XIII wieku stać się centrem powiatu.

VI.

Grzbiet głównego wododziału (Wisła — Warta, Wisła — Bzura) zbliżając się ku lewemu brzegowi Wisły w jéj zachodnim skręcie, opuszcza między Płyćwią a Skierniewicami pas środkowych wyżyn (wznies. od 600 do 1000 stóp) i ginie spłukany przez wody śród nizin schodzących się tu dorzeczy. Obniżenie poziomu wzmaga się i dochodzi 337 st. w Pruszkowie (o 2 mile na połud. od Warszawy) w dolinie rzeczki Rnowy (Utraty), dopływu Bzury. Następnie w miarę zbliżania się ku Wiśle, wzrasta wzniesienie, na nowo niejako dźwigają się grzbiety większych i drobnych wododziałów mających tu naturalny punkt zetknięcia się — i wytwarzają lekko pofałdowane płaskowzgórze opadające dość stromo ku Wiśle. Zgodnie z prawem assymetryi wyżynowych zboczy, przeciwległy brzeg Wisły przedstawia płaszczyznę podnoszącą się bardzo nieznacznie.

Płaskowzgórze warszawskie, nie zbadane dotąd z należytą ścisłością pod względem geologicznym [1]), składa się z grubszego pokładu warstw piasków, glin i iłów, należących do najświeższéj formacyi napływowéj. Warstwy te obfitują w głazy narzutowe, dochodzące niekiedy do znacznych rozmiarów. W saméj nizinie nadwiślańskiéj znaleziono szczątki wołu pierwotnego (pod Czerniakowem w 1868 r.), zęby mamuta (na Kępie Saskiéj); ztąd też zapewne pochodziły przechowywane zdawna przy kościołach św. Jana i św. Krzyża wielkie kości (renifera i nosorożca?).

Pofałdowaniu zewnętrznemu cechującemu poziom płaskowzgórza, towarzyszy pofałdowanie wewnętrznych warstw nieprzepuszczalnych (iły gliniaste), skutkiem czego obok licznych zbiorników i bagien

---

[1]) Na wystawie hygienicznéj, odbytéj 1887 r. w Warszawie, znajdowały się tablice, ułożone przez p. Siemiradzkiego, przedstawiające przekroje górnych warstw Warszawy. Po zamknięciu wystawy tablice te nieodebrane przez p. S. uległy zatraceniu. Za podstawę do téj pracy, służyły p. S. rezultaty badań świdrowych dla celów kanalizacyi i własne poszukiwania, niedostateczne bo dorywczo tylko prowadzone. Brak większéj liczby otworów świdrowych głębszych i kosztowność takich badań nie dozwoliły poznać dotąd należycie układu płaskowzgórza warszawskiego. Warstwy napływowe posiadają tu wielką grubość do 600 zapewne stóp. Dane, na których opieram się w niniejszym ustępie, zawdzięczam uprzejmym objaśnieniom p. Tadeusza Krzyżanowskiego, inżyniera kanalizacyi warszawskiéj.

w zagłębiach powierzchni, istnieją rozległe i głębokie niekiedy zbiorniki wód zaskórnych.

Najwybitniejsza z fałd powierzchni, otacza dzisiejszy obszar miasta od strony zach. północnéj. Podczas gdy pod Włochami (o 7 w. przy linii dr. żel. warsz. wied.) mamy 361 st. wznies., pod Koczargami o 14 w. na półn. zach.) do 402 st., to przy rogatce wolskiéj 360, a przy powązkowskiéj tylko 336. Siodło téj fałdy (Wola, Powązki) pokryte jest obecnie licznemi wiatrakami. Okolica zaś rogatek powązkowskich przedstawia dotąd liczne zbiorniki wód bez odpływu. Ulica Żelazna biegnie grzbietem fałdy wyginającéj się bardzo łagodnym spadkiem ku Wiśle. Przy początku ulicy Żelaznéj (stacya filtrów) wzniesienie wynosi 360 st., w dalszym biegu ulicy (w kierunku od wschodu ku zachodowi) i w jéj dalszém przedłużeniu w ulicy Smoczéj sięga do 377 stóp. Spływające z tego grzbietu wody tworzyły bagniska (których pamiątką nazwy ulic: Bagno, Gnojna, Żabia) i po każdym większym deszczu zatapiały do ostatnich czasów, ulicę Marszałkowską (z przyległemi) i Królewską. Okolice dzisiejszego dworca wiedeńskiego (ulica Żurawinowa) były bagniskami. Po nad tym podmokłym obszarem góruje niewielka wyniosłość, któréj szczyt zajmuje dziś kościół ewangelicki (wznies. placu 372 st.). Krawędź opadająca ku Wiśle (linia Nowego Światu i Krakowskiego Przedmieścia) obniża się falisto w kierunku biegu Wisły. Zacząwszy od 364 st. przy Rozdrożu w Alei Ujazdowskiéj, spotykamy 348 st. na placu Trzech Krzyży, 357 st. przy rogu Chmielnéj, 360 st. naprzeciw Uniwersytetu, 344 st. na placu zamkowym. Rynek starego miasta wznies. 337 a róg Mostowéj i Freta 329 stóp.

Odrębne ukształtowanie przedstawiają fałdy spodnich warstw nieprzepuszczalnych. Z opadającą ku Wiśle krawędzią wyżyny schodzi się siodło warstw ilasto-gliniastych, niedopuszczające odpływu do rzeki, wód nagromadzonych w warstwach piasków wodonośnych. W niektórych tylko punktach, gliniastéj ściany tego naturalnego wodozbioru, przecisnęły się źródła spływające ku Wiśle. Wody gromadzące się w zagłębiach powierzchni nie znajdując dostatecznych odpływów potworzyły liczne mokradła i zbiorniki naturalne do których przyłączyły się z czasem i sztuczne (sadzawki, stawy młyńskie, glinianki). Zbytek przepełniającéj je wody spływał ku Wiśle kilkoma strumieniami, które powyżłabiały w stromo opadającém zboczu wyżyny, te wąwozy jakiemi biegną dziś drogi i ulice wiodące ku rzece. Z wycięciem lasów i zajęciem płaskowzgórza warszawskiego pod ogrody i budowle, zmniejszyła się obfitość wód, strumienie powysychały, koryta ich uległy zasypaniu. Najdłużéj utrzymały się dwa od-

pływy ogarniające swemi łukami prawie cały obszar miasta: bezimienny strumień odprowadzający wody bagien z okolicy dzisiejszego dworca wiedeńskiego i rzeczka Drna, odlewająca wody bagien i licznych drobnych zbiorników z okolic Powązek i Woli. Pierwszy odpływ podążał ulicą Żurawią i wąwozem Książęcéj i w nizinie nadrzecznéj tworzył jeziorka i bagna łączące się z Wisłą.

Na rogu Nowego Światu i Książęcéj, jeszcze na początku obecnego stulecia stał most na murowanych fundamentach wsparty, 40 łokci długi a 26 szeroki. Rzeczka Drna, okrążająca Warszawę od strony zachodnio północnéj, tworzyła liczne stawy i sadzawki (ulica Stawki), poruszała młyny i folusze i uchodziła do Wisły na obszarze Pólkowa (dziś cytadela). Jeszcze w 1770 r. było 16 stawów na téj rzeczce. Dziś zamienioną została na rów, którego kierunek uległ zapewnie zmianie wskutek założenia fortyfikacyi na tym obszarze. Wody z okolic Leszna i wodozbiorów zwanych Nalewkami (ztąd nazwa ulicy) spływały pierwotnie ku Wiśle w kierunku ulicy Mostowéj. (Na Bugaju były bagna i most na nich). Następnie używano ich do zasilania studni staromiejskich i zamkowych, do których przeprowadzono drewniane rury. Ulice: Tamka i Obożna były kiedyś łożyskami strumieni. Na ulicy Wareckiéj jeszcze w 1778 r. stoi most na strumieniu. Nazwa ulicy Topiel wskazuje na bagniska jakie w dolinie Wisły tworzyły wody spadające z górnéj części. Liczne zdroje wytryskiwały ze zbocza wyżyny przy zamku (ulica Źródłowa).

Gleba tego obszaru przedstawia dość znaczną rozmaitość. Tam gdzie glina występuje tuż pod powierzchnią, jak na obszarze Czystego, Woli, tworzy ona wyborną rodzajną warstwę, na któréj obecnie rozkwitło podmiejskie ogrodnictwo, (uprawa warzyw i sady czereśniowe). W stronie półn. zachodniéj, około Powązek i Pólkowa przeważają piaski. Gliniasta ściana zbocza nadwiślańskiego posłużyła do zakładania ogrodów i dostarcza dotąd w Mokotowie gliny do wyrobu cegły. W środkowéj części obszaru, spód nieprzepuszczalny wywołuje gromadzenie się wody zaskórnéj blizko powierzchni, w warstwie, mającéj średnio do 6 st. grubości. Woda ta musiała wywierać wielki wpływ na warstwę zwierzchnią i rozwijającą się na niéj roślinność, późniéj zaś na warunki sanitarne osiadającéj tu ludności. Mimo licznych zbiorników wód stojących, torfy nie pojawiają się wcale; spotykamy je dopiéro z drugiéj strony Wisły po za Pragą.

Pierwotny las pokrywający ten obszar, przedstawiał odpowiednio do natury gleby i podłoża rozmaitość w swym drzewostanie. Znikł on zapewne już w XIII w., wkrótce po wydzieleniu przez księcia dla tworzącego się wtedy miasta uposażenia w ziemi. Po wykar-

czowaniu łanów miejskich, zostały tylko gaje, kępy drzew i zarośli po nieużytkach, mokrych łąkach i pastwiskach, jak wspominany w historyi z 1564 r. Chmielnik, pastwisko porosłe dębiną i olszyną, zajmujące przestrzeń między dzisiejszą ulicą Chmielną a Żurawią. Przechowała się też część dawnéj puszczy jako zwierzyniec książęcy pod Ujazdowem (Łazienki, Belweder, Sielce).

W okolicach Powązek, Pólkowa, lasy utrzymywały się jeszcze w XVII w. W 1642 r. Powązki mają dwór myśliwski. Lasy i błota pokrywają brzeg Wisły od Solca po Warszawę. Saska Kępa jeszcze na początku XVII w. pokryta jest pięknym pierwotnym lasem.

VII.

Pierwszym dokumentem ujawniającym istnienie Warszawy jest akt Konrada I z 1241 r., nadający niejakiemu Gotardowi w nagrodę za pogrom Jadźwingów wieś Służewo (pod Warszawą). Wprawdzie wydawcy kodeksu dypl. polskiego, drukując ten akt (t. II, 25) z kopii w której opuszczono miejsce wystawienia, z powołaniem się tylko na poprzednie, nieznane dokumenty („*ut supra*“), domyślają się, iż był wydany w Czersku, jednakże u Paprockiego, który podaje dokładny tekst aktu, czytamy w zakończeniu: „*Actum et datum Varscheviae, anno Incarn. Dom. 1241.*“ Inny przywiléj Konrada z 1231 r., znajdujący się w Metryce Koronnéj a powoływany przez wydawców Kod. dypl. polskiego, nazywa Gotarda i Stanisława dziedzicami Rakowa (pod Warszawą). Według aktu przytoczonego przez Paprockiego (z XIV w.?) potomkowie Gotarda posiadali wsi: Nadarzyn, Rusiec, Skorosze, Urzut, Starą wieś i Żabiniec leżące w pobliżu Warszawy. Rzeczą niewątpliwą jest przeto, że Konrad obdarował Gotarda w Warszawie, jak podaje Paprocki, nie zaś w Czersku jak się domyślają wydawcy Kodeksu. Nie wynika ztąd, by Warszawa była już wtedy miastem.

Z wszelkiém prawdopodobieństwem uważać ją możemy za jedno z licznych targowisk przy przewozie rzecznym. Nie ma ono tego znaczenia politycznego i kościelnego co Czersk i Sochaczew, nie jest starym grodem jak Grodziec (Grójec), nie ma kasztelana jak Wyszogród albo odległa Wizna. Na początku XIII w. Warszawa stoi zapewne na równi z osadami takiemi jak Zuzola (Zuzel), Iłów, Pomiechowo, Mogielnica, targowiska z karczmami, przewozem, kaplicą a niekiedy i dworem książęcym.

Targowisko warszawskie byt swój i rozwój zawdzięcza handlowi lądowemu, ruchowi na traktach koncentrujących się w Warszawie

i przechodzących tu przez Wisłę. W czasach odleglejszych, gdy zaludnienie ograniczało się na brzegach rzek, Wisły przedewszystkiém, targowiskiem i przystanią nadbrzeżną był prawdopodobnie Solec, leżący w nizinie nadrzecznéj, u podnóża wyniosłego zbocza, na którém wznosił się zamek Jazdowo.

Podobne położenie przedstawia drugi Solec nadwiślański w pow. stopnickim. Tam również gród książęcy wznosił się na krawędzi wyniosłego zbocza ponad doliną Wisły.

W czasach, kiedy przez rozległe puszcze nie zostały jeszcze utorowane drogi wozowe, gdy ciężary przewożono na grzbietach koni, na miejsca przepraw przez wody, wybiérano punkty, w których znajdujące się na środku kępy i ostrowy ułatwiały przebycie rzeki, dając wypoczynek objuczonym zwierzętom i podróżnym przedostającym się wpław przez brody rzeczne. Otóż naprzeciw Solca znajduje się wielka Kępa, zwana pierwotnie Kawczą, późniéj Holenderską, wreszcie Saską. Na przeciwległym brzegu prawym, leży starożytna wieś Kamień w nizinie nadrzecznéj, dawna posiadłość biskupów płockich, miejsce elekcyi Walezyusza. Tutejszy kościołek był pierwotnie kaplicą zależną od kościoła pułtuskiego. Solec posiada także zdawna kaplicę, obsługiwaną zapewne przez kapelanów książęcych jazdowskiego grodu. Uposażenie kościołka stanowią następnie dziesięciny z Czerniakowa, Ujazdowa i Solca. Gdy z rozwojem Warszawy ustala się tam siedziba książęca i powstaje przy zamku kościół parafialny św. Jana, kaplica solecka zostaje doń przyłączoną jako filia. Dopiéro w 1594 r. Anna Jagielonka przenosi zrujnowany kościołek solecki w górę do Ujazdowa, na obszar dzisiejszego Belwederu, i tworzy oddzielną parafię ujazdowską, istniejącą do początków obecnego stulecia.

Ujazdów pojawia się na kartach dziejów dopiéro 1262 r. gdy Litwini przeprawiwszy się przez Wisłę w wigilię św. Jana, owładnęli dworcem książęcym, zamordowali księcia Ziemowita a syna jego wzięli do niewoli i oddali dopiéro za okupem.

Akt nadania kościoła w Błoniu klasztorowi czerwińskiemu wystawiony był przez Konrada II (syna Ziemowita) 1288 r. w Jazdowie.

Pierwotna wieś warszawska leżała zapewne na obszarze późniejszego Nowego Miasta w pobliżu błotnistéj rzeczki Drny. Dzieje większéj części dawnych osad wskazują przenoszenie się z pierwotnéj błotnéj niziny na suchsze wyniosłości. Domniemanie to potwierdza stara tradycya ludowa o świątyni pogańskiéj, istniejącéj kiedyś w miejscu, gdzie dziś stoi kościół Panny Maryi na Nowém Mieście,

dalėj przyległa w dole Wisły osada rybacka (dziś ulica Rybaki), wreszcie starożytność kościołka św. Jerzego, istniejącego do końca XVIII w. przy dzisiejszėj ulicy Św.-Jerskiėj. Erndtel w opisie Warszawy z 1730 r. idąc za ogólną wówczas opinią, uważa ten kościół za najdawniejszy w Warszawie. Dokumenta po części potwierdzają tę tradycyę. Kościół ten był pierwotnie kaplicą, uposażoną zapewne już w XIII w. wsiami Wojcieszyno i Koczargi (w pobliżu Warszawy) i licznemi placami i ogrodami w Warszawie (przy ulicy Koziėj istniejącėj już w XV w.). Czy uposażenie to było współczesnėm z nadaniem tėj kaplicy przez Konrada II († 1294) klasztorowi czerwińskiemu, czy tėż książę uposażył kaplicę już poprzednio przez kanoników wzniesioną i obsługiwaną, trudno rozstrzygnąć. W aktach procesu Krzyżackiego 1339 r. występuje już „*Johannes de Kaliz plebanus S. Georgii in Warschovia*" (str. 27) i w Kodeksie czerwińskim (str. 185 i 186) mamy akt wydzierżawienia ogrodów kościelnych 1388 r. „*in suburbio*" przez opata Mateusza. W 1450 r. ks. Bolesław wraz z matką wznosi w miejsce kaplicy kościół murowany, funduje przy nim klasztor dla kanoników, na uposażenie którego nadaje opat Stanisław z dóbr klasztornych wieś Borzęcino, las Młotkowo, młyn Kruszewie i place przy ulicy Koziėj. Andrzej bisk. poznański wydaje akt erekcyi kościoła. W każdym razie jest rzeczą pewną, iż klasztor czerwiński posiadał w okolicy Warszawy: Służewo (przed 1249), około Błonia: Borzęcino (od 1240), Koczargi i Wojcieszyno (przed 1294 r.?), Wawrzyszewo i dwie nieznane wioski pod Błoniem (od 1288) i Młodzieszyno (pod Pragą, od 1289 r.). Kto wiė czy wieś „Gosteslaw (Gotslaw)" w akcie z 1155 r., uważana przez wydawców za Gocłowo (pow. płocki), nie jest raczėj Gocławiem z pod Pragi, należącėm późniėj do bisk. płockich. Jeżeli kościoły w Sochaczewie poświęca biskup płocki a kościół w Błoniu oddaje ks. Bolesław kanonikom czerwińskim, to niewątpliwie i Warszawa wraz z okolicą zawdzięczała kościelne instytucye i opiekę duchowną duchowieństwu dyecezyi płockiėj (ztąd to okolice Warszawy i Sochaczew dają dziesięciny do Zegrza nad Narwią) a w szczególności klasztorowi czerwińskiemu. Z wszelkiėm prawdopodobieństwėm uważać więc można kaplicę św. Jerzego za najdawniejszą świątynię Warszawy, jeżeli nie założoną to obsługiwaną od początku przez kanoników regularnych.

Herb pierwotny Warszawy przedstawiający pół rycerza i pół smoka, zostaje zapewne w związku z postacią świętego, obranego za patrona tego pierwszego kościołka.

VII.

Koło połowy XIII w. dla licznych wsi, które na prawym brzegu posiadają biskupi płoccy, na lewym kanonicy czerwińscy i wyrastający pod opieką książęcą panowie, jak ów Gotard obdarzony Służewem i wielu innemi włościami, — Warszawa staje się ożywionèm targowiskiem i centrem kościelnym (aż trzy kaplice). Dla handlu tranzytowego między obszarami lewego i prawego brzegu Wisły jest ona ważną stacyą. Stąd téż naprzeciw targowiska warszawskiego wytwarza się na prawym brzegu Wisły drugie mniejsze targowisko (Thargowe w dok. z 1347 r., dziś Targówek za Pragą). Przy targowisku warszawskièm stanął za Konrada już pewnie, dworzec książęcy, a przy dworcu kaplica. Jak świadczą dokumenty, książętom w podróżach towarzyszą stale kapelani, nieraz dwóch i więcéj nawet. Kiedy targowisko to otrzymało przywiléj miejski na prawie niemieckièm, nie wiadomo. Powoływany powyżéj akt Konrada z 1241 r. świadczy poniekąd, iż Warszawa nie miała wtedy prawa miejskiego, istnienie zaś powiatu warszawskiego w 1289 r. pozwala domyślać się, iż jako centr nowoutworzonego okręgu pozyskała już to prawo, które Czersk posiadał przed 1244 r. Odszukana przez J. S. Bandtkiego, w starych kalendarzach krakowskich (od 1729 do 1757 r.) data założenia Warszawy (rok 1251), jakkolwiek nie znamy danych, na jakich się opiéra, ma za sobą wielkie prawdopodobieństwo. Erndtel podaje jako powszechną opinię (1730 r.), iż założycielem miasta był Konrad II-gi, a lokacya nastąpiła 1269 r. Według wskazówki kalendarzów nadanie prawa niemieckiego pochodziłoby od ks. Ziemowita († 1262 roku).

Wydana 1764 r. broszura: „Informacya o prawach i swobodach miasta Staréj Warszawy“ przytacza kilka szczegółów ze znanego wówczas widocznie z treści, a zatraconego potèm dokumentu lokacyjnego. Powiedziano tam mianowicie, iż książę mazowiecki, fundator Warszawy, wyznaczając obszar ziemi na założenie miasta, zastrzegł sobie 60 grzywien rocznie i podwody.

Przyjmując dość zwykłą stopę opłat 15 do 20 gr. z łanu, wypadnie, iż uposażenie pierwotne wynosiło 90 do 120 łanów. Obszar ten nie wiele się różnił od późniejszéj rozległości po wcieleniu Nowego Miasta, Solca, Ujazdowa. W r. 1825-ym terytoryum miejskie obejmuje 156 włók i 6 morgów. Nadanie prawa chełmińskiego 1413 r.

przez ks. Janusza jest tylko potwierdzeniem, rozszerzeniem dawno już posiadanego przez miasto prawa.

Założenie miasta, jak to zwykle spotykamy, nastąpiło na obszarze przyległym do wsi Warszawy, która pozostała po za obrębem osady miejskiéj. Targowisko, przytykające do dworu książęcego, stało się rynkiem, a z rozległych pastwisk i lasów wsi książęcéj wydzielono włóki miejskie. Młynarze, osiadający nad rzeczką Drną, mieli obowiązek wykonywania wszelkich sprzętów drewnianych dla dworu książęcego, a ludność wsi musiała stróżować zamku, a późniéj i murów założonego świeżo miasta. Gdy w drugiéj połowie XIV wieku napływ ludności i nagromadzenie zakładów przemysłowych nad Drną da powód do lokacyi drugiego miasta, otrzyma ono miano Nowego, choć będzie utworzone ze Staréj Warszawy. Jeszcze na początku XVI-go wieku Warszawa chce zmusić drogą procesu mieszczan Nowego Miasta do spełniania dawnéj powinności stróżowania murów grodu książęcego i przyległego mu miasta. Uwalnia ich od tego księżna Anna 1504 r. (Kod. Mazow.).

W akcie nadania wsi Miedzieszyno (za Pragą, nad Wisłą) kościołowi w Błoniu, 1289 r. powiedziano, iż ona leży *„in districtu Varszaviensi“*, zaś w akcie z 1295 r. występuje wieś Mielęcin (pod Błoniem) *„in terra Varsoviensi“*. W latach 1321 i 1324 przy boku księcia Trojdena występuje *„Albertus dictus Cuzma“*, kasztelan warszawski, zaś 1334 r. Bartłomiéj, wójt warszawski, pełniący funkcyę pisarza książęcego. W roku 1340-ym jest kasztelanem warszawskim „Panetha“.

Naraz śród pomroki dziejowéj, któréj zestawione powyżéj drobne światełka rozproszyć nie mogły, ukazuje się wyrazisty, choć nie dość pełny, obraz młodego, zakwitającego miasta, zdążającego szybko do odegrania roli ogniska życia politycznego najprzód dla Mazowsza, następnie zaś dla całego państwa.

Obraz ten przechowały nam akta procesu z Krzyżakami, jaki toczył się w murach Warszawy w latach 1338 i 1339.

W motywach, uzasadniających wybór Warszawy [1]) dla odbycia procesu, powiedziano, iż miejsce to otoczone murem posiada stałą rezydencyę książęcia Mazowsza (Trojden od 1313 r.), który tu rozsądza sprawy cywilne, a osoby duchowne załatwiają sprawy kościelne. Bezpieczny i łatwy dostęp, obfitość wszelkich potrzeb, porządne gospody, dobre podwody (przewody), bezpieczeństwo zarówno dla miejscowych,

[1]) Szczegóły powyższe oparte na danych, pomieszczonych w wydanych przez Działyńskiego, a zebranych przez Długosza aktach procesu.

jak i przybyszów pod opieką dbałego o spokój księcia — oto względy, które wedle słów aktu, przemawiały za wyborem tego nieznanego dotąd, lecz szybko wzrastającego miasta. Choć w saméj Warszawie jest tylko jeden kościół parafialny św. Jana, służący za miejsce posiedzeń sądu, ale po za murami istnieją kaplice: św. Jerzego, św. Ducha ze szpitalem i trzecia nieco daléj na Solcu. Na duchowieństwie nie zbywa. Dwór książęcy ma trzech kapelanów; wójt miejski ma téż swego. Przy kaplicy św. Jerzego jest pleban, a u św. Jana Jan wikaryusz (Dominikanin?). Wójt warszawski, Bartłomiéj, odgrywa dość ważną rolę i na dworze książęcym, gdzie spełnia funkcyę notaryusza, i w czasie procesu, którego posiedzenia odbywają się często w jego domu. O zamożności tego dygnitarza świadczy utrzymywanie nadwornego kapelana. Do pomocy w sądzeniu spraw miejskich ma on podwójta (*viceadvocatus*), niejakiego Mirka i Jana pisarza [1]). Śród podpisanych na dokumentach, spotykamy rektora szkoły miejskiéj (Hanco) i dawniejszego jéj rektora (Franko). Można więc domyślać się, że szkoła istnieje przynajmniéj od połowy XIII w. Podpisują się téż na aktach i znaczniejsi mieszczanie z imionami, wskazującemi na cudzoziemskie pochodzenie (Maffrid, *Gunther sartor*).

Dzięki korzystnym warunkom centralnego i nadwiślańskiego położenia, ten najmłodszy gród na obszarze między Bugiem a Pilicą, przewyższy wkrótce ludnością, bogactwem, starożytne centra obszaru: Czersk i Sochaczew. Wprawdzie jeszcze wielki zjazd dostojników mazowieckich, celem ogłoszenia statutu dla całego Mazowsza, odbędzie się 1377 r. w Sochaczewie, ale wkrótce rozpoczną się półwiekowe rządy Janusza (1379 — 1429), za którego Warszawa stanie się kościelném i polityczném centrem obszaru, podległego temu księciu. Przeniesienie w 1406 r. kolegiaty z Czerska do kościoła św. Jana w Warszawie, będzie jedném z wybitniejszych znamion supremacyi tego młodego grodu. Rozwój Nowego miasta na obszarze dawnéj wsi warszawskiéj, świadczy o szybkiém wzmaganiu się ludności i handlowo-przemysłowéj działalności.

Wzrost zaludnienia na obszarach prawego brzegu Wisły (ziemia liwska, łukowska, część czerskiéj) i posuwanie się granicy wschodniéj, nadają stopniowo Warszawie znaczenie centralnego targowiska

---

[1]) Jurysdykcya wójta rozciągała się na Warszawę i obejmowała wsi przyległe: Jazdowo, Młociny, Wawrzyszew, Powązki. Wójt miał dom w rynku, dwie włóki roli, karczmy w tych wsiach, trzeci denar z kar sądowych i łaźnią w mieście.

i naturalnego ogniska życia politycznego. Rosnąca siła attrakcyjna skupiających się tu interesów państwowych (sejmy od 1557 r.) ściągać będzie na stały, czy czasowy pobyt obok dworu królewskiego różnoplemienną i różnostanową ludność. Obok osady miejskiéj rozłoży się w XVI-ym i XVII-ym wieku obozowisko rezydencyi magnackich i gospód szlacheckich. Na nabytych od mieszczan pańskich, czy duchownych gruntach powstaną coraz nowe odrębne miasteczka (jurydyki), które dopiéro przy końcu XVIII w. złączą się w jeden organizm miejski z osadami Staréj i Nowéj Warszawy.

Bronisław Chlebowski.

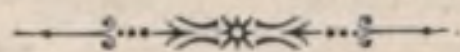




× Z DZIEDZINY PSYCHOLOGII FIZYOLOGICZNEJ.

Badania szkoły włoskiéj.

Podług „Histoire des doctrines de psychologie physiologiques contemporaines.“ Par Jules Soury. Paris, 1891, XVI, 464).



Dwa przeważnie zagadnienia psychofizyologiczne znalazły we Włoszech opracowanie szersze i szczegółowsze, aniżeli jakiekolwiek inne: umiejscowienie czynności w mózgu, oraz fizyczne podstawy świadomości. Żadne z nich nie jest wytworem umysłu włoskiego, powstały one gdzieindziéj; nie możemy ich nawet uważać za rozstrzygnięte, do tego stopnia podzielone są dotychczas zdania fizyologów. Ale właśnie jako zagadnienia wysoce zawiłe, przyczyniają się do wytworzenia szkół, z których każda ma swoje odrębne cechy, zależne bądź od metody badania, bądź od pewnych, nie poddawanych należytéj krytyce, poglądów ogólnych, czasami zaś od materyału służącego do badań doświadczalnych. Co się tyczy szkoły włoskiéj, cechuje ją zwłaszcza pewnego rodzaju eklektyzm, trzymanie się zdala od krańcowości i chęć ich pogodzenia, obok tego jednak rzadka oryginalność zarówno poglądów, jak i doświadczeń. Jeżeli nie tworzy zagadnień, to daje natomiast rozwiązanie nowe; a jeżeli zupełnie nowych wyników nie podaje, to należy jéj przyznać tę wielką zasługę, że je wyprowadza z faktów nowych i doświadczeń, odznaczających się rzadką pomysłowością.

Przedewszystkiém prosimy czytelnika o zapamiętanie kilku szczegółów anatomicznych. Mózg składa się z tak zwanych półkul. W każdéj półkuli odróżniamy dwojakiego rodzaju masy nerwowe: szarą—na powierzchni, białą—wewnątrz. Szara masa, inaczéj zwa-

na korą mózgową, posiada grubość 2 milimetrów i składa się z komórek nerwowych, które należy uważać za właściwe siedlisko wszelkich procesów nerwowych i duchowych. Biała istota mózgu jest tylko skupieniem włókien, które wielokrotnie i niekoniecznie trafnie porównywano do drutów telegraficznych. Jeżeli cięciem poziomém odetniemy półkule mózgowe, przekonamy się, że siedzą na pniu wspólnym, na wspólnéj podstawie, składającéj się z szarych i białych mas. Szare masy podstawy mózgowéj nazywają się zwojami podkorowemi; niżéj przedłużają się one w podłużny sznur, wypełniający kanał kręgowy — mlécz pacierzowy. Wreszcie, odpowiednio do kości, tworzących czaszkę, półkule mózgowe dzielą się na zrazy; mamy więc zraz czołowy, skroniowy, ciemieniowy, potylicowy. Wielką w swoim czasie (1861 r.) wywołało sensacyą odkrycie Pawła Broca, stwierdzające ścisłą i wyłączną zależność mowy artykulowanéj u człowieka od dolnéj części lewego zrazu czołowego. Była to bowiem epoka wszechwładnego panowania unitarnéj teoryi Flourensa w fizyologii ośrodków nerwowych. Podług téj teoryi, opartéj na doświadczeniach nad mózgiem ptaków i wogóle niższych kręgowców, organ ten zachowuje wszystkie swoje czynności, jeżeli wytniemy nawet znaczną jego część, bez względu nadto na okolicę, ulegającą obrażeniu; dla jego sprawności zatém należytéj wystarcza dość nieznaczna część masy mózgowéj. Wprawdzie stosunkowo do ilości wyciętéj masy słabną i gasną władze duchowe, zaś gasną w zupełności, gdy operacya przekracza pewne granice, ale dotyczy to wszystkich władz, nie zaś jednéj lub kilku; tracąc jeden rodzaj percepcyi, zwierzę traci jednocześnie wszystkie, z chwilą zniknięcia jednéj władzy duchowéj, wszystkie nikną. Nie może więc być mowy o ośrodkach wyłącznych dla rozmaitych władz lub percepcyi. Spostrzeganie, sądzenie lub chcenie jednéj rzeczy mają swoje siedlisko w tém samém miejscu, co spostrzeganie lub chcenie każdéj innéj. Słowem, półkule mózgowe wykonywują swoje czynności w całości, są w każdym calu równowarte, jednorodne pod względem czynnościowym. Widać stąd, że teorya Flourensa kategorycznie przeczy wszelkiemu podziałowi pracy w mózgu. Uogólnienie to zostało poważnie zachwiane przez odkrycie Broca; wszelako dopiéro badania Fritscha i Hitzego (1870) obaliły ją ostatecznie. Dowiedziono, iż miejsce operacyi bynajmniéj nie jest rzeczą obojętną, że, przeciwnie, zależnie od wyciętéj okolicy mózgu występują zboczenia w jednéj ściśle określonéj dziedzinie: ruchowéj, czuciowéj, zmysłowéj, gdy tymczasem wszystkie inne pozostają nietknięte. W dalszym ciągu, Hitzig, Ferrier, Munk i inni badacze angielscy i niemieccy, na podstawie licznych doświadczeń,

dokonywanych na małpach, psach oraz innych kręgowcach, podzielili szarą masę półkul mózgowych na okolice o granicach i czynnościach dokładnie określonych. Podług téj karty mózgowéj, zraz potylicowy jest jedynym i wyłącznym ośrodkiem wzroku, skroniowy—słuchu, ciemieniowy — ruchów dowolnych i wrażeń dotykowych i t. d. W ogólnych zarysach, wyniki te potwierdzono u ludzi. Fizyologowie, klinicyści i anatomowie włoscy — oni to bowiem tworzą we Włoszech szkołę psychofizyologiczną — z małemi wyjątkami, przyjmują teoryą umiejscowienia czynności w półkulach mózgowych dopiéro co wyłożoną, ale w sposób bardzo odmienny i dość charakterystyczny. Wiadomo, na czém polegają odnośne doświadczenia: na wycinaniu badanych okolic i obserwacyi występujących po operacyi zboczeń. Otóż, powiada Luciani, jeżeli mamy za ośrodek wzrokowy uważać każdą część kory, któréj wycięcie wywołuje zboczenia wzrokowe, musimy go rozciągnąć na całą szarą masę półkul, ponieważ obrażenia zrazów skroniowych i czołowych również prowadzą do zboczeń tego rodzaju. Bliższe jednak badania dowodzą różnicy w natężeniu i trwałości zboczeń, zależnie od miejsca obrażonego. Mianowicie, gdy obrażenia części potylicowych i ciemieniowych pociągają za sobą skutki trwałe, operacye na innych okolicach mózgu dają zboczenia wzroku przejściowe. Wnosi stąd Luciani, iż wprawdzie wzrok ma swe siedlisko w okolicy ciemieniowo-potylicowéj, ale niezupełnie; właściwy ośrodek jest znacznie od téj okolicy większy, przekracza jéj granice, dając odnogi do innych części kory mózgowéj, zléwając się z innemi ośrodkami o naturze odmiennéj pod względem czynnościowym i będąc z niemi w ścisłym, a bezpośrednim związku anatomicznym. Obrałem ten ośrodek bardziéj dla przykładu, niż dla niego samego; mógłbym bowiem to samo powiedziéć o innych ośrodkach: słuchowym, węchowym i t. d. Nie ma, zdaniem fizyologów włoskich, takiéj okolicy w korze mózgowéj, o któréj możnaby było słusznie utrzymywać, iż związana jest z jedną jakąś czynnością, nie masz ośrodka specyficznie i wyłącznie słuchowego lub wzrokowego. Jest-to pogląd typowy dla całéj szkoły włoskiéj, odróżniający ją od innych szkół fizyologicznych w kwestyi umiejscowienia. Nie dość na tém. Jakkolwiek się różnią poglądy badaczy na czynności półkul mózgowych, co do jednego przecież twierdzenia zdaje się panować zgoda, mianowicie, iż przednie zrazy są natury ruchowéj, tylne — zmysłowéj. Włosi i tego twierdzenia, prawie że utartego w fizyologii, nie przyjmują. Przeciw twierdzeniu przemawia przedewszystkiém wyżéj podany fakt, iż wycięcie zrazów czołowych, czy ciemieniowych, wywołuje zboczenia wzroku, gdy powinno dawać wyłącznie ruchowe. Powtóre, jeżeli

usuniemy tylne zrazy, otrzymamy nietylko zboczenia w sferze wzroku, lecz oraz i ruchy dowolne ulegają paraliżowi. Zresztą, bezpośrednie podrażnienie prądem elektrycznym kory zrazów potylicowych i skroniowych — ośrodków specyficznie zmysłowych — wywołuje: w pierwszym wypadku—ruchy gałek ocznych, w drugim — ruchy uszu. Ten fakt już wprost zdaje się przemawiać za istnieniem ośrodków natury mieszanéj. Wprawdzie usiłowano zjawisko to wytłómaczyć drogą odruchu, mianowicie: podrażnienie, dajmy na to, zrazu skroniowego, czyli ośrodka słuchowego, wywołuje wrażenie słuchu, które, przenosząc się do właściwych ośrodków ruchowych, pociąga za sobą odruchowo skurcz mięśni usznych. Tamburini odrzuca to tłómaczenie zjawiska, uważając je za skutek bezpośredniego podrażnienia ośrodków ruchowych, rozrzuconych w okolicy skroniowéj. „Każdy z ośrodków zmysłowych jest ogniskiem przyjmującém i odczuwającém podrażnienia zmysłowe, pochodzące z danéj okolicy ciała, i zarazem punktem wyjścia impulsów odśrodkowych dla mięśni téj saméj okolicy ciała. Np. w ośrodku wzrokowym obok komórek specyficznie zmysłowych, w których odbywa się percepcya wzroku, znajdują się jeszcze komórki ruchowe, wprawiające w ruch mięśnie gałki ocznéj. Wszystkie ośrodki zmysłowe są natury mieszanéj: zarazem zmysłowéj i ruchowéj.“ Weźmy zresztą ośrodki specyficznie ruchowe, t. j. zrazy czołowe i ciemieniowe. Jako takie, powinny po wycięciu dać niedowład lub zupełny paraliż kończyn czy tułowia, i nic więcéj. Są poważni klinicyści i fizyologowie, którzy utrzymują, iż tak jest istotnie. Luciani, Tamburini, Seppilli zaprzeczają temu stanowczo. Obok niedowładu ruchowego, spostrzegali zawsze znaczne osłabienie dotyku we wszelkich jego postaciach, zaś zmysł bólu i temperatury w pierwszych dniach po operacyi nawet zupełnie znikał; również czucie mięśniowe częstokroć bywało uszkodzone lub nawet zniesione, można było nadawać najniedogodniejsze pozycye kończynom, których ośrodki wycięto, a zwierzę pozostawało obojętne na te zmiany. Wynika stąd, iż tak zwana okolica ruchowa mózgu jest ośrodkiem potrójnym. Po całéj korze znajdujemy rozrucone pierwiastki ruchowe, jak również zmysłowe, by się zaś upewnić, iż wszystkie ośrodki ruchowe zostały zniszczone, należałoby wyciąć całą korę mózgową. Jedno co można słusznie utrzymywać, to że istnieją ośrodki przeważnie téj lub owéj natury, więc przeważnie ruchowe lub zmysłowe.

Poglądy najcelniejszych przedstawicieli włoskiéj szkoły fizyologicznéj na kwestyą umiejscowienia czynności mózgowych dadzą się ostatecznie w następujący sformułować sposób: Szara istota półkul mózgowych nie jest pod względem czynnościowym jednorodna ściśle,

jak twierdził Flourens, ale też i ścisłego podziału anatomicznego na ośrodki nie ma. Rozmaite okolice czynnościowe kory mózgowéj, oprócz terytoryum właściwego, oprócz środkowego ogniska, posiadają terytorya wspólne, gdzie ośrodki zléwają się z sobą, niejako przenikają się wzajemnie i stopniowo przechodzą jeden w drugi. Stąd ścisły związek rozmaitych czynności mózgu, tak iż niepodobna uszkodzić jednéj kategoryi, nie wywołując jednocześnie zboczeń w drugiéj. Istnieje nawet u psa w dolnym zrazie ciemieniowym rodzaj terytoryum neutralnego, dokąd zbiegają się wszystkie okolice czuciowe i zmysłowe, gdyż obrażenia tego „ośrodka ośrodków“ pociąga za sobą zboczenia wzroku, słuchu, węchu i czucia ogólnego, wpływają na całe życie psychiczne zwierzęcia i wywołują głęboką zmianę jego charakteru.

Mówiliśmy ciągle o zboczeniach zmysłowych. Zachodzi pytanie, na czém owe zboczenia polegają. Rzecz prosta, że, odpowiadając na to pytanie, jednocześnie określamy naturę czynności ośrodków korowych. Wycięto, dajmy na to, lewy ośrodek wzrokowy, zboczenia zatém występować powinny w prawém oku. (Prawo ogólne: w tém miejscu, gdzie mózg z jamy czaszkowéj wchodzi do kanału kręgowego, czyli w rdzeniu przedłużonym włókna z obu półkul ulegają skrzyżowaniu, tak iż prawa półkula mózgowa mieści w sobie ośrodki i włókna dla lewéj połowy ciała, lewa półkula—dla prawéj. Nerwy wzrokowe w tém krzyżowaniu nie mają udziału, natomiast krzyżują się na dolnéj powierzchni mózgu). Zawiązujemy psu lewe, a więc zdrowe, oko i rzucamy przed nim kawałek mięsa (lekko, bez hałasu, by nie zwrócić jego uwagi), najprzód z lewéj strony, potém z prawéj; obraz mięsa odbijać się tedy będzie już to na lewym, już na prawym odcinku siatkówki prawego oka. Owóż, jeżeli obraz pada na zdrowy odcinek siatkówki, pies zwróci się w stronę małego kawałka mięsa; jeżeli zaś nie, oznacza to, iż odpowiednia część siatkówki jest ślepa. Zdarza się atoli, że pies spostrzeże kawałek pokarmu, ale zamiast sięgnąć po niego prosto, waha się, nie wiedząc, w jakim ma iść kierunku, już to dlatego, że obraz jest niedokładnie w mózgu uświadomiony, już że barwy nie odczuwa należycie lub dotknięty został zmysł przestrzeni: w tym właśnie wypadku mamy do czynienia z tak zwaném osłabieniem wzroku (aneblyopia). Należy wogóle odróżniać trojakiego rodzaju zboczenia wzroku: ślepotę zupełną, osłabienie wzroku i ślepotę psychiczną. Na czém polega zupełna ślepota, zbyteczna tłómaczyć; przypominamy jednak, że samo oko nie cierpi, brak tylko odpowiedniego ośrodka w mózgu. Zwierzę dotknięte osłabieniem wzroku, z trudnością dojrzy pokarm, z chwilą jednak gdy go zobaczy, wnet

go poznaje, nie posługując się ani węchem, ani smakiem. Przeciwnie, pies dotknięty ślepotą psychiczną, widzi pokarm, ale go nie poznaje, tak samo jak widzi i nie poznaje swego pana. Wszystkie trzy rodzaje zboczeń były obserwowane u zwierząt operowanych, różnią się tylko autorzy co do związku ich z ilością wyłuszczonéj masy mózgowéj. Szkoła włoska i w téj kwestyi zajmuje stanowisko odrębne. Wbrew innym fizyologom, Luciani i Tamburini utrzymują, iż usunięcie ośrodków wzrokowych pociąga za sobą jedynie ślepotę psychiczną, nigdy zaś zupełnéj; zwierzę widzi doskonale, omija przeszkody, człowiek niewtajemniczony, nie podejrzewałby nigdy zboczenia jakiegoś; dopiéro bliższa obserwacya pokazuje, iż zwierzę nie poznaje tych rzeczy i przeszkód. Ośrodek zatém korowy nie jest siedliskiem prostych wrażeń, jakich nam dostarcza oko, lecz miejscem, w którém te wrażenia proste i surowe ulegają przeróbce duchowéj, przekształcają się w wyobrażenia, pod których wpływem wrażenia surowe stają się percepcyami. Wycinając ten, że tak powiem, ośrodek psychiczny, pozbawiamy zwierzę wszelkich wyobrażeń wzrokowych; odbiéra ono wrażenia, które kierują jego ruchami (np. unika przeszkód), bo ich siedlisko mieści się niżéj, w zwojach podkorowych, pod półkulami, ale nie ma percepcyi, ani poznania, gdyż polega ono na porównywaniu wrażeń z wyobrażeniami odpowiedniemi, a tych brak zwierzęciu po operacyi. Analogicznie ma się rzecz ze słuchem. Po wycięciu odpowiedniego ośrodka, spostrzegamy przytępienie słuchu, ale nigdy zupełnéj głuchoty. Stan się poprawia i w końcu zostaje tylko głuchota psychiczna. Zwierzę słyszy, lecz nie rozumié znaczenia słyszanych dźwięków, np. wołania po imieniu, trzaskania z bicza i t. d. Nigdy nie ustają wrażenia słuchowe w stanie surowym, w tym mianowicie, w jakim ich nam dostarcza ucho; zwierzę bowiem ruchami zdradza, że słyszy doskonale, np. zwraca się w stronę bicza, tylko że nie okazuje najmniejszéj obawy. I słuchowe więc wrażenia mają swe siedlisko pod półkulami, również jak surowe wrażenia wzroku, a ośrodek słuchowy jest wyłącznie siedliskiem percepcyi i wyobrażeń. Wniosek ten stosuje się do całéj szaréj masy półkul mózgowych: jest ona najwyższym ośrodkiem psychicznym, w niéj odbywają się wszelkie procesy duchowe wyższego rzędu, percepcya, ideacya, uwaga, z niéj wychodzą impulsy woli; akty zaś psychiczne niższego gatunku, jako-to: wrażenia surowe, impulsy ruchowe automatyczne, organizowane znajdują swe umiejscowienie w niższych ośrodkach nerwowych, mianowicie w zwojach podkorowych.

Dotarliśmy tedy do najwyższych funkcyi mózgu; pozostaje nam zbadać ich istotę. Czém są w istocie procesy psychiczne? Jakie są

ich warunki fizyczne, równoważniki fizyologiczne? Przekonamy się w dalszym ciągu, jak Włosi odpowiadają na to pytanie. Znany jest ich radykalizm w kwestyach psychologicznych i społecznych. Porzucają oni stanowisko dualistyczne i zamiast badać warunki i podstawy zjawisk podmiotowych, pragną dać nam ich mechanikę obiektywną. Ta mechanika stanów psychicznych w ścisłym znajduje się związku z doktryną umiejscowienia, w téj formie, jakeśmy ją wyżéj streścili; bardziéj niż jakakolwiek inna doktryna przyczyniła się ona do wyświetlenia procesu tworzenia i wywoływania wyobrażeń w umyśle. Istnienie ośrodków zmysłowych i czuciowo-ruchowych różnych co do czynności, ale zawsze będących w ścisłym związku dla braku absolutnych granic, przemawia za udziałem wszystkich zmysłów w wytwarzaniu idei. Z chwilą zaś, gdy powstawanie idei lub wyobrażenia, odznaczających większém lub mniejszém natężeniem, wymaga współczynnego udziału wszystkich lub prawie wszystkich czynności elementarnych mózgu, nie można już mówić o umiejscowieniu tego obrazu, czy wyobrażenia, jako wytworu stałego i niezmiennego, w określonéj okolicy szaréj masy. Dopóki wyobrażenia nie przekroczyły progu nieświadomości, nie istnieją wcale; przed tém i po tém pozostaje tylko wrażliwość ich wywołania, warunki ich odrodzenia, t. j. przejścia w stan świadomy.

Czém jest w gruncie świadomość? Oto odpowiedź Herzena, streszczająca się w kilku twierdzeniach: 1) To, co nazywamy świadomością, jest tylko stanem ośrodków nerwowych, towarzyszącym pewnym procesom nerwowym, zależnie od ich natężenia i długości trwania, jest zjawiskiem poboczném i odpowiada okresowi dezintegracyi czynnościowéj ośrodków nerwowych [1]); 2) Stopień świadomości jest wprost proporcyonalny do natężenia procesu dezintegracyjnego; 3) Im szybciéj i łatwiéj rozchodzą się wrażenia w układzie nerwowym, tém stopień świadomości jest mniejszy. Cały układ nerwowy, nie zaś jedynie kora mózgowa, jest siedliskiem stanów świadomych, podświadomych lub bezwiednych, więcéj lub mniéj trwałych i odpowiadających natężeniu dezintegracyi czynnościowéj pierwiastków nerwowych; 4) Procesy psychiczne, którym towarzyszy nader żywa świadomość, powodują—obok maksymalnéj dezintegracyi tkanki nerwowéj — pod-

---

[1]) Przez „dezintegracyą“ rozumie się tu rozkład cząsteczek substancyi nerwowéj pod wpływem zachodzących w niéj procesów; przeciwnie, „integracya“ oznacza powrót substancyi nerwowéj do stanu pierwotnéj równowagi, połączenie rozszczepionych cząsteczek. Herzen oczywiście sprowadza zjawiska podmiotowe do spraw czysto mechanicznych.

niesienie ciepłoty ośrodków nerwowych, i naodwrót: czynności psychiczne, wymagające najmniéj świadomości, podświadome lub bezwiedne, wyróżniają się osobliwie szybkiém przewodnictwem w tkance nerwowéj, nader zniżoną dezintegracyą i minimalną ciepłotą ośrodków. Powtarzanie, ćwiczenie, nawyknienia dziedziczne lub nabyte zmniejszają czas trwania wszelkiéj reakcyi, odbywającéj się w układzie nerwowym.

Atoli świadomość koniecznym atrybutem tkanki nerwowéj nie jest: nietylko nie rozwija się wraz z rozwojem świata organicznego, lecz nawet się zatraca, i na pierwszy plan występuje automatyzm; nie można zatém przypisywać świadomości wszystkim ośrodkom nerwowym. W połowie obecnego wieku, Pflüger, pierwszorzędny badacz, uderzony zachowaniem się żaby, pozbawionéj całego mózgowia, mianowicie: zwinnością i celowością wykonywanych przez nią ruchów i nadzwyczajném aż do złudzenia podobieństwem ich do ruchów, spostrzeganych u zwierząt zupełnie zdrowych, tłómaczył je świadomością czynności mlecza pacierzowego. W ten sposób powstała sławna hypoteza duszy rdzeniowéj (*Rückenmarksseele*). Urozmaicając doświadczenia Pflügera, inni fizyologowie, a głównie Goltz, przekonali się, że istnieją pewne różnice w zachowaniu się żab zdrowych, a pozbawionych mózgowia, te zaś zjawiska, które obserwował Pflüger, dają się nie mniéj dobrze tłómaczyć organizacyą, utrwaleniem wielokrotnie wykonywanych odruchów w mleczu pacierzowym, oraz istnieniem wielokrotnych połączeń między rozmaitemi ośrodkami rdzeniowemi. Pogląd ten zdaje się być obecnie zupełnie ustalonym. Zestawmy jednak powyższe doświadczenia z następującemi. Ryby i żaby, pozbawione półkul mózgowych, widzą nadal świadomie: nietylko zatém same wrażenia elementarne mają tu swoje siedlisko poniżéj półkul w zwojach podkorowych, lecz oraz percepcya i wyobrażenia. Tymczasem ptaki, jeżeli im wytniemy półkule, są absolutnie ślepe: u tych więc zwierząt i percepcya i wyobrażenia, oraz wrażenia proste umiejscowione są wyżéj, niż u zwierząt poprzednich. W wyższym stopniu stosuje się to do ssaków, u których wycięcie jednéj określonéj okolicy kory mózgowéj sprowadza zanik pewnéj funkcyi.

Z przytoczonych spostrzeżeń wypływa, że jeżeli świadomości nie możemy przypisywać rdzeniowi, nie możemy jéj również uważać za wyłączny atrybut półkul mózgowych, obejmuje ona oczywiście większe terytoryum u zwierząt niższych, aniżeli u wyższych, innemi słowy: świadomość niejako rozlana po wszystkich ośrodkach nerwowych u niższych zwierząt (przynajmniéj kręgowych), coraz bardziéj się skupia i zbliża do powierzchni półkul mózgowych u zwierząt wyższych.

Świadomość i inteligencya, która jest tylko „wyrazem podmiotowym jednéj z faz pracy nabywczéj i organizacyjnéj, odbywającéj się w istotach żywych“, rzec można, wywędrowały z biegiem czasu z ośrodków rdzeniowych do zwojów podkorowych i kory mózgowéj. W ten sposób odbywał się stopniowy zanik świadomości w rdzeniu pacierzowym, a jednocześnie jéj wzrost w mózgu. U wyższych kręgowców, ośrodki mlecza pacierzowego, pozbawione zupełnie świadomości, stały się automatycznemi, odgrywają więcéj rolę przewodników i są siedliskiem kilku ściśle organizowanych odruchów. Poniekąd więc odruchowość rdzenia jest zarazem świadectwem wyższości intelektualnéj; tylko że podług wszelkiego prawdopodobieństwa — a nie wiadomo nawet, czy godzi się nad tém ubolewać—ten sam los oczekuje najwyższe czynności mózgu. Człowiek oczywiście nie może tu być wyjątkiem, i on jest skazany na utratę świadomości swych czynów, stanie się z czasem zupełnym automatem, maszyną umysłową. Będzież ona funkcyonować gorzéj, niż obecnie? Na to odpowiada Herzen, iż w gruncie rzeczy „świadomość procesów umysłowych jest wyrazem wadliwéj organizacyi mózgowéj.“ Muzyk, u którego nabycie ruchów muskularnych, tak delikatnych i wykończonych, wymagało kiedyś najżywszéj świadomości, staje się artystą, wirtuozem z chwilą, gdy mechanizm tych ruchów niezliczonych i zawiłych zaczyna funkcyonować bezwiednie. To samo dotyczy mowy, pisma, rysunku, rachunku, słowem: wszystkich naszych czynności i wiadomości. Jeżeli nie są odziedziczone, jeżeli nie napotykają mechanizmu gotowego, zostają nabyte w sposób świadomy, ale po to tylko, by jak najprędzéj przejść w stan nieświadomości. „Sprowadzanie każdego procesu psychicznego do automatyzmu“—powiada Herzen—„należy uważać za warunek niezbędny rozwoju umysłowego, któryby był inaczéj niemożliwym: nigdyby naturalista nie poznał odrazu rośliny lub zwierzęcia, gdyby był zmuszony za każdym razem żywo uświadamiać sobie każdą cechę oddzielnie; również matematyk nie przeczuwałby nawet najwznioślejszych zagadnień, gdyby ciągle musiał mieć przed sobą dokładny obraz tabliczki mnożenia. Tak się dzieje w całém naszém życiu duchowém. W istocie rzeczy, proces świadomy jest tylko fazą przejściową od niższéj organizacyi mózgowéj do wyższéj.“ Procesy duchowe, uważane obecnie przez nas za bardzo zawiłe i połączone z nader natężoną świadomością, będą dla przyszłych pokoleń bardzo proste i odbywać się automatycznie. Za to przejście tych procesów w stan organizacyi i automatyzmu umożliwi powstawanie innych procesów duchowych, bardziéj zawiłych, bardziéj oderwanych i wznioślejszych. Takie jest właśnie prawo rozwoju inteligencyi. Gdzie należy szukać granic tego

rozwoju, jeżeli wogóle istnieją? Są one identyczne z granicami zdolności ewolucyjnéj ras ludzkich; gdy raz zabraknie warunków rozwoju, rozwój ustanie. „To nam właśnie tłómaczy, dla czego tak zwane zwierzęta niższe pozostają wciąż na tym samym stopniu: przebiegły one koło ewolucyjne, zgodne z właściwą im organizacyą.“ Wynika z powyższego, iż świadomość i inteligencya znajdują się na początku, instynkt i automatyzm u kresu wszelkiéj ewolucyi umysłowéj. Nic nie upoważnia nas do sądzenia, iżby człowiek zdołał uniknąć téj ostatecznéj, że tak powiem, krystalizacyi inteligencyi: skoro prawo powszechne wymaga sprowadzenia wszelkiéj czynności psychicznéj do bezwiednego automatyzmu, człowiek nie może stanowić wyjątku. Dwie mianowicie przyczyny są w stanie, zdaniem Herzena, położyć kres „dumnemu *excelsior* rodzaju ludzkiego: 1-o istnienie granicy absolutnéj między poznawalném i niepoznawalném, 2-o nie mniéj absolutna granica doskonalenia się mózgu ludzkiego. Z téj czy owéj przyczyny, koniec musi być taki, że świadomość opuści niewątpliwie czynności mózgu, które „stopniowo przyjmą charakter instynktowy, odruchowy, automatyczny, mechaniczny,“ nastąpi stan względnie stałéj równowagi, na podobieństwo głębokiego spokoju mlecza pacierzowego, kiedy niekiedy zmąconego przebłyskami niejasnéj świadomości.

Wbrew świetnym nadziejom i ciasnym poglądom niektórych myślicieli, snujących Bóg wié jaką wieczność dla naszego rodzaju, jak gdyby zapominali zupełnie o tém, że może nastąpić czas, kiedy już nie będą mieli słuchaczy i czytelników, Herzen przepowiada nam, iż nim umysł ludzki dojdzie do kresu swojéj ewolucyi „zniknie wszelkie życie na kuli ziemskiéj wskutek stopniowego oziębienia układu słonecznego.“ Owóż jak się przedstawia widok, wprawdzie bardzo odległy, i przeznaczenie umysłu ludzkiego. Jestto tylko hypoteza, ale wcale prawdopodobna; a co najgłówniejsza, to że różni się ona nader widocznie od owego optymizmu błogiego, nacechowanego pospolitością i niedorzecznego, częstokroć napotykanego u wielu uczonych i filozofów włoskich, nie wyłączając najznakomitszych, jak np. Robert Ardigo.

Przedwcześnie zmarły psycholog Gabryel Buccola zastosował powyżéj wyłożone prawa Herzena do patogenii hypnozy i chorób umysłowych. Gdy przez ciągłe powtarzanie wrażeń prostych i jednorodnych wywołujemy — jak to się dzieje w śnie hypnotycznym — częściową lub zupełną utratę świadomości, mamy właśnie do czynienia z przerwaniem procesu dezintegracyjnego, zachodzącego w komórkach nerwowych szaréj masy mózgu, które wpadają w rodzaj katalepsyi, znieczulenia; znika poczucie swego „ja,“ świadomość, ponieważ

ta jest w prostym stosunku do zmienności odczuwanych wrażeń. Przyćmienie świadomości, towarzyszące tak zwanemu ogłupieniu (*dementia*) i rozmaitym formom znacznego osłabienia inteligencyi, należy uważać za skutek wolno odbywającego się lub zupełnie ustającego procesu utleniania pierwiastków nerwowych w tych chorobach. „W mózgach zanikłych tych chorych, pędzących żywot czysto roślinny, nie zdających sobie sprawy z tego co się dzieje wokoło lub w nich samych,“ powiada Buccola, „dezintegracya czynnościowa kory mózgowéj sprowadza się niejako do zera.“ Z drugiéj strony, prądy nerwowe w mózgu mogą być nadzwyczaj szybkie, a wyobrażenia mogą prawie w chwili swego powstania przekształcać się w reakcye ruchowe, tak iż dezintegracya ośrodków nerwowych lubo się oczywiście odbywa, wszelako z natężeniem zbyt słabém i zbyt krótko trwa, iżby zdołała wytworzyć stan świadomości. To właśnie zachodzi w chorobach znanych pod nazwą manii i obłędu (*delirium*). Ztąd téż chory na obłęd lub maniak, gdy wraca do zdrowia, ledwie i jak gdyby przez sen sobie przypomina, co się działo podczas choroby. Inaczéj rzecz się ma w melancholii. Brak wszelkich ruchów czyni tu czasami wrażenie martwoty i ustania pracy umysłowéj, tymczasem jest ona w najwyższym stopniu skupiona, tylko że się nie przejawia nazewnątrz. W tym wypadku natężenie i długość trwania wrażeń i wyobrażeń wystarczają, by wywołać dezintegracyą tkanki nerwowéj. Uwaga trwa nieprzerwanie, chory posiada doskonałą świadomość wszelkich zjawisk zewnętrznych i wewnętrznych, odpowiednie obrazy utrwalają się w jego mózgu; dlatego właśnie powracając do zdrowia, melancholik z całą dokładnością przypomina sobie wszystko co się działo podczas choroby. Buccola stosuje ten sam pogląd czysto mechaniczny na procesy umysłu do wszystkich zboczeń psychicznych. Istnieje pewien stan chorobliwy zwany ideą błędną (*idée fixe*) i polegający na tém, że dotknięty tą chorobą osobnik wié doskonale o niedorzeczności prześladującéj go idei, ale nie jest w stanie oprzéć się i pod jéj wpływem popełnia czyny niedorzeczne, nierzadko zaś karygodne. Buccola upatruje w téj chorobie analogią drgawek i nazywa ją „konwulsyą idei“. W drgawkach wola nie może okiełznać skurczów mięśniowych, w omawianéj zaś chorobie psychicznéj nie może ona zapanować nad wyobrażeniem napastującém, nad ideą chorobliwą, która w sposób fatalny dąży do przekształcenia się w czyn. Chory z całą świadomością swojéj niemocy patrzy na to rozkiełznanie się odruchów psychicznych. I tu odbywa się walka o byt, a staczają ją wyobrażenia nierówne co do siły, przeciwne i znoszące się nawzajem, zaś tryumf święci wyobrażenie najintensywniejsze. Jestto prawo powszechne: zarówno

psychologiczne, jak i fizyologiczne i kosmiczne. „W téj walce wyobrażeń, walce bez wytchnienia, ostaje się ta forma umysłowa, która największą posiada energią. Gdy się jednak ma do czynienia z procesem chorobowym zwanym ideą obłędną, wszelka walka jest niestety zbyteczną i na nic się nie przyda, nie masz bowiem najmniejszéj nadziei zwycięstwa, zgóry możemy orzec, iż zostanie ono, bo musi zostać, przy idei błędnéj.“

Do najpoważniejszych i najoryginalniejszych w naszym wieku należą badania fizyologów i klinicystów włoskich nad stosunkiem, zachodzącym między krążeniem krwi w mózgu a jego czynnościami. Za najsłynniejsze, niemal klasyczne, uchodzą zwłaszcza doświadczenia Mossa, dokonane na dwu mężczyznach i jednéj kobiécie z znacznym brakiem kości czołowéj. Dowiodły one, iż pod wpływem wrażeń, wzruszeń i wszelkiéj wogóle czynności mózgowéj, objętość mózgu się zwiększa skutkiem wzmożonego przypływu krwi, gdy jednocześnie inne organy (Mosso badał specyalnie pod tym względem przedramię) tracą na objętości i tętno w nich się zmniejsza. Powtarza się tu to samo zjawisko co w każdym organie pracującym, w mięśniu, gruczole i t. d., gdy organ pracuje, krążenie krwi odbywa się szybciéj i napływ jéj jest większy. Te same doświadczenia, dokonywane podczas snu, dowiodły w sposób stanowczy istnienia percepcyi bezwiednych. Wołanie, szmer, wszelkiego rodzaju dosadniejsze podrażnienia wywoływały skurcz naczyń przedramienia i wzmożony przypływ krwi do mózgu śpiącego osobnika, w którym oczywiście pod wpływem bodźców zewnętrznych odbywały się jakieś procesy psychiczne, tymczasem osobnik po obudzeniu nie miał najmniejszéj o nich świadomości; a przecież proces jakiś psychiczmy musiał zachodzić i on właśnie towarzyszył zmianom w krążeniu mózgowém. Obserwacye i doświadczenia Mossa stanowią dowód *à posteriori* twierdzenia Herzena, iż świadomość nie jest koniecznym warunkiem pracy mózgowéj czyli umysłowéj. Po tych doświadczeniach, sam fakt związku między krwiobiegiem a pracą mózgową nie ulega już najmniejszéj wątpliwości. Pytanie tylko, co to za związek? Spółbytności czy téż przyczynowy? A jeśli przyczynowy, należy jeszcze rozstrzygnąć, które mianowicie z dwu zjawisk jest przyczyną, które zaś skutkiem. Owóż, Morselli i Bordoni-Uffre-Luzzi dokonali całego szeregu doświadczeń na człowieku z znaczną utratą w okolicy lewéj, kości skroniowéj i ciemieniowéj, posługując się najrozmaitszemi bodźcami: dotykowemi, elektrycznemi, świetlnemi i t. d. Pokazało się, że powiększenie objętości mózgu wskutek wzmożonego w nim krwiobiegu następuje po odczuciu wrażenia; czas wystąpienia zmian w krążeniu mózgowém jest większy

od czasu niezbędnego dla dojścia podrażnienia do mózgu i wywołania wrażenia. A to właśnie znaczy innemi słowy, iż modyfikacye w krążeniu są skutkiem, nie zaś przyczyną czynności mózgu.

Za punkt wyjścia teoryi psychofizyologicznych szkoły włoskiéj, sprowadzających — jak widzimy — wszelkie objawy umysłowe do pojęć czysto mechanicznych, należy uważać badania znakomitego fizyologa Maurycego Schiffa nad podniesieniem ciepłoty nerwów i ośrodków nerwowych pod wpływem bodźców zmysłowych i czuciowych. Możemy sformułować wyniki tych badań w sposób następujący: 1-o U zwierzęcia z nieuszkodzonemi ośrodkami nerwowemi wszelkie podrażnienia czuciowe dochodzą do półkul mózgowych, gdzie powodują podniesienie ciepłoty już przez sam fakt dojścia do tego miejsca. 2-o Sama czynność psychiczna — niezależnie od wywołujących ją wrażeń — wiąże się z wytwarzaniem ciepła o środkach nerwowych, którego ilość większa jest od téj, jaką spostrzegamy pod wpływem prostych wrażeń zmysłowych.“ „Wszakże z wszystkich wyników — powiada nam Schiff — najdonioślejszym wydaje mi się ten, że istnieje stosunek prosty między wytwarzaniem się ciepła w mózgu a pracą psychiczną.“ Z tych oto wniosków Schiffa wychodząc, usiłowano — niedawno nawet—obalić pojmowanie czysto mechaniczne zjawisk umysłowych, pogląd uważający myśl za rodzaj energii. Armand Gautier, chemik wcale zasłużony, wystąpił w roku 1886 z artykułem w *Revue scientifique*, w którym utrzymuje, iż „myśl bynajmniéj nie jest rodzajem energii, lecz percepcyą stanów wewnętrznych i ich stosunków,“ zaś rozmaite procesy psychiczne, jako-to: wrażenia, percepcye, wyobrażenia, pojęcia i t. d. są tylko czystemi formami spostrzeganemi w samych organach, będących ich siedliskiem. Dla czego, pyta Gautier, fizyologowie uważają myśl za przemianę energii t. j. za specyalną pracę energii, tak samo jak ruch, ciepło, elektryczność? Zjawiska duchowe, utrzymują fizyologowie, mają swój równoważnik mechaniczny, termiczny, chemiczny; zwierzę, gdy myśli, traci część swojéj energii. Tego właśnie należy dowieść, mianowicie: że każde zjawisko psychiczne już przez samo swoje powstawanie pociąga za sobą utratę odpowiedniéj ilości energii, kinetycznéj czy potencyalnéj, lub też przynajmniéj że przekształca się w ruch, ciepło, elektryczność i t. d. Owóż doświadczenie dotychczas przemawia za zdaniem wręcz przeciwném. Dowodem badania Schiffa, wyżéj przytoczone, z których wypływa, że w chwili odbiérania i przerabiania bodźców zewnętrznych, wywołujących myśl, mózg się ogrzéwa, gdy tymczasem, zgodnie z hypotezą mechaniczną, jeżeli rzeczywiście część energii cieplnéj lub elektrycznéj przekształca się w myśl, „mózg powinien się oziębić, jego

potencyał elektryczny się obniżyć, a przynajmniéj ciepłota wskutek zużycia się częściowego sił mózgu powinna być mniejsza aniżeli w stanie normalnym. Przyjąć tedy należy, iż wrażenie, myśl i wogóle praca umysłowa nie ma wcale równoważnika mechanicznego, nie ma nic wspólnego z energią; nie dość na tém: praca umysłowa nie jest nawet pracą w właściwém znaczeniu tego wyrazu, nie jest wytworem energii mechanicznéj lub chemicznéj; jeszcze mniéj słusznie możemy ją nazywać siłą, gdyż nie pochłania ani nie tworzy energii.

Nie można było trafniéj i w sposób bardziéj kategoryczny postawić zarzutów; jakoż godzą one w samo serce teoryi mechanicznéj zjawisk umysłowych. Posłuchajmy obrony, z którą wystąpili celniejsi przedstawiciele téj teoryi we Francyi i Włoszech. Od czasów Lavoisiera, pisze Karol Richet, istota żyjąca jest właściwie maszyną chemiczną, objawy życiowe są zjawiskami fizycznemi i chemicznemi. Dowiódł tego Lavoisier, stwierdzili to po nim Magendie, Edwards, Johannes Müller, Helmholtz, Claude Bernard. Fizyologia tworzy ostatecznie rozdział fizyki i chemii. Miałyżby jedyny wyjątek stanowić czynności układu nerwowego i nie wypływać z żadnéj energii, nie mieć swego równoważnika mechanicznego lub cieplnego? Praca psychiczna powinna być najściśléj zestawiana z pracą mięśniową: obie są skutkiem spraw chemicznych. Myśl tedy jest zjawiskiem chemiczném, a jako takie, podlega zasadzie zachowania energii. Zresztą, Gautier utrzymuje, iż wrażenie, pamięć, inteligencya, nie mogą mieć swego równoważnika mechanicznego, ponieważ są „objawami widzenia wewnętrznego;“ otóż, odpowiada słusznie Richet, jest wprost rzeczą niezrozumiałą, dla czego tego rodzaju widzenie, spostrzeganie stanów wewnętrznych i ich stosunków nie miałoby być rodzajem *pracy*? Z swéj strony Herzen trafnie zarzuca Gautierowi, iż owa „percepcya stanów wewnętrznych“ jest właściwie definicyą świadomości, nie zaś czynności psychicznéj wogóle, która może być stwierdzoną lub bezwiedną; pomieszano tu więc dwie rzeczy zgoła odmienne: myśl, która jest *pracą* umysłową, z świadomością, która jest *stanem* myśli, stanem zmiennym i przejściowym, zjawiskiem pobocznem.

Jak dotychczas jednak, twierdzenia Richeta, Herzena, mają tylko za sobą analogię i prawdopodobieństwo. Zarzuty Gautiera opiérają się na danych ścisłych, doświadczalnych i zachowują swoją moc, dopóki tą samą drogą nie zostaną odparte. Widzieliśmy wyżéj, że zwolennicy mechanicznéj teoryi upatrują ścisłe podobieństwo między pracą mózgową a mięśniową. Czy ta ostatnia ma swój równoważnik mechaniczny? Odróżniamy dwojakiego rodzaju skurcze mięśnia: mięsień może być trzymany w stanie równowagi za pomocą jakiejkol-

wiek przeszkody, wskutek czego, lubo drażniony i kurczący się, nie wykonywa żadnéj pracy zewnętrznéj, pożytecznéj czyli dodatniéj; albo też mu się przeszkód nie stawia żadnych i wówczas, gdy się kurczy, wykonywa widoczną nazewnątrz pracę mechaniczną. W pierwszym wypadku mamy skurcz statyczny, w drugim — dynamiczny. Owóż wbrew powszechnie przyjętemu mniemaniu fizyologów, jakoby kurcz mięśnia był źródłem ciepła, Béclard jeszcze w roku 1860 dowodził, iż ilość ciepła wytwarzającego się w fazie statycznéj jest zawsze większa niż w fazie dynamicznéj, i wogóle ciepło towarzyszące czynności mięśnia odpowiada téj części siły mięśniowéj, która nie została zużytkowaną jako praca pożyteczna, mechaniczna i przejawia się nazewnątrz w postaci ciepła. Ruchy wykonywane przez mięsień oraz towarzyszące im ciepło nie są w żadnym do siebie stosunku przyczynowym, jeno tworzą przemiany i postacie zewnętrzne reakcyi chemicznych, odbywających się w tkance mięsnéj, a razem wzięte równają się w sumie sile muskularnéj danéj chwili. W fazie statycznéj, całkowita energia mięśniowa przekształca się w ciepło, bo mięsień żadnéj pracy nie wykonywa, w fazie dynamicznéj — część energii przechodzi w ciepło, część w ruch; różnica zatém ciepła równa się ilości pracy mechanicznéj i stanowi jéj równoważnik termiczny.

Postulat Gautiera jest więc po części uwzględniony. Dla zupełnego odparcia zarzutów, należy dowieść tego samego faktu odnośnie do czynności mózgu. Dowieść znaczy tu, naturalnie, tyle co stwierdzić doświadczeniem. A doświadczenia w téj dziedzinie należą niewątpliwie do najsubtelniejszych w fizyologii, dają one najlepszą miarę geniuszu włoskiego. Dla należytego zrozumienia tych badań, dodać muszę, iż wahania ciepłoty nie mierzą się tu termometrem, są bowiem zbyt delikatne. Zastępuje go się aparatem zwanym termo-elektrogalwanometrem, którego główne części są: dwie igły metalowe — termoelementy — połączone przy pomocy drutów z magnesem; igły wprowadza się do masy mózgowéj; gdy się ogrzewają, powstaje prąd elektryczny, który odchyla magnes, kąt zaś odchylenia magnesu pozwala wnosić o wahaniu ciepłoty. Owóż pierwszy Corso, wprowadzając u kotów i psów, natychmiast po otworzeniu czaszki, igłę termoelektryczną do masy mózgowéj, zauważył, iż pod wpływem pobudzeń wszelkiego rodzaju, częściéj ciepłota mózgu opada, aniżeli się podnosi. Zachodzi tu oczywista sprzeczność z niemniéj prawdziwemi wynikami Schiffa; jest ona w gruncie rzeczy tylko pozorna. Tanzi dowiódł, iż przy bliższém a dokładném badaniu ciepłoty podczas pracy mózgowéj, dają się spostrzegać prawdziwe wahania termiczne: naprzemian ogrzanie i oziębianie, wahania niezależne ani od

oddechu, ani téż od pulsu, a zatém odpowiadające naprzemian po sobie następującym procesom chemicznym dezintegracyi i integracyi tkanki mózgowéj, których są fizycznymi odpowiednikami. Że czynność mózgowa, tak samo jak praca mięśnia, polega na procesach rozszczepiania cząsteczek, to nie jest już postulat: to fakt. Że zaś rozszczepianie cząsteczek, t. j. zwiększenie przestrzeni międzycząsteczkowych, czyli rozkład cząsteczek złożonych na proste, pochłania ciepło, to jedno z praw zasadniczych termochemii. Jak wiadomo, ilość ciepła, pochłoniętego przy rozkładzie ciała, równa się dokładnie ilości wyzwolonéj przy jego tworzeniu się. „Jeżeli teraz weźmiemy na uwagę, iż natychmiast po rozkładzie następuje powrót agregatu do stanu pierwotnéj równowagi, oraz że ta zmiana kolejna może się mnóstwo razy powtarzać w téj saméj grupie cząsteczek, lub naprzemian w kilku grupach sąsiednich, nic dziwnego, iż galwanometr obok oziębienia wskazuje niemal równe mu ogrzanie.“ Oziębienie odpowiada właśnie dezintegracyi ośrodków nerwowych, ich rzeczywistéj pracy, fazie energii czynnéj; ogrzanie ośrodków odpowiada integracyi w związku z odpoczynkiem, fazie nagromadzenia nowéj energii potencyalnéj.

W celu podrażnienia kory mózgowéj u zwierząt, Tanzi używał groźb, pieszczot i t. d. Wnosi on stąd, iż wahania termiczne nie wypływają z samego tylko przewodnictwa bodźców, lecz z ich rozlania się w szaréj masie półkul w postaci wzruszeń. Wahania więc są podścieliskiem fizyczném wzruszeń, nie zaś czystych wrażeń. Nadto, jakikolwiek badamy punkt mózgu — zrazy czołowe, ciemieniowe, potylicowe, prawą czy lewą półkulę — wszędzie i zawsze spostrzegamy te same reakcye termiczne, co przemawia za rozlaniem się procesu, wywołanego przez podrażnienie, po całéj masie szaréj. Nie można zatém lokalizować wzruszeń w jakimś określonym ośrodku kory mózgowéj, mają one swoje siedlisko w całéj szaréj masie mózgu. Jakże teraz zapatrywać się na rolę zwyczajnych wrażeń? Miałyżby one nie wywoływać żadnych zmian w termicznéj i chemicznéj równowadze kory? Bynajmniéj. Jest-to własność wszelkiego rodzaju podrażnień, o ile tylko są w stanie wzbudzać namiętności i wzruszenia.

Ściśle z powyższemi wiążą się nader ciekawe badania Tanziego i Mussa nad zmianami termicznemi głowy pod wpływem wzruszeń. Doświadczenia — również termoelektryczne — robiono na dwóch kobietach zahypnotyzowanych, o różnéj organizacyi fizycznéj i duchowéj: jedna była blondyna, anemiczna, łagodna i czuła, druga — bruneta, doskonale zbudowana i zdolna do wzruszeń gwałtownych. Osoba, będąca w śnie hypnotycznym, znajduje się pod absolutnym wpływem eksperymentatora, który dowoli wywołuje uczucia i wzru-

szenia, uśmierza je i zmienia: okoliczność ułatwiająca doświadczenia, o których mowa. Że jako bodźców używano wzruszeń, nie innego rodzaju zjawisk podmiotowych, tłómaczy się to ich intesywnością, trwałością i wpływem potężnym na cały organizm. Każde wzruszenie, nawet najsłabsze, zawsze jest procesem rozgałęzionym, stąd rozmaitość towarzyszących mu objawów fizyologicznych (zmiany tętna, oddechu, wydzielina obfita łez, uryny, rozmaitych soków lub też zmniejszona, wreszcie ruchy mimiczne). Wytłómaczyć sobie można ten fakt tylko w ten sposób, że siła reakcyi wzruszeniowéj zależy nie od samego wywołującego ją wrażenia prostego, lecz od istoty i ilości kojarzeń, które powstają pod wpływem danego wrażenia. Tak przynajmniéj sądzi Meynert, a badacze włoscy podzielają jego zdanie.

Doświadczenia robiono z obu stron głowy, przytém brano zawsze jednakowe okolice u obu osobników. Rezultat był wcale niespodziany wobec przytoczonych wyżéj doświadczeń na zwierzętach. Mianowicie wahania głowy pod wpływem wzruszeń występowały wyłącznie niemal na czole, inne okolice dawały wyniki ujemne. Natura samych wzruszeń zdaje się nie wpływać na siłę rzeczonych wahań; wyjątek stanowi strach, który daje wahania termiczne większe. Dlaczego właśnie u człowieka czoło miałoby być miejscem wybraném omawianych objawów, gdy u zwierząt stanowią one własność całéj istoty korowéj mózgu? Tanzi i Musso objaśniają to zboczenie w taki sposób. Gdy się bierze pod uwagę nadzwyczajną zawiłość, oraz dążność zaborczą wzruszeń stosunkowo nawet dość słabych, przyjąć należy, iż w ich wytworzeniu biorą udział rozmaite ogniska szaréj masy mózgu, bardziéj zaś liczne i rozlane są te ogniska, które, na mocy kojarzenia idei, przez pewien czas zatrzymują niejako wzruszenie w mózgu. Wobec tego, nie masz nic nieprawdopodobnego w przypuszczeniu, iż rozmaite okolice kory mózgowéj przyczyniają się do rozwoju wzruszeń nie tyle skutkiem własnych czynności specyficznych, ile przez kolejne lub jednoczesne wywołanie wyobrażeń, których są siedliskiem, a czynność ta, jak każda praca nerwowa, pociąga za sobą miejscową wymianę materyi i odpowiednie zmiany termiczne. Przyczyna występowania tych zmian na czole w powyższych doświadczeniach tkwi w tém, że poddawanie odbywa się w postaci słów, osoby zatém poddawane suggestyi, powinny swoje myśli przyoblekać w formę słowną; myśli znowu wywołują wspomnienia i pojęcia, które przedstawiają się umysłowi prawdopodobnie również w postaci wyrazów. Teraz nic dziwnego, że w ośrodkach, gdzie się cała ta gra wyrazów i pojęć odbywa — w zrazach czołowych — praca jest energiczniejsza, aniżeli w innych okolicach mózgu, stąd i objawy cieplikowe powinny

tu być wyraźniejsze, niż gdziekolwiek indziéj. U zwierząt nie masz pod tym względem różnicy między rozmaitemi okolicami mózgu, albowiem wzruszenia, do jakich są zdolne, nie wytrzymują nawet porównania z procesami asocyacyjnemi, tak zawiłemi i zarazem delikatnemi, z któremi ma się do czynienia u ludzi hypnotyzowanych i w których wyobrażenia przeważają nad wrażeniami.

Tak tedy — konkludują autorzy — pod wpływem wzruszeń dają się spostrzegać wahania ciepłoty przedewszystkiém, jeśli nie wyłącznie, na czole; będąc tylko słabym oddźwiękiem wahań termicznych, odbywających się w mózgu, dowodzą one, iż czynnościami mózgu rządzi to samo prawo rytmiczności, któremu podlega wszelkie zjawisko biologiczne i które Herbert Spencer podniósł do godności powszechnéj zasady energii.

Pomimo wszelkich zarzutów, jakie można stawić badaniom powyższym, przyznać należy, iż po lokalizacyi czynności mózgowych nie masz w całéj dziedzinie psychologii fizyologicznéj odkrycia płodniejszego i donioślejszego. Tak przynajmniéj sądzi Soury. Pozostaje faktem, iż praca mózgowa, zarówno jak mięśniowa, jest postacią energii wszechświatowéj, a myśl ma swój równoważnik mechaniczny, termiczny i chemiczny.

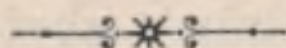
A. Grosglik.





GENEZA I ZNACZENIE ELOI

u Słowackiego.



Nadzwyczajna wrażliwość Słowackiego na wpływy obce, oraz skłonność jego do przyswajania sobie i zużytkowywania pomysłów, zaczerpniętych ze skarbnicy poezyi europejskiéj — rzecz to powszechnie znana i wielokrotnie już poruszana przez krytykę. W pierwszych latach twórczości, poeta, jak wiadomo, podlegał silnie wpływowi Byrona; późniéj zaś, kiedy dojrzał i doszedł do zupełnéj samowiedzy artystycznéj, lubił mimo to zbaczać niekiedy z własnéj drogi, by, że użyjemy tutaj znanych słów prof. Tarnowskiego, „oplatać się, niby bluszcz, dokoła cudzych pomysłów.“ Nie było to jednak nigdy naśladownictwo w ścisłém znaczeniu tego wyrazu, lecz raczéj przetwarzanie, w sposób zupełnie samoistny, motywów, urodzonych w mózgu jakiegoś wielkiego mistrza, albo rywala. Obcy motyw odgrywał tu rolę podobną do roli gotowych tematów w muzyce, z jakich przecie, choćby były niewiem jak ograne, artyści, w rodzaju Szopena i Liszta, wysnuwali nieraz całe szeregi zupełnie oryginalnych melodyi i waryacyi. Do zużytkowania tego, lub owego pomysłu, charakteru, sytuacyi, nie popychało poety ubóstwo fantazyi, lecz najrozmaitsze bodźce. Niekiedy, jak w „Kordyanie“ i ogłoszonych pośmiertnie fragmentach „Pana Tadeusza,“ podniecała go ochota skruszenia kopii ze sławniejszym przeciwnikiem dla pokazania mu, że tak walczą ze sobą

— nie wrogi,
Lecz dwa na słońcach swych przeciwnych — bogi.

Innym razem znowu był to mimowolny hołd, złożony twórczéj potędze uwielbianego mistrza, lub téż po prostu kaprys, albo wreszcie chęć rozwinięcia na nowo i pokazania w odrębném świetle danego motywu, typu, czy charakteru. Do pierwszych dwóch kategoryi zaliczamy reminiscencye z Dantego, Kalderona i Szekspira, pod ostatnią rubrykę dadzą się stanowczo i wyraźnie podciągnąć dwie tylko kreacye Juliusza. Piérwszą jest Her-Armeńczyk, zapożyczony, jak wskazuje dopisek poety, od Platona i przeniesiony z morskich wybrzeży Pamfilii do surowéj krainy Lechitów, nad którymi, wcielając się po kolei w różne postacie bohaterów i monarchów, rozciąga on opiekę i których wiedzie do szczęścia i sławy. Rodowód prometeicznéj postaci Króla-Ducha jest powszechnie znany, a prof. Małecki, zestawiwszy w swojéj cennéj monografii myt platoński z poematem Słowackiego, wykazał różnicę w traktowaniu téj osobistości przez naszego poetę i greckiego filozofa.

Nie wiem atoli, czy popełnimy zbyt gruby błąd, twierdząc, że nad pochodzeniem drugiéj, niezwykle oryginalnéj i poetycznéj kreacyi Słowackiego nikt dotąd — prócz Krasińskiego, który o tém mimochodem w korespondencyi wspomina [1]) — szczegółowiéj się nie zastanowił i z pierwowzorem jéj nie porównał. Mamy tu na myśli smętną strażniczkę grobów północy, mglistą i powiewną Eloę w „Anhellim."

Pomimo, że Eloe odgrywa drugorzędną tylko rolę w poemacie, eteryczna jéj postać pozostawia niezatarte wrażenie w umyśle czytelnika i zmusza go mimowoli do zamyślenia się nad wewnętrzną istotą tego zagadkowego zjawiska. Kim jest właściwie, ta smętna anielica, kojąca szelestem swych białych skrzydeł ponure skargi umarłych wygnańców? Prof. Małecki (Słow. II, 146 p.) a za nim Spasowicz i niektórzy krytycy dopatrują się w Eloi symbolu „cichéj sławy, oraz rzewnéj pamięci po zmarłych, przywiązanéj do mogił, gdzie leżą ich kości a zarazem obecnéj w sercach, dla których te mogiły są drogie i swoje." To zaś, co wykracza poza powyższe określenie, jak np. podany przez poetę rodowód téj anielskiéj istoty, oraz wzmianka o jéj poprzednich losach — wszystko to kładzie szanowny komentator na karb swobodnéj fantazyi autora, pragnącego „przetworzyć sztywny symbol — w życie." I rzeczywiście, gdybyśmy klucza do charakteru Eloi musieli szukać w saméj treści poematu, wywody prof. Małeckiego byłyby najzupełniéj usprawiedliwione, sam poeta jednak daje

---

[1]) Listy do Gaszyńskiego, Lwów 1882, str. 138.

nam najwyraźniéj do zrozumienia, że przeszłość jego bohaterki opisaną została „gdzieindziéj.“

„A wieszli, kto to jest ten Anioł smutny na cmentarzu? — powiada Szaman do Anhellego. — Oto się zowie Eloe, a urodził się ze łzy Chrystusowéj na Golgocie, téj łzy, która wylana była nad narodami.

„Gdzieindziéj napisano jest o Anielicy téj i wnuczce Maryi Panny... jak zgrzeszyła, ulitowawszy się nad męką ciemnych Cherubinów, i umiłowała jednego z nich, i poleciała za nim w ciemność.

„A teraz jest wygnaną, jak wy jesteście wygnani, i ukochała mogiły wasze i piastunką jest grobowców, mówiąc kościom: nie skarżcie się, lecz śpijcie!

„Ona odpędza reny, kiedy przyjdą mech wyciągać z pod głowy trupów, ona jest pasterką renów.

„Przywyknij do niéj za życia, albowiem będzie na mogile twojéj stąpać przy blasku księżyca; przywyknij do głosu jéj, abyś się nie obudził, gdy mówić będzie.“

Otóż rodowód Eloi, oraz cała powieść, zawarta w podkreślonych przez nas zdaniach, nie są bynajmniéj, jak sądził prof. Małecki, wymysłem poety, lecz wzięte zostały z mało znanego u nas poematu de Vigny'ego p. t. „Eloa“ (1823). Porównajmy tylko treść zacytowanych powyżéj ustępów z treścią utworu francuskiego romantyka.

Ze łzy, którą Chrystus uronił nad grobem Łazarza, a którą serafini zanieśli do nieba, urodziła się Anielica niewypowiedzianie piękna i otrzymała od Boga imię Eloa.

Dowiedziawszy się od swoich niebieskich współbraci, że jeden z nich, najpiękniejszy, jęczy obecnie w ciemnościach piekielnych, obarczony klątwą bożą, Eloa nie mogła znaléźć ani chwili spokoju

I każdéj nocy prawie widziała w marzeniach
Nieszczęsnego anioła, jak ją przywoływał.

Nie mogąc wreszcie zapanować nad litością, Eloa opuszcza niebo i zlatuje w otchłanie piekielne, by pocieszyć tego, który, jako „najwinniejszy jest zarazem najnieszczęśliwszy z nieszczęśliwych.“ Przeklęty Archanioł nie stracił nic ze swojéj piękności zewnętrznéj.

Eloa spogląda na niego ze zdumieniem. Szatan zaś, opisawszy jéj rozkosze miłości ludzkiéj, woła:

Wszystko to moje dzieło, zasługa zbrodniarza!
Ów przeklęty, jak widzisz, jest pocieszycielem,
Który płacze nad losem niewolników Pana,
Łagodzi im, przez miłość, straszną gorycz bytu,
I, pomnąc na ból wspólny, co wszystkich jednoczy,
Daje im błyski szczęścia, zapomnienia chwile...

Słowa te wzruszają do głębi Eloę.

„Milczeniem swém Eloe mówiła: jam twoja!
A szatan szeptał cicho: bądź moją, bądź moją!
Ty nie wiesz dotąd. ile szczęścia zaznać można,
Kojąc na swojem łonie czyjeś łzy i łkania...“

Litość zwycięża obawę i wstyd dziewiczy; córa Chrystusa, pożegnawszy na wieki rozkosze niebieskie, spływa w objęcia potępionego archanioła...

Jak widzimy, wszystkie prawie szczegóły, nie wyłączając nawet imienia [1]), zgadzają się z tém, co Słowacki o przeszłości swojéj bohaterki wzmiankuje. Drobna różnica, dotycząca chwili uronienia owéj twórczéj łzy przez Zbawiciela, nie ma tu, jak sądzimy, wielkiego znaczenia. De Vigny trzyma się ściśle tekstu ewangelii św. Jana, gdzie powiedziano (Roz. XI 33, 35): „Jezus tedy, gdy ujrzał ją (siostrę Łazarza) płaczącą, rozrzewnił się w duchu, zafrasował się i rzekł: gdzieście go położyli? Rzekli mu: Panie, pójdź a oglądaj. I zapłakał Jezus.“

Słowacki nie liczy się z tradycyą biblijną i wywodzi Eloe „ze łzy, która wylana była“ nie nad grobem jednostki, lecz „nad wszystkiemi narodami na Golgocie.“ Może to być zarówno prosty błąd pamięci, jak i dowolna zmiana, wprowadzona do poematu w celu rozszerzenia i spotęgowania doniosłości symbolu. Eloe de Vigny'go bowiem niewątpliwie jest postacią symboliczną. Ta ożywiona łza Chrystusa, spadająca na łono szatana, nie ma nic wspólnego z resztą aniołów bożych. Córka tego, który za grzeszników „cierpiał rany“ a modlił się za swoich prześladowców, Eloa, jest uosobieniem, nie sławy, lecz — litości, najwyższéj, najszczytniejszéj litości.

De Vigny urywa swój poemat w chwili, kiedy Eloe, oddając się

[1]) Słowacki zhellenizował tylko końcówkę imienia de Vigny'owskiéj bohaterki.

Szatanowi pyta: „Jestżeś teraz szczęśliwy i zadowolony?“ — „Smutniejszy-m, niż zazwyczaj...“ — brzmi odpowiedź. Słowacki opowiada nam dalsze dzieje owéj Anielicy „ze smutną gwiazdą we włosach,“ nie zmieniając w niczém istoty symbolu, stworzonego przez francuskiego poetę. Za „litość nad męką ciemnych cherubinów“ została ta smętna „wnuczka Maryi Panny“ wygnaną z niebios i przykutą do ziemi, gdzie, zgodnie ze swoją naturą, spełnia urząd litościwéj „piastunki grobowców“ i pocieszycielki umarłych, których kości skarżą się, że je obca przykryła ziemia,

„A gdy się zbliżali ku cmentarzowi, Anhelli usłyszał hymn skarżących się mogił i jakoby skargę popiołów na Boga.

„Lecz skoro się jęki podniosły, Anioł, siedzący na szczycie wzgórza, skinął skrzydłami i uciszył je.

„I trzy razy to uczynił, albowiem po trzykroć rozpłakały się mogiły...“

Czyż w tym łzawym, melancholijnym, a pięknym, pięknym, jak rzadko co w krainie poezyi, obrazku, jest choćby jeden rys, mający związek, nie z litością, lecz ze „sławą,“ choćby najcichszą nawet? Nie Małecki zatém, ale Krasiński, nazywający Eloę „aniołem litości,“ ma słuszność.

W poemacie de Vigny'ego więc, do którego nas sam poeta niejako odsyła, znajdujemy, nietylko uzupełnienie tego, co w utworze Słowackiego zostało niedopowiedzianém, lecz i klucz do zrozumienia symbolu, zawartego w przecudownéj figurze Eloi.

Niewyjaśnionym pozostaje i pozostanie pewno na zawsze jeden jeszcze rys postaci Eloi, a mianowicie: jéj stosunek i rzekome podobieństwo do dawnéj, ukochanéj Anhellego. /?/ piękno Eloi

Spostrzegłszy Eloę poraz pierwszy, Anhelli „upadł na ziemię, jak człowiek martwy, a ocknąwszy się spuścił głowę, jak człowiek, co się wstydzi, mówiąc: Otom zobaczył anioła podobnego téj niewieście, którą kochałem z całéj duszy mojéj, będąc jeszcze dzieckiem“ (Śniadecka?) i t. d. To dałoby się jeszcze wytłómaczyć przypadkowém podobieństwem anioła do śmiertelnéj kobiéty, cóż znaczą jednak słowa Eloi, wyrzeczone do rycerza, który chce zbudzić trupa Anhellego: „Jam jest w części odpowiedzialna, że serce jego nie było tak czyste, jak dyamentowe źródło, i tak wonne, jak lilie wiosenne? To ciało do mnie należy i to serce mojém było.“ Czy mówi tu uosobienie litości

i melancholii, czy téż kobiéta? Na to pytanie nie daje nam odpowiedzi ani jeden, ani drugi poemat. Są to jednak szczegóły drugorzędne.

Wogóle przyznać trzeba, że Słowacki, jak zwykle zresztą, nie tylko nie spaczył zapożyczonego pomysłu, ale rozwinął go w sposób tak subtelny i genialny, iż twórca Eloi nie mógłby do jéj literackiego ojczyma żywić urazy za przywłaszczenie swego dziecka. Przeniesiona z przestrzeni kosmicznéj na białe, puste a smutne równiny północy, łzawa postać Eloi nabrała jakiegoś dziwnego uroku i wdzięku.

Należałoby teraz dla dokładności wspomniéć coś o ogólnym stosunku naszego poety do de Vigny'ego. Niestety, ani w poezyach, ani w korespondencyi [1]) Słowackiego nie podobna odnaleść żadnego śladu bliższéj zażyłości z tym oryginalnym autorem, który, pomimo olbrzymich różnic, posiadał przecież jedną cechę właściwą także i śpiewakowi „Lilli Wenedy", a mianowicie: głębokie poczucie osamotnienia na świecie

Nie zostawiłem tutaj żadnego dziedzica,
Ani dla lutni mojéj, ani dla imienia;
Imię moje tak przeszło, jakby błyskawica,
I będzie, jak dzwon pusty, trwać przez pokolenia.

. . . .

Kto drugi tak bez świata oklasków się zgodzi
Iść? taką obojętność, jak ja, mieć dla świata?
Być sternikiem duchami napełnionéj łodzi
I tak cicho odleciéć, jak duch, gdy odlata—

skarży się w swoim „testamencie" Słowacki.

. . . .

O, Seigneur, j'ai vecu puissant et solitaire,
Laissez-moi m'endormir du sommeil de la terre!

---

[1]) O romantykach francuskich wogóle wyraża się Słowacki w liście do matki (Listy, 1883 str. 33). „Z poetami tutejszymi nie śmiem i nie chcę się poznawać, bo teraz nieznajomy cierpiałbym, nie mogąc sobie należnego między nimi zająć miejsca."

W dalszym ciągu dziwi się „mieszczańskiéj postawie Wiktora Hugo i wspomina parę słów o Lamartinie, którego nadzwyczajna sława „nieskończenie" go „gniewa." O Delavigne'u mówi, że „francuzi warjują dla nowéj jego tragedyi Ludwika XI, któréj nie widział jeszcze" (48). Dumasa (ojca) nazywa „pierwszym francuskim pisarzem tragicznym" (43).

Taką smutną modlitwę wkłada de Vigny w usta swego Mojżesza, któremu ciąży wielkość, oddzielająca go od reszty ludu... A „Chatterton“ i „Anhelli?“ czyż pomiędzy tymi dwoma nieszczęśliwymi „samotnikami wśród tłumu“ nie dałoby się odnaleść wielu, bardzo wielu rysów analogicznych?

Poza tém zresztą, ani refleksyjny rodzaj talentu, ani elegijny nihilizm, ani téż jednolity, skupiony w sobie charakter autora „Gniewu Samsona,“ nie przypominają w niczém bogatéj, szerokiéj i ruchliwéj, niby wcielona fantazya, indywidualności twórcy „Balladyny.“

Ignacy Matuszewski.





NIEDYSKRECYA.

NOWELA

(Dokończenie) *).

XII.

Rozstaliśmy się o siódmej wieczorem. Czas ulatał piorunem. Książę pośpieszył do hotelu, aby zrewidować jeszcze mieszkanie Redödiego i zainteresować służbę w odszukaniu tego, który wedle przypuszczeń, miał porwać pistolet, jakim się zabił Gyula?

Skoro tylko Galavicini nie chciał absolutnie przypuścić, by Czákvar był mordercą, musiał szukać potwierdzenia swych naciąganych wniosków w tak nadzwyczajnych i wręcz niemożliwych wypadkach.

Ktoby porywał broń Gyuli?

Ja zaś postanowiłem udać się do Titäi. Ona mogła coś wiedzieć, mogła może złożyć jakie dowody na to, że Redödy sam sobie życie odebrał.

Za tém zdawały mi się przemawiać różne względy. Gyula coś pisał przed śmiercią na papierze listowym. Téj ćwiartki nie znaleziono w jego mieszkaniu, ani w jego pularesie, nie znaleziono śladu jéj i u Beli. Jeśli Gyula coś pisał — kombinowałem — to pisał tylko do Titäi. Redödy coś spalił. Jeśli co palił, to tylko list od Titäi. Ona tutaj była. Przypomniałem sobie scenę zaszłą w kasynie między

*) Patrz „Ateneum“ za m. czerwiec r. b., str. 204.

Gyulą a Belą poprzedniego dnia, scenę, któréj osią był list. Ten list musiał pochodzić od Titäi. Ten to list został spalonym. Ten list był przyczyną wszystkiego. Jeśli więc list ów, który Gyula pokazywał Beli, pochodził od panny Teszanj, to Gyula zapalony zaciętością i uczuciem może popełnił nie do darowania oficerowi czwartego pułku— niedyskrecyę. Czy w niéj nie leżała geneza zbrodni?

Przyśpieszyłem kroku, dążąc do Teszanjich, a w miarę, jak się zbliżałem do ich domu, budziła się we mnie nadzieja, że genialna Titäa rozgmatwa tę zagadkę. Ona tam musiała, sądziłem, ulegać najokropniejszym męczarniom duszy, będącéj jedyną przyczyną pośrednią zbrodni. Jeśli zabiła Redödiego, powinna była ratować Czákvara. W domu Teszanjich zastałem popłoch.

— Co się stało? — zapytałem, widząc niezwykły w domu ruch, jakby pakowanie się do wyjazdu.

— Państwo wyjeżdżają—odparł służący.

Kazałem się zameldować. Pani Teszanj sama wybiegła naprzeciw mnie.

— Szukamy pana od dwóch godzin... rozsyłamy...

— Co?

— Titäa pragnie pana widziéć... Co za nieszczęście! Czy to być może?—mówiła, wzruszona, urywkami — Czákvar zabił Redödiego... Titäa od zmysłów odchodzi... Zrobiło to na niéj wrażenie... Wczoraj rozmawiała z nimi... tutaj... Boże mój!...

Wprowadziła mnie do apartamentu, daléj mówiąc bez ładu:

— Idź pan do méj córki... raz po raz pyta o pana. My wyjeżdżamy... My tutaj nie możemy pozostać. Ah! taki dramat... Lękam się o zdrowie Titäi...

To mówiąc, uchyliła przedemną drzwi i wpuściła mnie do komnaty, sama do niéj nie wchodząc. Znalazłem się sam z panną Teszanj. Leżała na dywanie, pogrążona w zadumie, z rozpuszczonemi włosy, z głową opartą na dłoni, z błędnym wyrazem w oczach.

— Pan?—szepnęła—czekam... niecierpliwie jak nigdy...

— Nie wiedziałem, że pani mnie szukasz.

— Rozsyłam — podniosła się i zapytała: — Co się właściwie stało?

Przestraszył mnie wyraz jéj twarzy całkowicie inny, niż zwykle, pozbawiony swego kreolskiego spokoju, rozgorączkowany i trwożny.

— Biegłem do pani,—odparłem—by zasięgnąć języka.

— Odemnie?—zapytała Titäa, bystro spoglądając mi w oczy.

— Pani! — podchwyciłem. — Chwila jest zbyt ważną i na se-

kundy obliczoną, byśmy tracili czas napróżno. Nikt nas tutaj nie słyszy?

— Nikt!

— A więc wiedzże pani, że ja wiem, a wszyscy się domyślają, że ty jesteś przyczyną nieszczęścia. Redödy i Czakvar zeszli się, by mówić o tobie, by traktować między sobą... Co się dalej stało? Redödy zabity, a Czákvar posądzony o to morderstwo, jutro rano będzie przez sąd wojenny sądzony.

Titäa chwyciła się za głowę rozpaczliwym ruchem.

— Cóż za szaleństwo!

— Co pani zowiesz... szaleństwem?

— By Czákvar miał zabić Redödiego!

— Nie przypuszczasz tego?

— Wiem, że tak nie jest.

— Dowody?—krzyknąłem—jeden choćby dowód!

Titäa ochłonęła w jednéj chwili, jakby z szału, jakiemu uległa na moment.

— Skądże jabym go mieć mogła?

— Pani!—zawołałem.—Jeśli Czákvar nie udowodni, że nie zabił Gyuli, będzie rozstrzelany.

Titäa jęknęła z wrażenia, a ja chcąc wydobyć coś z niéj, bom czuł, że więcéj odemnie wiedziała, ciągnąłem:

— Redödy pisał coś przed śmiercią, palił coś również. Ja jeden w pułku, ja jeden w Somborze mam dane, pozwalające mi przypuszczać, że palił...

Tu na moment umilkłem, bo Titäa blada, jak chusta, wlepiła we mnie straszny swą trwogą wzrok, roztwierając usta, a grając swemi rozwartemi nozdrzami. Milczała, więc kończyłem:

— Że palił list od pani, a pisał do pani.

— Panie!

Opuściłem oczy, a kobiéta, ściągając swe czarne brwi, zapytała głosem wyzywającym:

— Co pana upoważnia do téj obelgi?

— Jeśli jest obelgą, przepraszam za nią — odparłem. — Upoważniła mnie do niéj ważność chwili — dodałem, prawie skonfudowany.

— Chyba...—odetchnęła kobiéta.

To słowo wymówione z niepojętą ulgą w głosie utwierdziło me domysły. Titäa miała dowody! Byłbym dał głowę w téj chwili za to.

— Pani! — szepnąłem błagalnym tonem. — Jeśli ci chodzi o...

o..., to weźże na uwagę, że jeden zginął, a drugi musi jutro haniebną śmiercią zginąć.

Stała jak posąg. Walka, która się w niéj odbywała, falowała w jéj piersi przyśpieszoném tempem. Zamiast mi odpowiedzieć, upadła na szeslong zalewając się łzami i mówiąc:

— Cóżem ja winna? co ja winna?

— Żeś ich obu czarowała...

— Czyż mogłam przypuszczać?

— Zapewne... ale ratujże życie drugiemu.

Zerwała się znów, otarła łzy i zagadnęła z ogniem:

— Może przy nich są jakie dowody? może napisali co? Może to pismo, co pan sądziłeś...

— Nic przy nich nie ma...

Wtedy zdało mi się, że błyszczące oczy Titäi przebiegła i prześwidrowała iskra ognista. Odetchnęła pełną piersią i szepnęła:

— Ja nic nie wiem.

— Mówiłaś... pani?...

— Mówiłam, żebym przysięgła, iż Redödy sam się zastrzelił.

— Więc nic nie wiész?

— Niiiicc!

Nastąpiło długie milczenie. Przerwała je Titäa.

— My wyjeżdżamy dzisiaj... za granicę... Mnie tutaj duszno... Jabym... Żegnam pana! Ratuj go! on go nie zabił.

Wychodziłem, a ona jeszcze za mną zawołała:

— Wiedz pan! on go nie zabił.

Przystanąłem. Mówiła to tak, że jeszcze chciałem usiłować wyrwać jéj tajemnicę.

— Pani...

Urwałem.

Titäa stała, jak posąg blada, ale już i jak posąg spokojna, inna zupełnie od téj, którą zastałem w téj komnacie, podobniejsza do téj, która do szału doprowadzała powoli obu nieszczęśliwych młodzieńców.

Stałem nieruchomy, sparaliżowany myślami, przypuszczeniami i wnioskami mego rozgorączkowanego mózgu.

Ona mnie wyrwała z odrętwienia.

— Idź pan!... ratuj go!... Wszakże dla mężczyzn musi być sposób ocalenia... niewinnego?

Wybiegłem wściekły, bo się dopiéro we mnie właściwie zrodziło przeświadczenie, że Bela nie zamordował Gyuli.

Ale co to wszystko znaczyło? gdzie spoczywał klucz do zagadki?

XIII.

Tego samego dnia o godzinie dziewiątéj odszukałem Galaviciniego, który już tysiąca rzeczy dokonał, ale żadna z nich ani na jotę nie rozświecała tajemnicy. Przekonanie ogółu było, że Bela zabił Gyulę. Kelner hotelowy, który wpadł pierwszy do mieszkania Redödiego, zastał go jeszcze dającego oznaki życia, a widział uciekającego Czákvara. Twierdził on, że nikt między wystrzałem a jego nadejściem nie mógł być w pokoju Gyuli.

Zwątpiliśmy więc i pytali siebie wzajemnie wzrokiem, co daléj począć. Książę był nad wyraz przygnębiony, ale zastanawiał mnie swojém obliczem, zwykle spokojném i myślącém, a dziś wyrażającém wielką siłę i energię.

— Tracę zmysły—zawołał, — ale Bela nie może być rozstrzelanym. Chodźmy do kancelaryi pułkowéj, gdzie się dowiemy, co zeznał Czákvar, a potém pójdziemy do niego jeszcze...

W pułku zastaliśmy Andrassego, porządkującego właśnie papiery, dotyczące zbrodni.

— Gdzie Kardassy?

— Kardassego już nie ma — odparł hrabia — wyjechał na granicę Bośnii.

— Na granicę Bośnii?

— Wszakże taki dziś otrzymał rozkaz. Pułkownik wspomniał o tymże, mianując go sędzią. Zbrodnia nie mogła wpłynąć na bieg akcyi w stanie oblężenia. Miejsce Kardassego zajmuje Bojargrad... Poniósł protokół zeznań Beli do komendy.

— Bela zeznał?

— Przyznał się—odparł grobowo Andrassy.

Te dwa słowa piorunujące na nas wywarły wrażenie.

Galavicini opuścił się na krzesło i szepnął:

— Przyznał się...

— To jest — podchwycił Adrassy — odmówił wszelkich zeznań: „Sądźcie mnie—mówił—według aktów i poszlak.“ Z początku odpowiedział na kilka pytań.

Nagle jednak taką ostateczną dał odpowiedź, odmawiając posłuszeństwa badaniu. Zrobił bardzo mądrze, bo nie ma sposobu uratowania go.

— A czy wiecie?—zapytał Galavicini,—że w mieszkaniu Redödiego nie znaleziono jego pistoletu?

— Wiemy.

— Cóż o tém sądzicie?

— Sądzimy—odparł Andrassy, — że mógł mu pistolet ten zaginąć, że mógł go gdzieś pozostawić, że mógł go dać do reperacyi, że... Tysiące jest sposobów... Fakt ten nie może wpłynąć na sąd...

— Myślisz więc?

— Że Bela — odparł smutnie Andrassy — jutro będzie rozstrzelany.

— Czy wyrok sądu wojennego — podchwycił książę — wchodzi w natychmiastowe wykonanie?

— W czasie wojny natychmiast, w stanie oblężenia w ciągu jednéj godziny.

Galavicini się zerwał i zawołał do mnie:

— Chodź ze mną!

Popędziliśmy do fortu. Belę zastaliśmy niemal wesołego.

— Cóżeś ty uczynił?—zawołał rotmistrz.

— Co?

— Przyznałeś się?

Czákvar się zaśmiał.

— Cóż miałem zrobić...

— Zabiłeś go?—podchwyciłem.

Bela spoważniał i spokojnie odparł:

— Daję wam słowo honoru, że Redödy sam się zastrzelił.

Galavicini w furyi krzyknął:

— A więc czemuż się przyznałeś?

— Słuchajcie! — zawołał z zapałem Bela — znaleziono u mnie pistolet „dymiący jeszcze“, jak brzmi protokół. ...Znaleziono go w podejrzaném miejscu, jakby ukryty wśród książek w szafie... Kazano mi wytłómaczyć ten fakt... Wtedy odmówiłem zeznań.

— Szaleńcze!

— Wytłómaczże go więc nam--podchwyciłem.

— Dziś w południe—zawołał Czákvar—myśląc nad moją dziwną zwadą z Gyulą, przyszedłem do wniosku, że między nami musi przyjść do pojedynku. Nie mając co robić, uchwyciłem pistolet i wyszedłem do ogrodu, gdzie dałem cztery wystrzały do celu zawieszonego na platanie. W tém nadszedł listonosz z rekomendowanym do mnie listem i przerwał mi zajęcie. Powróciłem do pokoju i złożyłem pistolet na kilku tomach książek, leżących na biurku. To biurko stało mi się potrzebném do podpisania pokwitowania. Uchwyciłem książki

i pistolet i rzuciłem je do szafy. Pistolet zsuwając się po grzbietach tomów, spadł za ich linię. Ten szczegół jest poszlaką przeciw mnie przemawiającą. Ha! ha! ha! Cóż się miałem tłómaczyć?

— Mogłeś!—zawołał Galavicini — udowodnić, że lufa była dymiącą, boś strzelał! Wszak ktoś te wystrzały słyszéć musiał?

— Ba!—odezwał się Bela—to strzelanie moje byłoby uważaném za wprawianie się do zamordowania Gyuli!

Miał słuszność. Nie widziałem sposobu uratowania go. Ale Galavicini nie zwątpił.

— Nie mamy czasu na czcze gadaniny — zawołał i wyciągnął dłoń do Czákvara.—Bądź dobréj myśli... Nie uratujemy cię, widzę, skoro się sam ratować nie chcesz...

— Nie! Chcę, lecz nie mogę—przerwał Czákvar. Zamyślił się i dodał—ale uratowaćby mnie mogła Titäa... sądzę...

— Byłem u niéj!—podchwyciłem.

— Byłeś?

— Tak!

— I?...

— Nic! Twierdzi, że nic nie wié...

Bela się zaśmiał, a Galavicini, potrząsając serdecznie jego rękę, podchwycił:

— Wypocznij!... Rozstrzelanym nie będziesz... moja w tém głowa.

Czákvarowi zabłyszczały oczy.

— Zdaje mi się, że się mylisz... Ja zginąć muszę i zginąć powinienem.

Spojrzeliśmy po sobie ze zdumieniem. To słowo „powinienem" wymowił Czákvar dziwnie. On podchwycił nasze wejrzenia i dodał:

— Jako oficer czwartego pułku popełniłem nikczemność... Nie ździwię się, gdy mnie rozstrzelają. Nikczemność powinna być karana śmiercią na ludziach, mających pretensyę do dżentelmeństwa...

Zamyślił się i dodał:

— Jestem przygotowany... Namiętności ludzi gubią. Gubią ich tém prędzéj i dziwniéj, im są błahsze i głupsze... Może was już nie zobaczę — ciągnął prawie ze łzami w głosie, a zwracając się do mnie, kończył:—Jeśli zginę, to ty weź tego nieszczęsnego Abugörö... Niech ci on zawsze przypomina, że próżność jest straszną wadą, a dla ludzi gorącéj krwi, jak Madiary, zgubną! A ty — mówił do Galaviciniego—ty! weź moje książki...

Urwał i pierwszy nas pożegnał.

Wyszliśmy rozczuleni, jak nigdy. Książę w ciemnym koryta-

rzu otarł łzy z oczu i wstrzymał, zdaje mi się, łkanie, jedno, ale silne i głośne. U bramy fortu westchnął i zagadnął:

— Czákvar nie zginie... Jedź do domu.

— A ty?

— Ja wyjadę za miasto... Jedno już zrobiłem... ale na to niechybnie rachować nie mogę. Telegrafowałem do Wiednia, by wyrobiono u cesarza, iżby jutro depeszą ułaskawił Belę, zamieniając karę śmierci na więzienie. Cesarz mnie zna i zna Galavicinich... Uczyni to, ale depesza mogłaby się spoźnić.

— A więc?—zapytałem trwożnie.

Książę się uśmiechnął.

— Od czegóż jestem poetą waszym? Od czegóż poetom dała fortuna imaginacyę i pomysły.

Więcéj mówić nie chciał. Wskoczył na konia i popędził. Mina jego jednak wciąż mi stała w oczach, jakaś ożywiona, natchniona iskrą bożą, pełna wiary i siły. Na nią tylko liczyłem, nie rozpaczając téj nocy nad losem nieszczęśliwego przyjaciela, a nic na telegram monarchy, skrupulatnego nad wyraz w kwestyach wojskowych, ani nic na pomysły rotmistrza-poety, ani na żadne nieprzewidziane okoliczności.

Dziwną często w ważnych okolicznościach życia czerpiemy otuchę z fizyognomii, wyrażających siłę, wolę i wiarę, owianych ciepłem gorącego i szlachetnego serca.

XIV.

Prawo nie wymaga, by sąd wojenny zasiadał w odpowiednim lokalu i sądził, oraz wyrokował przy właściwym ceremoniale. Sąd wojenny sądzi, gdzie mu wypadnie i nie troszczy się o formy.

Na podwórzu koszar, w których częścią stał nasz pułk, ustawiono stół i cztery stołki, a ośmiu huzarów na koniach, w pełnym bojowym rynsztunku, stanęło u bram i wejść, by spełniać wartę.

Ja i Galavicini znaleźliśmy się jedni z pierwszych w tém miejscu, wywierającém na nas dnia tego straszne wrażenie. Rotmistrz ulegał takim wewnętrznym wstrząśnieniom, że nic nie mówił, tylko co chwila prawie spoglądał na zégarek, drżąc cały i mieniąc się na obliczu, które zdradzało miliony coraz to innych wrażeń i uczuć. Cisza panowała w powietrzu i dokoła nas. Godzina, o któréj najpunktualniéj stawić się mieli komendant, pułkownik, Andrassy i Bojargrad, zbliżała się piorunująco, a podwórze się nie zapełniało. Oficerowie bowiem lśniącego pułku, nie przekonani o niewinności Beli, nie chcieli

przez pewne zarozumiałe poczucie, być obecni sądowi, choć wstęp każdemu wojskowemu był dozwolony. A przekonanymi o niewinności Czákvara byliśmy my, dwaj tylko.

Galavicini, pozostający w gorączce, na żadne pytanie moje nie odpowiadał, tylko potakująco lub przecząco kiwał głową. Czułem, że się spodziéwał czegoś nadzwyczajnego i dlatego bieg czasu wciąż kontrolował na swym zégarku. Sądziłem, że tak niecierpliwie wyczekuje końca tego dramatu, będącego za silnym na jego czułe i wrażliwe nerwy.

Dziesiąta zabrzmiała na jednéj z wieżyc Somboru i w téjże niemal chwili w bramie podwórza ukazali się sędziowie. Poważnie i ponuro, nadrabiając jednakże minami, kroczyli ku stołowi, ustawionemu pod ścianą piętrowego budynku. Pułkownik nasz szedł ostatni, z głową pochyloną ku ziemi. Gdy przechodząc około nas, oddawał nam wojskowy ukłon, zauważyłem rzecz dziwną, z któréj wtedy, jak i nigdy potém zdać sobie sprawy dokładnie nie umiałem. Spojrzał bystro w oczy Galaviciniemu, przymrużając charakterystycznym wyrazem lewe oko. Mina ta była tak nadzwyczajną, iż coprędzéj spojrzałem na rotmistrza, który znów zamiast salutować całą dłonią, salutował wbrew zwyczajowi i przepisom, trzema tylko jéj palcami. Nie ulegało wątpliwości. Dawali sobie znak jakiś. Taka drobnostka jednak, jak ten niezrozumiały, tajemniczy znak, napełniła mnie wówczas otuchą. A i oblicze księcia pokryło się lekkim rumieńcem.

W sekundę późniéj sędziowie już obsiedli trzy boki stołu i czekali zjawienia się—Beli.

Nastąpiło to niebawem.

Pod wartą czterech żołnierzy, rozbrojony, w swym paradnym mundurze, stanął on, o kilkanaście kroków przed stołem.

Grobowa panowała cisza, zdało się, w całéj rozpromienionéj naturze.

Galavicini zapalił cygaro i usiadł niedbale na kamiennych schodach, prowadzących na pierwsze piętro budowli stojącéj po za sędziami.

Ja oparłem się o mur i stałem naprzeciw sądu.

Czterech huzarów na koniach zajęło miejsce w odstępach kilku kroków za Czákvarem. Chwila ta była nad wszelki wyraz przykrą. Położenie sędziów tak było bolesném wobec wyroku, który z góry znali, iż żaden z nich nie podniósł wzroku na Belę, imponującego spokojem i prostotą.

Andrassy zaczął czytać krótki i jędrny protokół. Nie trwało

to dłużéj nad dziesięć minut, a doskonałém było streszczeniem całego charakteru zbrodni.

— Czy nie masz, Belo Czákvar—zapytał przewodniczący — do zarzucenia temu protokółowi?

— Nic!

— Czy nie masz nic do podania na twoją obronę?

— Nic!

— Czy się przyznajesz do zabicia porucznika Gyuli Redödy?

— Nie!

— Czy nie potrafisz nam wytłómaczyć okoliczności, że przy zabitym nie znaleziono broni?

— Nie!

Generał, ruszając ramionami, zwrócił się do pułkownika i szepnął:

— Tu nic więcéj nie ma do robienia.

Wtedy pułkownik zwrócił się do Czákvara i zapytał:

— Czy nie zdecydowałeś się pan wyjawić nam treści twojéj rozmowy z Redödym, po któréj, jak twierdzisz, tenże sam sobie życie odebrał?

— Nie!

Pułkownik umilkł i na znak, że zakończył badanie, skłonił się głową generałowi. Wszyscy siedzieli w milczeniu, to spoglądając po sobie, to ukradkiem rzucając wejrzenia na Czákvara. Generał przewodniczący jeszcze raz szepnął:

— Tu nic nie ma do roboty.

— Nic!—mruknęli w odpowiedzi jednogłośnie trzéj sędziowie.

Wtedy zerwał się sędziwy wojskowy z krzesła i jakby wykrztusił ze siebie fatalne słowo:

— Rozstrzelać!

Sam zbladł i jakby zdrętwiał. Nagle ocknął się i zawołał drżącym głosem:

— Panie pułkowniku! Racz zakomenderować. Zdaję na ciebie wykonanie wyroku...

Ruszali się wszyscy z miejsc swoich. Ja stałem, wlepiając wzrok po kolei w każdego z nich. Galavicini palił z niepojętym spokojem cygaro, a pułkownik wyglądał obojętny na to straszne wezwanie.

Generał zrobił kilka kroków naprzód, ale przystanął, zwracając się jeszcze do pułkownika, którego obojętność zdawała się go dziwić.

— Zwracam uwagę... pułkowniku, iż wyrok ma być natychmiast wykonany.

Pułkownik wtedy zwrócił się do Andrassego.

— Zakomenderuj oddział...—szepnął.

W tém dał się słyszéć huk, jakby pochodzący od armatniego wystrzału, danego gdzieś niedaleko.

Generał zbladł, przystanął.

— Co to? co to?—pytał w zdumieniu.

Nikt nie odpowiadał. Wszyscyśmy stali wryci na swych miejscach i spoglądali po sobie, zapomniawszy o Czákvarze, o wszystkiém.

— Bum...—rozległo się jeszcze głośniéj.

— Co to? — zawołał, podskakując generał — co to? panowie... nie... rozumiem...

Spojrzałem na Galaviciniego, który daléj palił cygaro.

— Co to?—zapytałem go?

— Nie wiem!—odparł—mnie wszystko obojętne.

— Czy sądzisz, że depesza nadejdzie?...

W tém zahuczało raz trzeci.

— Bum!...

Wtedy dopiéro generał krzyknął, bledniejąc na całém ciele:

— Alarm! alarm!

Jak szalony wybiegł z koszar i dopadł swego powozu. Pułkownik dosiadł konia. Kto żył, śpieszył do swego oddziału. W jednéj minucie na podwórzu zostałem ja sam z Belą. Galaviciniego nawet nie było, ani huzarów, pilnujących skazańca.

— Cóż to być może?—zapytał obojętnie Czákvar.

— Alarm w stanie oblężenia...—bąknąłem.

Sam głupiałem nad nadzwyczajnością wypadku...

. . . .

W kilka minut późniéj koszary zaroiły się od zbrojnych oddziałów. W mieście huczało od pędzących na stanowiska armat, dudniało od kopyt końskich. Sombor cały był w trwodze i na nogach.

Jeszcze upłynęło kilka minut, a koszary były puściuteńkie. Dolatywały nas tylko zdala szum, krzyki i sygnały wojskowe.

Oprzytomniałem. Przecież i mnie wypadało już być na koniu. Chciałem wybiedz, gdy mi mózg przeszyła dziwna myśl.

— Belo!—zawołałem. — Ten alarm, zdaje mi się, to może dzieło Galaviciniego, abyś mógł uciec. Przecież nieprzyjaciel nie zbliża się pod bramy miasta...

— Żartujesz—szepnął obojętnie Czákvar.

Rzeczywiście rozważywszy, widziałem sam, że od rzeczy mówię.

— Uciekaj!—krzyknąłem.

Bela ruszył zamionami. Sam, nie mogąc dłużéj przy nim pozostać, wybiegłem na miasto. Pusto już było na ulicach, jakby po zarazie. Głucho, jakby w nocy. Sklepy pozamykano. Mieszkańcy schronili się do piwnic, oczekując lada chwila wejścia Turków, czy roznamiętnionych powstańców. Tylko zdala z improwizowanych fortów i redut przeszywał powietrze w téj grobowéj ciszy szczęk broni i huk zataczanych na stanowiska armat i przeróżne, różnych rodzajów broni, sygnały:

Już ani jednego nie znalazłbym w mieście żołnierza. Już oddział mój dawno poprowadził wachmistrz na szerokie od granicy błonie. Dobiłem się do mojéj własnéj kwatery, gdzie zastałem list, zaadresowany obcém mi pismem. List pochodził od Titäi i brzmiał:

„Wyjeżdżamy do Pesztu, gdzie oczekiwać będę wiadomości o losie Czákvara. Nie zwlekaj pan z nią. Proszę!“

Następnie adres i data.

Zaśmiałem się.

— Będzie rozstrzelany!—szepnąłem przez zęby i rzuciłem się na sofę z takim w głowie chaosem, pochodzącym z tych różnorodnych wrażeń, iż czułem tylko potrzebę wypoczynku.

Nawet mi nie dolegała okoliczność, iż ze wszystkich sił zbrojnych, nagromadzonych w Somborze, ja sam jeden, prócz kilku inwalidów w szpitalach, bawiłem w mieście. Nie intrygował mnie téż ten alarm, nie mogący być niczém inném, tylko zwiastunem jakichś nadzwyczajnych i przez nikogo nieprzewidywanych ruchów od granicy Bośnii.

Wszystko mi było obojętném, dlatego może, że Bela był skazanym, nie było dla niego ratunku, a w najlepszym razie, w zamianie przez monarchę kary śmierci na dożywotnie więzienie, nie widziałem dla niego nic lepszego.

Wolałbym co do siebie od razu zginąć raczéj, jak niszczéć w jakiéj węgierskiéj fortecy.

Machinalnie jeszcze trzymałem bilet Titäi, napisany charakterem wyraźnym i pewnym, czystym i pięknym.

— To być nie może! — myślałem — by ta kobiéta, co mogła... Przypuszczając to, myliłem się, mylił się niemniéj i Czákvar...

Cisza, panująca w mieście przed chwilą ruchliwém i pełném życia, nasuwała mi tysiące smutnych myśli.

Żałowałem Beli, że drugi raz jeszcze w życiu miał przechodzić ostatnie straszne przedśmiertelne chwile.

XV.

O czwartéj po południu zaczęło miasto powoli się zaludniać. Mieszkańcy po jednemu wychodzili ze swych kryjówek, a wojska powracały na stanowiska.

Postanowiłem nie opuszczać mojego mieszkania, a to głównie z obawy nie dowiedzenia się, że wyrok na Beli został wykonany. Kwatera moja leżała opodal koszar, w których przebywał Bela, i co chwila nadsłuchiwałem odgłosu podobnego do tego, dziwnego i złowieszczego huku, jaki wydają wystrzały równoczesne z kilkunastu karabinów.

Tak, w oknie mojego pokoju pożerany ciekawością, rozgorączkowany trwogą, przesiedziałem kilka godzin, sprawdzając, że miasto powracało do swego normalnego stanu.

Nad wieczorem dopiéro wszedł do mnie rotmistrz, zmęczony, ale pogodniejszy i już spokojny. Rzuciłem się ku niemu, jak ku wybawcy. Nie potrzebowałem go o nic pytać, bo się domyślił méj trwogi i zagadnął:

— Bela ocalony... Gdyśmy powrócili z téj niepospolitéj komedyi, zastał już komendant depeszę monarchy... Cesarz wstrzymał wykonanie wyroku... A więc może się to wyjaśni... Zawsze jednak życie lepsze od śmierci, mówią ci, którym ona zblizka zajrzała w oczy...

Milczałem, a książę daléj ciągnął:

— Gdyby nie ten alarm, byłoby wszystko skończone. Bela byłby... trupem. Lśniący huzar pierwszy! byłby w pułku rozstrzelany... Wiedziałem, że depesza na czas przyjść nie mogła. Wczoraj nie wierząc, by Czákvar nie zdołał się uniewinnić, zapóźno na wysłanie jéj się zdecydowałem...

Ten alarm nas wybawił... Jabym był chyba nie przeżył śmierci Beli... Byłem zdecydowany łeb sobie roztrzaskać...

— Wytłómaczże mi ten zbawczy alarm!—podchwyciłem.

— Nikt nie wié — prędko odparł rotmistrz — będzie z tego wojenne śledztwo... Ja sam...

Urwał, ale mnie wysoce zaciekawił. Zapytałem więc, prosząc go usilnie o wytłómaczenie mi tego niebywałego prawie wypadku.

Galavicini mówił:

— Jak wiész, w stanie oblężenia, co trzy dni komendant wydaje tak zwane hasło, które jest w czasie wojny osią wszystkich tajemnych działań. Hasło to nikomu nie może być znaném, prócz osobom powo-

łanym w dniach hasła do funkcyi najważniejszych. Dzisiaj winni je byli znać tylko komendant Somboru, dowódzca bateryi, spełniający misyę pieczy nad miastem, oficer, będący dyżurnym komendantem służby patrolowéj i wywiadowczéj i kilku innych. Żołnierz prosty przychodzący do jednego z nich z tajemniczém słowem na ustach, wywołuje odpowiedni, skutek jak dziś—alarm! Niedyskrecya co do hasła jest zbrodnią, karaną śmiercią w czasie wojny...

— Cóż więc dziś będzie? Kto się dopuścił zdrady? — zawołałem.

— Nie wiem!—odparł Galavicini—śledztwo wykaże...

Obserwowałem jego fizyognomię, ale ona mi nic stanowczego nie mówiła. Mimo to, księcia uważałem za sprawcę zamieszania, bo inaczéj nie mogłem sobie wytłómaczyć cudownego zbiegu nadzwyczajnych okoliczności, odraczających rozstrzelanie i wybawiających Czákvara. Ale jak on posiadł hasło? jak je zużytkował? Pytać go więcéj nie śmiałem, domyślając się, że to będzie na długo, jeśli nie na zawsze jego tajemnicą.

W kilka dni późniéj przewieziono Belę do głównego fortu w Peszcie, w którym się znajdowało wzięzienie dla zbrodniarzy jego rodzaju.

W mieście, z wyjazdem Teszanjich, ucichło. Świéża zbrodnia wywołała wrażenie, które wesołemu Somborowi inny zupełnie nadało charakter. W pułku naszym zapanował nieopisany smutek. Ubytek w nim dwóch lubianych, najweselszych i najpiękniejszych madziarów, przypominał co moment każdemu, iż lśniący pułk już nie miał prawa szczycić się ze swéj dżentelmeńskiéj nieskazitelności. Jedni boleli nad wypadkiem, inni na nim cierpieli. Nikt nań nie pozostał obojętnym. Najwięcéj zaś opłakiwał go Galavicini, będący jako poeta, duszą chwały i sławy czwartego pułku, będący osobistym przyjacielem dwóch znikłych na zawsze oficerów, będący wyjątkowo artystyczną i rycerską duszą, patrzącą na wszystko z tego odrębnego i wyniosłego stanowiska.

W Somborze już roku tego czwarty pułk nie zakipiał życiem, ani nie zaszumiał wesołością.

Opuściliśmy miasto to w jesieni, powracając znów przez Keczmecką puszczę, która nam się smutną wydała i grobową nad wszelkie pojęcie.

Abugörö tylko, którego dosiadałem, rżał żałośnie, jakby nawołując swe stado i przypominał żołnierzom, że w drugim szwadronie dwa były opustoszałe, niedawno jeszcze, tak świetnie, zajmowane miejsca.

A Galavicini siedział zgarbiony na koniu i milczał. Komponował on wtedy pieśń, którą czwarty pułk śpiewa odtąd, ile razy sobie przypomni swój wojenny pobyt w Somborze.

Pieśń ta pozostanie, zdaje się, na wieki w naszym pułku, a brzmi ona tak, śpiewana na smutną nutę:

Czwartego pułku minęła już sława,
Jak brylant, czysta i lśniąca.
Bo ją splamiła niejasna sprawa,
Po dziś dzień w pomroku śpiąca.

Héj! piękne Węgier dziewczęta
Odsłońcie teraz oczęta.
Czwarty pułk nie lśni już blaskiem,
Nie razi, jak słońce, rannym brzaskiem.

Szlify huzarów kir czarny pokrywa,
Żal za kolegą, radość z serc wyrywa,
Tajemnic niepokój pogodne im ryje czoła.
Już nie słyszą nawet, gdy dziewczyna woła.

Gdzież się podziały dni złotéj swobody?
Gdzież te biesiady, wesołości gody?
Spłoszył je z lśniących huzarów lica
Robak obrzydły, zwany „tajemnica.“

Pieśń tę nuciliśmy już, domaszerowując do Pesztu. Wyszliśmy zeń przed pięciu miesiącami w komplecie i nucący hulaszczą piosnkę. Powracaliśmy także w komplecie ludzi i koni, ale bez Beli i Gyuli.

Powracaliśmy z nabytkiem cichéj puszczy Keczmeckiéj, z złotym Abugörö, ulubieńcem całego pułku, który jeden swym szlachetnym wzrokiem zdawał się mówić, że zna tajemnicę, jaką każdy z oczu jego wyczytać pragnął.

Ile razy się do niego zbliżałem, to szlachetny zwierz spoglądał na mnie krótko i odwracał się, otwierając chrapy, jakby wietrząc swego pana, Belę Czákvara.

On jeden w pułku jeszcze na niego czekał.

XVI.

Rozkwaterowaliśmy się w Peszcie.

Nie ma rzeczy, któréjby wrażenia czas powoli nie zacierał, któraby nas wiecznie gnębiła. Inaczéj, życie byłoby nieznośném i niktby go nie wytrzymał. To téż i w czwartym pułku zapominano powoli

o somborskim dramacie, o tragicznym końcu Beli i Gyuli. Na nowo ogarniała wesołość lśniących huzarów i wkrótce zakipiało życie wśród nas, rwąc swym potoczystym i szumiącym strumieniem.

Po upływie pół roku od dnia, w którym nami wstrząsnęły szczegóły katastrofy, mało kto z pułku i rzadko kiedy przypominał sobie Gyulę i Belę Czákvara.

A ten przecież bawił w Peszcie, w ciemném więzieniu koszar, zwanych fortem Ś-go Szczepana, przeznaczonym dla wyjątkowych przestępców, którym kodeks karny zdzierał szlify i odbiérał lśniącą szablę. Tych było bardzo mało w monarchii, ale był nim Bela Czákvar.

Nie widziałem go, ani ja, ani Galavicini. Monarcha bowiem polecił na nowo roztrząsnąć sprawę i podczas trwania tego wznowionego śledztwa, nie wolno było nikomu komunikować się z podejrzanym mordercą.

Okoliczność ta wiele wpłynęła na to, iż rychło czwarty pułk zapomniał żyjącego oficera, będącego od lat kilku jego ozdobą. Zresztą, nie wszyscy podzielali moje i rotmistrza zapatrywanie. Znajdowali się i tacy, którzy na tajemniczą śmierć Redödiego zapatrywali się tak, jak się na nią zapatrzył sąd wojenny. Oficerowie mniéj zażyli z Czákvarem, znający go tylko jako wyjątkowo gorącéj krwi Węgra, kładli tę zbrodnię na karb jego młodego wieku, zbyt żywego temperamentu, roznamiętnionego kokieteryą Titäi. Zapewne, że żaden z nich w głębi serca nie uważał Beli za prostego mordercę, ale każdy go zaliczał do szeregów tych nieszczęśliwców, którzy zaślepieni namiętnością, popełniają w szale czyny, niczém nie odwołalne i przez prawo nie uwzględnione.

Bela Czákvar siedział w celi więziennéj, która nigdy nie widziała żadnego oficera lśniącego pułku, która się dlań opróżniła może z najordynarniejszego mordercy. Fakt ten był zbyt smutny, by się nim zajmowali w Peszcie huzarzy, rozchwytywani przez piękne węgierki, upragnieni w salonach magnatów, bawieni i rozbawieni.

Jeśli jednak wolno było wszystkim zapomnieć o nim, to nie mnie. Ja posiadałem jedyną spuściznę po Beli, Abugörö z Keczmeckiéj puszczy, który mi go codzień przypominał, który codzień choćby na jedną chwilę zasępił mi duszę losem przyjaciela i suszył mą głowę dziwną tegoż tajemnicą.

Jeśli wszyscy oficerowie czwartego pułku zapomnieli o koledze, to o nim zapomnieć nie mógł Galavicini, ta istota wybrana, ten madziar serdeczny, pojmujący przyjaźń jako wykwit poezyi i szlachetności uczuć, nie zaś jako potrzebę nadarzoną w życiu okolicznościami.

My dwaj tylko nieraz wśród gwaru uczty i brzęku szklanek zasiadaliśmy blisko siebie i szeptem rozmawialiśmy o pogrzebanym, a żyjącym koledze. I nieraz ze wstydem się spostrzegłem, że gdyby nie książę, to i ja może, ja zażyły Czákvara, zażylszy od niego, ja posiadacz ulubionego Abugörö, rówiennik Beli wiekiem i stopniem, byłbym o nim także zapomniał. Ale rotmistrz mi go zawsze przypominał, zawsze na czas, by uczucie przyjaźni we mnie nie zamarło, zawsze w sposób powołujący mnie jeszcze do pewnych, względem nieszczęśliwego obowiązków. Raz wreszcie, a było to po upływie więcéj, niż pół roku od powrotu naszego z Somboru, wszedł do mnie książę i odrazu tak zagadnął:

— Proces Beli ukończony... śledztwo nie wykryło nic a nic nowego... nic! Adwokat Czákvara miał myśl wezwania przed kratki sądowe panny Teszanj... Myśl to była genialna! ale ją stanowczo odrzucił... Bela i... — Tu, zdawało się, powstrzymał rodzaj dławienia w piersi i dokończył:—przepadł!... Przepadł na wieki. Skazany na dożywotnie więzienie...

Umilkł, pomyślał chwilę i podchwycił—zupełnie już innym, jędrnym i potoczystym tonem:

— Drogą wyjątkowéj protekcyi, którą i ja miałem i na którą zasługiwał charakter nieszczęśliwego zbrodniarza, uzyskałem dwie łaski. Pierwszą jest pozwolenie udzielone dla jednego z oficerów czwartego pułku odwiedzenia raz na miesiąc więźnia. Druga polega w tém, iż go ruszać z Pesztu nie będą.

Tu wyjął z pugilaresu kartonową, czekoladową kartkę i ciągnął:

— Oto jest bilet, wydany na cały rok z góry, za którym stróże i warty fortu Ś-go Szczepana wpuszczą raz na miesiąc w dowolnym dniu i godzinie oficera czwartego pułku. Winien on tylko kartę tę przedstawić w zarządzie i zameldować swoje nazwisko, mogące być coraz to innem.

Odpoczął, namyślił się minutę i mówił smutnie:

— Z karty téj jednak będziemy prawdopodobnie my dwaj tylko korzystać. Koledzy nasi zapomnieli Beli... oddaję ci ją. Ja bowiem tylko wtedy odwiedzę Czákvara, gdy mnie widzieć zapragnie. Ty jesteś mu bliższy wiekiem i przyjaźnią. Z tobą nieszczęśliwy będzie się mógł wygadać i w towarzystwie twém znajdzie niejedno wspomnienie. Ja mógłbym mu być ojcem... Ty jesteś jego przyjacielem. Więcéj nic uzyskać nie mogłem... Z czasem może się jeszcze da co wyrobić...

Posmutniał i westchnął, mówiąc:

— Serce się ściska na myśl, że w dwudziestym czwartym roku

życia można być pozbawionym wolności na zawsze. Człowiek od zmysłów odchodzi, usiłując zdać sobie sprawę z faktu, że dla takiego Czákvara kilka łokci kwadratowych ma być na całe życie światem. Jego madziarska fantazya, jego buchająca, jak wulkan, krew, chyba rozsadzą te grube i odwieczne mury...

Umilkł i opuścił głowę na piersi.

Długo milczał, by po chwili znów się odezwać:

— I taką potworną, społeczną zbrodnię, taką zbrodnię, obliczoną na długie lata może, spowodował uśmiéch kobiéty?

— Więc ty ciągle jesteś przekonany—zawołałem,—że Bela jest niewinny?

— Ciągle!

— I przypuszczasz zawsze, że w mocy Titäi było ocalić mu życie?

— Wiem!—zawołał, pąsowiejąc i zrywając się Galavicini:

Oniemiały, wzrokiem pytałem go.

— Słuchaj! — zawołał — wtedy w Somborze, gdyś powrócił od panny Teszanj, ja do niéj pobiegłem. Zastałem tę odaliskę odchodzącą od zmysłów, boś ty ją przygotował i wyrwał zapewne z apatyi, nie umiawszy się jednak doczekać skutków reakcyi. Te kobiéty wschodu są kobiétami także, tylko w nich trudniéj rozbudzić zniedołężniały od upału temperamet... Wtedy...

Urwał, a ja, pożerany ciekawością, czekałem.

Książę zaczął chodzić po pokoju i zdawał się ważyć, czy mi może znów jakąś tajemnicę powierzyć. Nagle przystanął i zawołał:

— Mogę ci opowiedziéć treść téj nocy, jeśli mi dasz słowo honoru...

— Masz je!

— Nikt znać jéj nie może, prócz ciebie i Beli... — podchwycił i ciągnął: — Otóż wtedy, gdym jéj przedstawił, że Bela musi być rozstrzelany, rozbudziła się w téj kobiécie kobiéta nasza, z kilkoma kroplami żywéj, węgierskiéj krwi w swych żyłach, z fantazyą i odwagą w swym mózgu. Ale kobiéta jest kobiétą. Powiedziała mi jedno tylko, i to jedno wystarczało. Powiedziała mi, że Czákvar nie zabił Gyuli! Ale...

— Ale?

— Ale, aby ocalić życie Beli, gotowa była raczéj jadowitego węża przyłożyć do piersi, niż się przyznać do jednego z tysiąca kobiécych, na wschodzie surowiéj sądzonych, niż u nas, wybryków. Nie przyznała się do niczego, dowodu mi nie dała żadnego: „Ja nic nie mogę“ powtarzała, wijąc się we wzrastającéj rozpaczy. Ona nic nie

mogła. Ona nie mogła — zawołał donośnym głosem, ożywiając się książę—rzucić na siebie cienia podejrzenia, surowo huryskom wzbronionego, ale mogła...

— Co mogła?—podchwyciłem, widząc, że rotmistrz urwać zamierza, jak się téż i stało.

— Co mogła?—powtórzyłem.

— Co ona mogła? — zaśmiał się książę i zapytał, wpijając swój wzrok we mnie. — Czy myślisz, że ocalenie fortelem życia Beli było wtedy możliwém bez współudziału kobiéty? Czyś słyszał kiedy w historyi, by „hasło“ zostało zdradzoném komu innemu, niż kobiécie?

Odpoczął i ciągnął:

— Myśl była moją, ale wykonanie nigdyby mojém nie było. Wiedziałem, że telegram z Wiednia, rano wyekspedyowany, a cesarz wstaje o ósméj, a przyjmuje od dziewiątéj, nie mógł dojść do Somboru na dziesiątą... Przedstawiłem to Titäi i przedstawiłem jéj wtedy bajeczny mój plan, swą fantazyą.

Uśmiechnął się i zapytał:

— Jeśli sobie przypominasz, to równocześnie z Belą i Gyulą nadskakiwał Titäi podstarzały, ale gorącéj krwi człowiek, generał Festiczy...

— Przypominam sobie...

— Otóż, gdy Titäa się dowiedziała, że w mym planie znajomość hasła, opóźniając wykonanie wyroku, ocali życie Beli, niedługo się namyślała: „Panie—rzekła do mnie ta prawdziwa ze szpiku i kości bośniaczka—o czwartéj rano, dzisiaj w nocy, staniesz pod tarasem przy skrajnym filarze i usłyszysz to słowo, które ci jest potrzebném.“ Żebyś był ją widział wtedy, jak błyszczały jéj oczy, jak była piękną, jak prawdziwą córą wschodu i tajemnic jego haremów. Ona ocaliła Belę!

Galavicini urwał, ale i we mnie zamiast krwi, nie płynęło mléko.

— Słuchaj!—krzyknąłem, przyskakując do przyjaciela i chwytając go za bary—jeśli myślisz nie dokończyć, jeśli...

— Czekaj!—zawołał książę.—Mówię do ciebie, jak do grobu, bo grobem jest huzar czwartego pułku, związany słowem honoru i może czcią kobiéty, grobem! jak tego dał dowód Bela. Mówię dlatego, że chcę, by on to wiedział. Otóż wtedy stanąłem na stanowisku i widziałem wśród téj ślicznéj nocy, jakie tylko na wschodzie się zdarzają, o trzeciéj rano cień czarny, wsuwający się z ulicy do pałacu Teszanjich. Cień lekki, cień jakby kobiéty, okrytéj czarnemi koronkami

i czarnym woalem... W chwilę późniéj, usłyszałem szelest w roślinach wijących się od sieni, ku balustradzie pałacu, szelest podobny do tego, jaki ptaszek zabłąkany sprawia, szukając noclegu w liściach kolczastych palm i olbrzymich dracen. Szepnąłem „jestem,“ a głos stłumiony, drżący, melodyjny i ciepły odparł jedno dziwne słowo, które brzmiało „*Huraha*,“ a które nazajutrz mogło zelektryzować w jednéj sekundzie miasto i kilkunastotysięczną armię... Ona ocaliła życie Beli.

— A więc — zawołałem — chyba go kocha?

— Nie wiem — odparł książe i dodał — Wierzaj mi, że każda kobiéta jest zagadką, a taka Titäa, spędzająca życie na szezlongu, bawiąca się doprowadzaniem ludzi do szału i rozpaczy, a zdolna do wyrwania hasła w stanie oblężenia, jest jeszcze większą od nich. Oto wszystko! Gdy cię Bela spyta, jakiéj cudownéj okoliczności zawdzięcza życie, to mu opowiédz tę historyę, która mu może da w jego samotności wątek do pocieszających myśli, czy marzeń.

XVII.

Nazajutrz udałem się do Czákvara.

Zastałem go silniéj przygnębionego, niźli był wtedy w Somborze, na kilka minut przed śmiercią.

Widocznie ta perspektywa długiego, dożywotniego więzienia była mu straszną i stała mu wciąż na oczach nie pozwalając się ani na sekundę zapomniéć.

Blady, znękany, nerwowy nadmiarem swych sił żywotnych, sprawiał wrażenie tak bolesne, iż postanowiłem podczas trwania téj wizyty jak najrzadziéj go odwiédzać, by sobie oszczędzić nad wszelki wyraz przykrych uczuć.

Książki, dzienniki, które drogą protekcyi otrzymywał, nie przynosiły mu żadnéj ulgi.

— Nie czytam ich — mówił. — W mojém położeniu najwięcéj daje ulgi stan pewnéj zwierzęcéj ociężałości, którąby echa żyjącego świata i wspomnień czyniły niemożliwą. Teraz dopiéro rozumiem zwierzęta na uwięzi, nie umiejące mówić, i czekające tylko godzin udzielania im strawy, jedzące i śpiące naprzemian...

Milczałem, bo mi się serce krajało, gdy Bela w ten sposób mówił.

Gdy mu opowiedziałem powierzoną mi przez Galaviciniego tajemnicę jego ocalenia, Czákvar słuchał z widocznym interesem. Gdym

skończył jednak, nie odezwał się słowem i czekał, abym mu dalej coś, jak dzieciakowi opowiadał.

A ja i opowiadać nie mogłem. Bałem się bowiem, by słowa moje, obracające się treścią w żyjącym i swobodnym świecie, nie budziły w nim rozpaczy i melancholii, której już wszechpotężnie ulegał.

Sądziłem, iż dla więźnia, nie mogącego mieć nadziei rychłéj swobody, strasznem być musi słyszenie o niéj.

Co chwila więc otwierałem usta i zagryzałem język, co Bela spostrzegł, a z oczu jego widziałem, że przyczyny tego, nietylko rozumiał, ale uwzględniał.

Czynił na mnie okropne wrażenie. Nabiérałem w ciągu téj pierwszéj wizyty pewności, że jeśli nie zajdą jakieś cudowne dla niego, szczęśliwe okoliczności, dostanie obłędu, jak większa część ludzi jego usposobienia, pozbawionych wolności.

Jeśli chętnie otwierał usta, to tylko wtedy, gdy mógł mówić o możliwości opuszczenia fortu św. Szczepana.

A ta możliwość jakże była ograniczona. Ale, nieszczęśliwy Bela wiedział już od dozorców więziennych o różnych nadzwyczajnych wypadkach. Opowiadał mi, cytując nazwiska, jak raz jeden, podobny do niego skazaniec, został po roku uwolniony szczęśliwie przychodzącą amnestyą. Drugi, siedział rok tylko w celi, gdyż odkryto nieprzewidzianie, nowe, obalające jego winę, dowody. Inny zwaryował i przeniesiono go do domu zdrowia, gdzie już pozostał, używając względnéj swobody.

Słuchać tych rzeczy, wychodzących z ust Beli było katuszą. Ale opowiadanie ich ożywiło go i po kilku godzinach stał się do rozmowy zdolnym i do siebie podobnym. Gdym go nadto wymownie przekonywał, że co tylko będzie w mocy ludzkiéj, to dlań uczyni Galavicini, rozbudził się z tego letargu, w jaki go sześć miesięcy więzienia pogrążyło.

Korzystając z tego usposobienia przyjaciela, zapytałem go:

— Czy zawsze przypuszczasz, że Titäa miałaby środki uwolnienia cię?..

— Sądzę — odparł Czákvar — a dziś więcéj, niż kiedykolwiek. Jeśli wtedy zdolna była do tego, co uczyniła, by mi ocalić życie, to dlatego tylko, że się poczuwała do pewnych względem mnie obowiązków.

— A nie przypuszczasz, by Titäa się w tobie... kochała?

— Nie wiem! Wątpię... Była zemną taką samą, jak z Gyulą...

— Ale na czemże opiérasz twoje wnioski?

— Na tém — odparł spokojnie Czákvar — że mojém przekona-

niem pismo to, które zwilżyło pióro Gyuli przed śmiercią, przeznaczonėm było dla Titäy...

— Gdzież się ono podziało?

— Nie wiem — odparł obojętnie i ożywił się zaraz. — Ale wiem, że pisał, że musiał pisać, między mojém wyjściem od niego, a wystrzałem.

— Masz na to dane?

— Mam! Papiér, pióro i atrament nie leżały, gdym był u niego na tym stole, na którym je zastano...

— Wspominałeś o tém w zeznaniach?

Czákvar ruszył ramionami, uśmiechnął się.

— Pocóż?

— W takim razie, ktoś usunął to pismo i pistolet? — podchwyciłem.

— Jeśli usunął pismo, to mógł usunąć i pistolet — odparł Bela.

— Miałże czas na to?

— Miał!

— A czy Gyula nie mógł poprzestać tylko na zamiarze pisania? W tym celu zmaczać pióro w atramencie, przyniósłszy sobie na ten stół papiér? — pytałam, jak sędzia śledczy.

— Mógł... zapewne... — odparł Czákvar — ale przypuszczenie to mniéj wytrzymuje krytykę -- niż moje.

-- Dlaczego?

— Bo, jeśli ktoś usunął pistolet, to mógł usunąć i pismo. Bo, jeśli Gyula coś palił, to mógł i coś pisać.

— Palił więc nie przy tobie?

— Nie przy mnie.

Mogliśmy mówić bez końca nie dochodząc do żadnych wyników. Stan jego zaś tak mnie zasmucał, że postanawiałem jeszcze raz udać się do Titäi i może coś uzyskać, przedstawiając jéj los Beli. Gorączkowo nad tém wszystkiém myślałem. Wreszcie obracając się ciągle w tém błędném kole, zapytałem:

— Sądzisz więc, że Gyula napisał do Titäi?

-- To mi podszeptuje instynkt.

— Że napisał, iż sobie sam życie odbiéra?

— Cóżby innego w takiéj chwili mógł napisać?

— I ona-by tego dokumentu nie pokazała?

Czákvar ruszył ramionami.

— Nie wiem! niewiem! — zawołał zmęczony — sądziłem, że ten dokument, jeśli go ma, zataiła, bo on ją kompromitował, ale w takim

razie, cóżby ją znów skłaniało do kroku, którego był świadkiem Galavicini?.. Nie mówmy o tém. Ja nie wiem! Ja nic nie wiem! Ot, elukubracye pracującego w samotności mózgu... Wszystko być może. Mógł nie pisać o tém, mógł nie pisać do Titäi, mógł nie pisać zupełnie. Dajmy spokój temu. To wszystko już przepadło... stało się.

Bela westchnął.

— I to wszystkiego narobił Abugörö!

— Więc to ty, czy Gyula uparliście się przy téj kobiécie, tylko dla postawienia na swojém? — zapytałem ździwiony?

— Nie wiem! On ją kochał... Ja... — urwał i podchwycił. — Mnie się podobała, ale zajęty nią byłem jeden dzień tylko, i to ten właśnie, w którym się dramat rozegrał. Ha! Gdybym ją był kochał od początku...

-- To?

— To by może do katastrofy nie przyszło...

— Dlaczego?

Tu Czákvar spojrzał mi w oczy i zawołał:

— Proszę cię! Nie mówmy o tém — umilkł i znów zagadnął. — Rzecz dziwna! Co to jest czar kobiécy! Tyle mi złego wyrządziła, ale to tyle... I ja żalu do niéj nie czuję... Zdaje mi się, iż gdyby stanęła tutaj... tobym...

Urwał nagle. Policzki mu nabiegły krwią, oczy zabłyszczały, a usta się roztworzyły. I długo w tym stanie pozostał.

Obudził się z zadumy, gdy musiałem go opuścić, bo zegar zwiastował godzinę, o któréj zamykano bramy więzienne.

— Na przyszły miesiąc — mówił — proś Galaviciniego, by przyszedł. Niechże mu podziękuję...

Ciężkie drzwi się zatrzasnęły i jeszcze nie uszedłem kilku kroków, a już je ryglował na łańcuchy i żelaza dozorca tych nieszczęśliwych, między którymi zapewne jeden tylko był pożałowania godny Czákvar!

XVIII.

Minęło kilka miesięcy, zbliżających nas do zimy, która już była za pasem.

Żadna w niczém nie zaszła zmiana. Czwarty pułk daléj pozostawał w Peszcie, a Bela w swém więzieniu.

Nadchodzący karnawał, żywo interesujący lśniących huzarów,

zapowiadał się wyjątkowo świetnie z powodu licznego napływu obcych żywiołów, szczególnie z prowincyi południowych.

Próbowałem udać się jeszcze raz do panny Teszanj, ale jéj w żaden sposób odnaleźć nie mogłem. W Serajewie wiedziano tylko, że rodzina bawiła zagranicą, a Galavicini skądś się dowiedział, że Teszanj'owie mieli zamiar zupełnego ekspatryowania się z Bośnii, nieprzypadającéj do smaku ani staremu magnatowi, ani pani, ani Titäi.

W tym celu nawet wyprzedawali się powoli w swéj ojczyźnie z dóbr i nieruchomości w Serajewie i Banjaluce. Bawili jednakowoż to tu, to owdzie, tak, iż zastania ich gdziekolwiek, najmniejszéj nie miałem szansy. Opuszczali Wiedeń, by się pojawić w Paryżu, a wkrótce późniéj we Włoszech, to znów na Riwierze.

Włóczyli się jak setki ich współziomków. Porzuciłem nawet niedorzeczną myśl udania się kiedykolwiek do pięknéj Titäi, całe bowiem oparcie się na wiadomościach, które ona miéć mogła, wydawało mi się przy trzeźwiejszéj rozwadze, bezpodstawném.

Bela musiał uledz swemu nieszczęsnemu losowi. W takiém stadyum znajdowały się jego stosunki, gdy na jednym z pierwszych balów owego karnawału, dziwne, jakby powiązane z nimi, zaszły okoliczności.

Był to bal u hrabiny Erdödy, żony byłego oficera czwartego pułku, wtedy jenerała i naszego dywizyonera.

Naturalnie, dostaliśmy wszyscy zaproszenie na ten bal, rozpoczynający zawsze świetny i wesoły w Peszcie karnawał.

Wszedłszy do salonów, zastałem w nim jeszcze bardzo mało osób, ale znajdował się już Galavicini, którego jakimś zbiegiem okoliczności nie widziałem od kilku tygodni. Rotmistrz bowiem, zdawszy mi dowództwo z powodu rozlicznych zajęć, usunął się na pewien czas od zajęć.

Skoro tylko mnie zobaczył, podbiegł do mnie.

— Byłeś u Beli? — zapytał.

— Byłem temu trzy tygodnie.

— Jakże?

— Nic nowego. A co? — zapytałem, widząc rodzaj zaniepokojenia na jego obliczu.

— Wystaw sobie — mówił, chwytając mię za ramię i uprowadzając do dalszych i cichych salonów — dostałem przed trzema tygodniami, tego samego dnia prawie, kiedy opuściłem szwadron, list... anonim z Wiednia, proszący usilnie i naglące o wiadomości o Czákvarze. Osoba ta chciała wiedzieć, czy Bela pozostanie w Peszcie... a przytém dopytywała się o niektóre szczegóły jego dotyczące.

— Odpisałeś naturalnie?

— Odpisałem i najdokładniéj, zachodząc w głowę, ktoby to niepodpisanym listem żądał odemnie informacyi. W kilka dni późniéj wypadła mi bytność w Wiedniu... w operze, na dworskiém przedstawieniu, w loży pierwszego piętra, poznałem Teszanj'ich... Nie wiem, czy mnie Titäa poznała? czy mnie widziéć nie chciała? Dość, że przez cały czas trwania przedstawienia, nie spojrzała w moją stronę, jakby umyślnie, a przeważnie zasłaniała się cała po oczy wachlarzem... Przypuszczam więc...

— Że Titäa była autorką anonimu? — dokończyłem.

— Nie inaczéj.

Salony napełniły się po brzegi, muzyka już przygrywała, tańczono, a myśmy jeszcze siedzieli w saloniku i gwarzyli, po dość długiém stosunkowo niewidzeniu się.

Wtém, jakby przypadkiem wsunęła się do téj komnaty sama gospodyni domu.

— Panowie tutaj? — zawołała podchodząc — nie byliście przy wejściu osoby, nad którą piękniejszéj nie widzieliście, która będzie królową tegorocznego karnawału? Jest uroczą, i ja sama...

— Któż taki? — wtrącił książe.

— Jakto? Niewiecie nawet, że już od kilku dni bawi w Peszcie tak piękna kobiéta? Nie poznaję lśniących huzarów... nie poznaję cię, książe...

— Doprawdy nic nie wiem.

Hrabina ciągnęła:

— Ta osoba nazywa się Titäa Teszanj.

— Ona! — zawołał rotmistrz, bledniejąc.

— Znasz ją?

— Znamy ją obaj — podchwyciłem.

— Zkądże? — pytała hrabina — to rodzina z Serajewa zamierzająca osiedlić się w Peszcie. Pani Teszanj jest...

— Znamy ją! znamy całą rodzinę — podchwycił książe i zmierzył ku salonowi.

Hrabina szła ze mną. Opowiedziałem jéj więc, w jakich okolicznościach poznałem nową gwiazdę peszteńską, zanimeśmy doszli do sali balowéj.

Tak! Titäa może była jeszcze piękniejszą niż przed półtora rokiem. Zdawało się, że jéj oblicze zatraciło cechującą ją apatyę, przez co zyskało na życiu, wyrazie i blasku. Miejsce obojętności, niewypowiedzianym spokojem pokrywającéj przedtém jéj rysy, zajął teraz wyraz myślący, głęboki, z odcieniem melancholii i wewnętrznéj troski.

Ta ostatnia niejako zdobiła to oblicze, wyrwane haremowi a nie bezmyślne.

Coprędzéj przecisnąłem się przez tłum i stanąłem przed panną Teszanj. Nie zdziwił ją mój widok, owszem, zdawała się go oczekiwać:

— Spodziewałam się zastać pana tutaj — szepnęła niedostrzegalnie zażenowana.

— Schlebia mi niewymownie — odparłem — żeś pani wogóle zatrzymała mnie w pamięci.

— Jakżeby mogło być inaczéj — podchwyciła z uśmiechem, który nie tak jak dawniéj igrał, ale był wyrazistszym i przez to bardziéj uroczym. — Mundur, który pan nosisz, narysował się na jednéj karcie mego życia zbyt ostremi konturami, by mi kiedykolwiek mógł być obojętny.

Te słowa napoiły mnie taką radością, iż na razie niezręcznie zamilkłem. A więc, Titäa, sama, przypominała przeszłość i upoważniała mnie tém samém do mówienia o niéj. Trzeba było z taką, jak panna Teszanj kobiétą kuć żelazo, póki gorące.

— Jeśli tak — podchwyciłem — to jestem szczęśliwy, że ten mundur noszę. Pozwoli mi on z panią spędzić niejedną zapewne miłą chwilę...

— Czy miłą? — zapytała Titäa. — Sądzę, że nie... Zobopólnie przypominać sobie będziemy... — urwała i kończyła swą myśl — ale we wspomnieniach, nawet przykrych, jest coś rozkosznego. Nie sądzisz pan?

— Ow...szem! — bełkotałem.

Titäa ciągnęła już innym, sztucznie ożywionym tonen:

— Przybyliśmy na dłużéj do Pesztu... Pan także tu spędzisz zimę?

— Tak, pani!

— Jestem w usposobieniu, w którém mi są prawie wstrętne nowe znajomości... Cieszę się, że pana spotkałam... Do kolacyi ofiarujesz mi pan swoje ramię...

— Uszczęśliwiasz mnie pani!

— Jesteś pan *un faiseur de compliments*... Ja nie dbam o nie... Ja mam z panem do pomówienia o wielu rzeczach.

— Jeśli są one téj saméj treści, jak te, o których, i ja pragnąłbym z panią...

Titäa przerwała poważnie:

— Ja chcę pomówić z panem — urwała, poczerwieniała i szepnęła — o naszym nieszczęśliwym, wspólnym przyjacielu.

— O Czákvarze?

— Na Boga! — zawołała blednięjąc panna Teszanj — nie mów tak głośno... Oddal się teraz... Nie zwracajmy uwagi. Będziemy najlepszymi przyjaciółmi w ciągu téj zimy, ale dla oczu ludzkich trzymajmy się zdala...

Widziała, że jéj nie zrozumiem, i wstając by się oddalić, szepnęła z właściwą tylko kobiétom wschodu tajemniczością:

— Mam w tém swój cel.

Stałem na miejscu, przykuty myślą.

Co ta kobiéta knuła? Czy może i mnie zamierzała w swą sieć uwikłać? Spojrzenie jéj ostatnie, jakie mi rzuciła, było pełne kokieteryi, jeszcze niebezpieczniejszéj, niż ongi.

Doznawałem przez chwilę uczucia przestrachu. Brunetka, o olbrzymich, powłóczystych oczach, w których się mimowolnie wciąż widziało jednego trupa i jednego więźnia, była przestraszającém i podejrzaném zjawiskiem.

Mimo to, czekałem niecierpliwie kolacyi, która mnie znów z tą, co chwila bardziéj zagadkową, a tém więcéj czarującą kobiétą, połączyć miała.

XIX.

Titäa nic mi wtedy nie powiedziała, ale niezawodnie dowiedziała się odemnie wszystkiego, co chciała.

Odtąd widywaliśmy się często. Nie tylko spotykałem ją na zebraniach w wielkim świecie peszteńskim, ale bywałem nierzadko u Teszanj'ich.

Inna to była już z gruntu kobiéta. Pozbawiona w swém otoczeniu wschodnich zwyczajów i dekoracyi, sprawiała całkowicie odmienne wrażenie. Nieraz zastawałem ją na pół leżącą na szezlongu, a przecież nie mogłem jéj sobie wystawić, leżącéj w swych cekinach i wschodnich tkaninach na tureckim dywanie, jak ją tylekroć razy widziałem w Somborze.

O ile Titäa oryentalnie ubrana, wśród dywanów, palm i wachlarzy robiła wtedy wrażenie apatycznéj i rozkosznéj odaliski, o tyle teraz na tle wyrafinowanego, europejskiego otoczenia, wydawała się namiętną, ale energiczną, blaskiem swych oczu i jędrnością swych rysów kobiétą.

Pytałem sam siebie, czy Titäa się radykalnie zmieniła, czy téż tak ramy zmieniają wygląd żyjących obrazów.

Panna Teszanj peszteńska była daleko bardziéj czarującą od

somborskiéj Titäi. Wtedy była to cudna huryska. Dziś miałem przed sobą prześliczną, europejską kobiétę, którą gorące tony i rysy zdobiły niezrównaném pięknem.

Ileż razy żałowałem, że jéj takiéj widziéć nie mógł nieszczęśliwy Bela, niewiedzący nawet, że bawiła w Peszcie.

Nie wiedział bowiem.

Tego dnia właśnie miałem spędzić cały długi zimowy wieczór w więzieniu Św. Szczepana. Wyrobiłem był sobie kartę na moje imię i cieszyłem się nadzieją tych odwiedzin nie widziawszy przyjaciela od dwóch miesięcy, bo ostatnim razem odwiedzał go Galavicini. Cieszyłem się tém więcéj, iż mogłem mu zakomunikować, że Titäa żywo się nim interesowała, że na mnie przez niego spływały jéj łaski. Sądziłem, że to wszystko mogło rozerwać przyjaciela, który nie taił wpływu, jaki nań wywierało wspomnienie téj kobiéty.

Zégarek mój wskazywał wpół do piątéj, a o téj właśnie porze miałem się udać do koszar Św. Szczepana i obstalowałem dorożkę mającą mnie tam zawieźć.

Chodziłem po pokoju i nadsłuchiwałem turkotu, zatrzymującego się przed domem powozu. Niedługo kazał on na siebie czekać. Nagle zajechał wehikuł i stanął przed bramą. Spojrzałem na zégarek, wskazówki stały na dwudziestu minutach na piątą. Zadziwił mnie ten pośpiech fiakra, ale mu go za złe nie brałem. Narzuciwszy płaszcz, zbliżałem się do wyjściowych drzwi, gdy po drugiéj ich stronie usłyszałem szelest jedwabiu i zatrzymujące się lekkie kroki. Zaparłem oddech i czekałem...

Zapukano gorączkowo.

— *Entrez!* — zawołałem.

Drzwi się otworzyły i wpadła do pokoju kobiéta, cała w czerni, zawoalowana, jak domino z maskarady.

Stałem oniemiały. Kobiéta ruchem szybkim zrzuciła woal z siebie...

Była to Titäa.

— Zamknij pan drzwi — rozkazywała blada i drżąca.

Wykonałem zlecenie, do nieopisanego stopnia oszołomiony. Czego ona chciała?

— Nikogo tu nie ma?

— Żywéj duszy!

— Nikt nie nadejdzie?

— Nikt! Ale pani wyglądasz przestraszona? Cóż się stało?

— Nic! Słuchaj pan!

— Słucham!

Panna Teszanj musiała odpocząć, bo ją zmęczyło wzruszenie. Po chwili zapytała:

— Pan dziś jedziesz do Czákvara?

— Tak pani! W téj chwili miałem to uskutecznić...

— Dobrze! Ja go muszę widziéć.

— Ależ to rzecz niemożliwa.

— Co pan mówisz?

— Mówię, że to absolutnie niemożliwe.

— Pan żartujesz?

— Nie pani!

— Wszakże wpuszczają cię za kartą, na któréj wypisane twoje nazwisko?

— Tak!

— W więzieniu nie znają cię dozorcy?

— Nie!

— Kartę zostawiasz im?

— Tak!

— Gdy wchodzisz i wychodzisz, nikt cię nie zaczepia?

— Nikt!

— A więc? — zapytała ostatecznie.

Wytrzeszczyłem zdumiony wzrok.

— Dobrze pani! — podchwyciłem — ale ja jeden tylko mam prawo wejść do gmachu więzień, ja oficer czwartego pułku...

— Wiem o tém.

Staliśmy naprzeciw siebie w milczeniu, które przerwała Titäa, jakby się budząc z zadumy.

— Czasu do stracenia nie ma... każda chwila mi jest drogą... daj mi pan jaki swój mundur.

Stałem ogłupiały, a ona ciągnęła:

— No prędko! Dawaj mi pan mundur i nie bądź babą.

— Ależ pani! — zawołałem przerażony mniéj projektem, niż jéj stanowczością. — Zastanówże się, na jakie niebezpieczeństwo się narażasz, na jakie przykre wypadki, na jakie ich skutki... nie mówiąc już o mnie, którybym popadł pod srogą odpowiedzialność... nie mówiąc o Beli...

Titäa mi przerwała.

— Nie mów pan tak dużo. Ja muszę, muszę! widziéć Belę. Ja dawno ten projekt uknułam, dla wykonania go, zjechałam do Pesztu. Ja już umiem chodzić w waszym mundurze, ja...

Urwała i igrając swemi świecącemi oczyma, ciągnęła:

— My kobiéty w innych zapatrywaniach wychowywane, my

córki wschodu i praw Mahometa, umiémy mylić czujne straże. My w kołysce już słuchamy śpiewów o przebiegłości naszych matek i babek. Nie bój się. Ja pójdę zamiast ciebie i powrócę. Nikt nie podejrzy mego przebrania, nikt nie... Jestem tego pewną. Huryski, które się wyślizgują z haremów, działają tylko z im właściwą stanowczością i przebiegłością, o któréj pojęcia nie macie, bo nie karzecie tych kobiécych zbrodni śmiercią. Babka moja po ojcu była jeszcze w haremie... Dawaj mi pan mundur...

Stałem nieruchomy.

— Czy się pan o siebie boisz? — zapytała mnie ze śmiechem.

Zerwałem się i pobiegłem do drugiego pokoju, aby wyszukać ubranie oficera czwartego pułku dla Titäy.

— Mundur jest gotów — zagadnąłem, powracając — ale jeszcze raz wzywam panią do... Jeśli masz co do powiedzenia Beli, to wystaw sobie, że jestem głuchym, niemową. Jeśli chcesz go koniecznie widziéć, to zaczekaj. Może zdołam coś wymyślić... przekupić straże... przygotować i zabezpieczyć cię.

— Nie! Ja dziś pójdę! Ja już dłużéj wytrzymać nie mogę. Ja muszę widziéć Belę, muszę w całéj rozciągłości znaczenia tego słowa... Powiedziéć mu nic nie mam, ale mam z nim pomówić, a muszę widziéć grę oczu jego i rysów, podczas téj rozmowy. Ja nie mogę być zastąpioną... A jeśli los zechce, bym... została schwytaną, to... to... W takim razie staraj się pan, by skandal ten nie doszedł do mych rodziców... umarliby...

To mówiąc, pobiegła do przyległego pokoju. Za chwilę powróciła zeń ubrana po huzarsku, z szablą przy boku, otulona w płaszcz z podniesionym kapturem.

— Odwieziesz mnie pan — rozkazała, a fiakrowi polecisz, by od godziny dziewiątéj czekał pod fortem... nie jestem pewną mych kroków w butach i ostrogach i muszę ich jak najmniéj robić... Jeśli o wpół do dziesiątéj nie będę z powrotem, to dowód, że zostałam zaaresztowaną. Wtedy... działaj!

Ruszyła pierwsza, a idąc za nią miałem chwilę, w któréj zapomniawszy o teraźniejszości, sądziłem, iż widzę przed sobą kolegę, oficera „lśniących huzarów.“

Jechaliśmy do koszar. Przez drogę informowałem Titäę, ulegającą mniejszéj odemnie, tremie, o sposobie zachowania się. Gdy fiakier się zatrzymał, wyskoczyła zeń Titäa i śmiałym krokiem podążyła do wnętrza olbrzymich koszar i minęła stojącą w bramie główną wartę, i odsalutowała jéj najpoprawniéj,

Z zapartym oddechem śledziłem ją dalej, póki nie zniknęła mi w olbrzymiém, ciemném podwórzu.

Gdy przez pół godziny najmniejszy ruch u koszar nie zdradził żadnego nadzwyczajnego wypadku, kazałem się wieźć do domu, gdzie mi godziny czekania miały się wydać wiekami.

XX.

Titäa powróciła wtedy szczęśliwie ze swéj wyprawy. Punktualnie, o zapowiedzianéj godzinie, wpadła do mnie, zamknęła się w przyległym saloniku, zrzuciła mundur, a przywdziała swoje czarne domino i wybiegła.

Od tego czasu upłynęło ze dwa tygodnie. Niecierpliwie oczekiwałem nadejścia terminu, w którym bym mógł odwiedzić Belę. Panna Teszanj bowiem, jakkolwiek ją niemal codzień widywałem, nie wspominała o swéj wizycie u mnie i w forcie Św. Szczepana. Nieraz sądziłem, iż cały ten ekscentryczny i tyle mnie kłopotu wówczas nabawiający epizod był snem, a nie rzeczywistością. Cierpiałem niewymownie, iż o tém wszystkiem mówić nie mogłem z Galavicinim. Wprawdzie powierzył mi on epizod również drastyczny z życia Titäi, ale powierzył mi go w pewnym celu, z ważnych pobudek i w chwili, gdy sądził na podstawie danych, że panna Teszanj była wschodniém zjawiskiem, z którém żaden z nas już nigdy prawdopodobnie się spotkać nie miał. Ja zaś nie widziałem dość poważnych przyczyn, aby mnie upoważniały do wtajemniczenia rotmistrza w krok Titäi. Z tego powodu nawet popadłem w kłopot, gdyż kłamać musiałem, ile razy mnie się to o to, to o owo, dotyczące Beli, książe wypytywał. A Titäa, widocznie nawet nie przypuszczając niedyskrecyi z méj strony, nie prosiła mnie ani razu o tajemnicę, nie obowiązywała mnie do niéj, najmniejszém słowem.

Nie wypadało mi nic innego czynić, jak cierpliwie czekać chwili, w któréj miałem najwcześniéj widzić Czákvara.

Na dwa tygodnie jednak przedtém spotkałem się z Titäą, jak zwykle na balu, w jednym z peszteńskich salonów.

Skoro mnie tylko dostrzegła, nie umiała ukryć pewnego zadowolenia, które spowodowało, żem się w téj chwili przy niéj znalazł.

— Panie drogi! — zawołała swym cichym głosem, ile razy ze mną mówiła — bądź łaskaw jutro przyjść do ojca mego i poproś go, by ci wyrobił pozwolenie odwiedzania Czákvara raz na tydzień.

Słuchałem zdumiony, a panna Teszanj ciągnęła:

— Wyglądasz pan zdziwiony... Rzecz tak się ma... Mój ojciec

przez swoje wysokie stanowisko... przez swoje miliony... przez moją matkę wreszcie, ma wyjątkowe i w Peszcie wpływy...

— Wierzę — podchwyciłem — ale Galavicini również silnie protegowany i popiérany, na wszelkie starania, jakich dołożył, uzyskał tylko pozwolenie, raz na miesiąc...

Titäa uśmiechnęła się.

— Ja wiem co mówię. Nie każę tu panu odgrywać roli śmiesznéj.. Zasięgnęłam już informacyi... Wpływy księcia od wpływów mojego ojca są odmienne. Są osoby wysoko położone, które mojemu ojcu odmówić, czego zażąda, nie mogą. Pan zaś możesz o tém wiedziéć... wiedziéć...

Zamyśliła się i ciągnęła po chwili:

— Powiész pan ojcu, iż przypuszczasz to, widząc mego ojca w takiéj przyjaźni z księciem Tiszą... Przecież on wiele może...

— Zastosuję się do życzenia pani.

— Jutro?

— Jutro!

— Ja już w tém będę, by mój ojciec nie zwlekał. Spodziewam się, jeźli tylko zdrów będzie, że zaraz jutro to pozwolenie uzyska...

— Ojciec pani cierpiący?

— Nie! — odparła Titäa — ale ma blisko osiemdziesiąt lat... W tym wieku jest się dziś zdrowym, a jutro... — urwała i rozglądając się po salonie szepnęła — oddal się pan... Już zwracamy uwagę. W Somborze mogliśmy...

— Właśnie! — podchwyciłem — intrygujesz mnie pani zmianą, jaka w tobie zaszła od Somboru.

— Ha! w Somborze byłam swobodną... bawiłam się. Nikt mnie nie śledził. Tutaj w tym tłumie ciekawych nie osoby mojéj, tylko mojego posagu, jestem jak figura na postumencie... Zresztą — urwała, znów pomyślała, tocząc po salonie swemi powolnemi oczami — po somborskim skandalu, chcąc by on się nie ujawnił, nie mogę narzucać się oczom ludzkim z czwartym pułkiem. A wreszcie... mój ojciec...

Tu zacisnęła usta i urwała stanowczo, dodając do mych niezaspokojonych ciekawości, nową.

Te dwa słowa „mój ojciec,“ wymówione cicho i bez dalszego ciągu, zdawały mi się punktem wyjścia w pracy, prowadzącéj do wyjaśnienia wielu tajemnic.

Usunąłem się myśląc nad tém. Rozmowa z Titäą otwierała mi niejako nowe horyzonty. Piérwszy usłyszałem o wpływie jéj ojca, o którym wiedziałem tylko z Sombora, iż miał być bardzo bogatym.

Nie bardzo wierzyłem w te milony kamienistéj i górzystéj Bośnii. Dziś piérwszy raz mi o nich Titäa wspominała, nie kładąc na nie żadnego nacisku, jakby o rzeczy powszechnie znanéj.

Stary Teszanj, któremu nigdy dobrze się nie przypatrywałem, zaciekawiał mnie. Bywając w jego domu, nie znałem go prawie. Starzec niesłychanie skromny i poważny w swym sposobie zachowania się, głosu jego nie przypominałem sobie. Uważałem go za jedną z tych licznych figur, wyniesionych przypadkowo na wyżyny, w których się obracać nie umiał. Dziś dowiadywałem się, iż ten cudzoziemiec miał być wszechmocnym w urzędowym świecie stolicy Węgier.

Wszystko to pomieścić mi się w głowie nie mogło. Wprawdzie, jako oficer czwartego pułku nie interesowałem się stanowiskami, ani stosunkami domów, w których się bawiłem, ale mnie drażnił fakt, iż w tym razie w zupełnie fałszywych żyłem pojęciach. Teszanj'ich uważałem za wzbogaconą rodzinę wschodnich parweniuszów. Przecież dzika Bośnia, zdawało mi się, arystokracyi miéć nie mogła.

Wysoce intrygowany postanowiłem odnaleźć starego Teszanj'ego i przypatrzéć mu się. Znajdował się na balu i grał w karty w gabinecie przy stoliku, u którego wraz z nim siedziało trzech najmajętniejszych magnatów węgierskich.

Był to nizki staruszek, o białéj brodzie, o zmęczoném, choć bystrém jeszcze spojrzeniu. U fraka, dnia tego, połyskiwała ogromna gwiazda jakiegoś tureckiego orderu, a u butoniery znajdowało się również kilka orderowych oznak. Piérwszy raz widziałem u starego pana te dekoracye. Przed nim leżał stos stuguldenowych banknotów, które rozdawał przegrawszy i gromadził wygrawszy w téj wyjątkowo grubéj partyi z zadziwiającą i tylko u ludzi jego wieku możliwą obojętnością. Ta obojętność, z jaką grał, wygrywał i płacił, imponowała mi. Nie było w niéj pańskiego imponowania pieniędzy, ale widniała ta prosta, naturalna dla nich obojętność. Sposobem swym grania zdradzał, iż był milionerem, niebojącym się uszczerbku, a nieprzypuszczającym mogącego mu czynić różnicę przyrostu.

Długo wpatrywałem się w jego spokojne oblicze i nic z niego wyczytać nie mogłem. Galaviciniego na tym balu nie było, ale dostrzegłem przy bufecie Kardassego, raczącego się szampanem. Zbliżyłem się do niego i zagadnąłem:

— Powiedz mi, czy nie wiész kim jest ten Teszanj?

— Miałbyś może zamiar, jak wszyscy starać się o jego córkę? — podchwycił huzar ze śmiechem — nie radzę ci...

— Dlaczego?

— Wszakże los Beli i Gyuli... Te miliony są drogie...

— Nic o nim nie wiész? Mówią, że to ma być człowiek z wysoką pozycyą nawet tu w Peszcie.

— Nie wiem! Wygląda na starego marudera... Więcéj nic nie wiem.

— Ktoby mnie mógł tutaj poinformować?

— Każdy interesowany.

— Interesowany?

— Przecież cały Peszt stara się o rękę panny Teszanj.

— Cały Peszt?

— Nie inaczéj — odparł i pobiegł do sali tańców.

Nad ranem dopiéro, z okazyi, iż sobie w salonach opowiadano, jakoby hrabia Apponii wygrał tejże nocy od Teszanj'ego sto tysięcy guldenów, dowiedziałem się nieco o nim szczegółów.

Teszanj był eks-wojskowym i eks-ministrem tureckim. Zdanie jego w swoim czasie trzęsło całym Wschodem. Zrobił miliony na urzędach i przedsiębiorstwach na wielką skalę, któremi jeszcze dziś nie pogardzał. Pochodził z wysokiéj bośniackiéj arystokracyi, a stosunki miał znaczne, nietylko jako magnat, ale jako człowiek obdarzony najbystrzejszym sprytem finansowym w obrotach i pomysłach handlowych, czy politycznych całego wschodu europejskiego. W swéj młodości podróżował wiele w różnych misyach i ztąd znany był u wszystkich dworów, a będąc człowiekiem wielce uczynnym i mając ku temu ciągłe otwarte pole, wyświadczał przysługi najróżniejszego rodzaju. Baron Hirsch jemu miał przeważnie zawdzięczać swoją kolosalną fortunę. Najbogatszego peszteńskiego bankiera on poprostu stworzył, w epoce, w któréj Węgry weszły w handlowe stosunki z tureckiemi prowincyami.

Słuchałem tych szczegółów z osłupieniem, z jakiém ludzie słuchają rzeczy, otwierających im inny pogląd na znanych sobie ludzi. Uśmiechałem się, gdy mi Titäa na początku wieczoru wspominała o wpływie swego ojca, a pod koniec balu, nie wątpiłem o nim i byłem pewny uzyskania znacznéj dla przyjaciela łaski w jego opłakanym stanie.

Dla więźnia, jakim był Bela, znaczyła wiele możność widywania kogoś z nas raz na tydzień. Miesięczne wizyty rozdrażniały go tylko.

Ten wieczór wiele mi pojęć odmienił. Ta panna Teszanj, o któréj rękę ubiegał się Peszt cały, wedle twierdzenia Kardassego, córka jakiegoś nababa wschodu, jak się pokazywało, wykradająca hasło

w Somborze staremu Festiczemu, a odwiedzająca Belę w koszarach, przebrana za huzara.

Ramy dziwnie nam zmieniają tychże samych ludzi.

XXI.

Nie przewidywałem, jakie konsekwencye będzie dla mnie miało udzielone nam rzeczywiście pozwolenie odwiedzania Czákvara, raz na tydzień. Ucieszyłem się téż z niego niezmiernie i zaraz pierwszego czwartku pośpieszyłem do koszar. Może nigdy w życiu, tak, jak wtety nie pragnąłem widzieć Beli. Więzienie jego mnie już nie zasmucało, jak gdyby jednorazowa w niém obecność Titäy zmieniła jego charakter.

Żyłem od pewnego czasu, prawie gorączkowo, Belą tylko i wystawiałem sobie, że i on także żył.

Doznałem nieuchwytnego, sprawiającego uczucie zimnéj wody, wrażenia, gdym wszedł do ponuréj komnaty Czákvara. Zapomniałem, że on był więźniem, nie zaś czynnym bohaterem sensacyjnego romansu, na jaki życie jego zakrawało.

Ale to przykre pierwsze wrażenie wnet się w puch rozwiało. Bela był dnia tego najweselszym kryminalnym skazańcem, jakiego sobie wystawić można. Przypatrywałem mu się ze zdumieniem. Dawny Czákvar, dawny przedsomborski jeszcze Czákvar, wskrzesał przedemną w całym swym blasku.

Wesoły podskoczył do mnie, mówiąc:

— Miałem jakby przeczucie, że przyjdziesz.

— Dziwne! — odparłem. — Skoro właściwie miałem być dopiéro u ciebie za tydzień.

Tu mu opowiedziałem co zaszło, a Bela słuchał mnie z półuśmiechem na ustach. Radość promieniała z jego oblicza. O przyczynę jéj nie pytałem go, bo widziałem, że nie pochodziła ona tylko z nadziei widywania mnie, czy Galaviciniego u siebie, co tydzień, a nie co miesiąc. Czákvara fizyognomię krasiły te odcienie i barwy, które tylko jedne zmieniają oblicze męzkie nie do poznania. Bela kochał się w Titäi.

Czy się w niéj kochał dawniéj, czy teraz dopiéro? wiedzieć nie mogłem. Zagadka, jaką to wszystko razem było, intrygowała mnie, ale o wyjaśnienie jéj również pytać nie mogłem.

Czákvar rozmawiał zemną o wszystkiém, o kolegach, o pułku, o świecie i karnawale, jak gdyby od tych żywiołów na krótki czas był tylko oddzielony, jak gdyby do nich niebawem miał powrócić.

Wizyta ta stawała się dla mnie męczącą. Zmiana nagła, zaszła w sposobie zachowania się i zapatrywania na świat cały przyjaciela, musiała wynikać z ważnych przyczyn, których przeniknięcie mnie mordowało. Rachowałem, iż mnie Bela w nie wtajemniczy. On tymczasem wypytywał mnie o tysiące drobiazgów, któremi w żaden sposób dożywotni więzień interesować się nie może. To pytał o szczegóły méj wizyty u starego Teszanj'ego. Zajęcie jego obudzała nawet okoliczność: czy stary Bośniak czerstwo wygląda i czy nie podupadł na zdrowiu od somborskiego naszego pobytu.

Zachodziłem w głowę, co to wszystko miało znaczyć. Wreszcie potrąciłem o Titäę. Wtedy Bela wyciągnął do mnie swe obie dłonie i zawołał z wyrazem niebywałéj na jego junackiéj twarzy, serdeczności:

— Dziękuję ci... dziękuję...

— Nie masz za co — podchwyciłem. — Dołożyłem wszystkich starań, by panna Teszanj nie ryzykowała się wtedy...

— Jednakowoż ustąpiłeś?

— Domyślałem się ważnych pobudek, powodujących ją do tego kroku, tak ważnych...

— Nie omyliłeś się. Były one dość ważne, skoro mi życie przywróciły...

Spojrzałem mu w oczy, ale z nich nic nie wyczytałem, prócz tego, iż Bela zajętym był Titäą. To mi nic nie mówiło. Nie mogło być inaczéj. Nieszczęśliwy więzień, zdawało mi się, byłby się rozkochał na zabój w każdéj kobiécie przekraczającéj progi jego celi. Czyżby w tém widział odzyskane życie? w téj wizycie panny Teszanj, pierwszéj i naturalnie ostatniéj? Czyżby to uczucie było tak wielkiém, iżby mu więzienną izbę napełniało na długo urokiem?

Gubiłem się w domysłach i kombinacyach, Bela milczał, więc zagadnąłem go:

— Wtajemniczony w niejasne a zagadkowe ustępy tego dramatu czwartego pułku, jakim jest katastrofa somborska, nie rozumiem twych słów... Miałżebyś być tak zakochany w pannie Teszanj, iżby ci to uczucie osładzało?..

Czákvar mi przerwał.

— Daruj, przyjacielu. Więcéj ci nic nie powiem... Nie mogę... Niech ci wystarcza to, co mi się wyrwało... to, czego się domyślasz może...

— Ja się niczego nie domyślam...

— Tém lepiéj... Gdy przyjdzie... — westchnął prawie smutnie i dodał — jeśli przyjdzie pora, to z pewnością będziesz pierw-

szym z tych, dla których somborska historya przestanie być tajemnicą.

— To możliwe! — zawołałem.

— Czyż jest co na świecie niemożliwego?

— Titäa więc by miała dowód?

Bela znów mi przerwał.

— Nie ma go... nie wiem... Nie szukaj końca nitki węzła gordyjskiego... Zrozumże, że jeśli nic nie mówię więcéj, to mówić nie mogę...

Na tém skończyła się moja wizyta i powróciłem do domu, pogrążony w większych jeszcze ciemnościach.

Ach! Czemuż ja z Galavicinim mówić nie mogłem o tém wszystkiem?

Nic tak nie męczy, jak tajemnica, w któréj się czynną odgrywa rolę. Od roku wciąż brałem udział w aktach tego dramatu, który się kończył i znów jak komedya zaczynał, a nie wiedziałem, dlaczego, skąd brał początek i dokąd dążył? A wszystko tu zdawało się mieć swoją przyczynę i swój cel.

Jak zmiana w usposobieniu Czákvara nie była bez przyczyny, tak też i wizyta Titäi w koszarach miała swój cel.

To wszystko wiązało się razem w misterną i nieodgadniętą całość, któréj poszczególne epizody musiały odbiérać spokój człowiekowi odgrywającemu w nich rolę, a nieświadomemu przyczyn skutków i poruszających sprężyn.

XXII.

Nieraz złorzeczyłem przyjaźni mojéj z Czákvarem. Narażała mnie ona na coraz większe niepokoje i zajęcie się jego tylko sprawą. Panna Teszanj bowiem nie poprzestała na pierwszéj wizycie w forcie Św. Szczepana. Nieraz, na krótko przed chwilą, w któréj się miałem udać do przyjaciela, a o któréj zawsze umiała się odemnie wywiedzieć, wpadała do mojego mieszkania, cała drżąca i blada w swém czarném zakwefieniu i szeptała stłumionym głosem, tocząc temi jedynemi na świecie, czarnemi oczyma.

— Daj mi pan kartę swoją, mundur... ja dziś muszę widzieć Czákvara...

Za każdym razem próbowałem jéj wyperswadować i zawsze ustępowałem. Ona wyjeżdżała do koszar, brząkając ostrogami i pałaszem, a ja pozostawałem w domu pogrążony w trawiącym mnie niepokoju, w gorączce i trwodze o nią, siebie i Belę.

Było to pod koniec marca tegoż samego roku. Właśnie wybierałem się do przyjaciela i truchlałem by w ostatniéj chwili Titäa, która już kilka czwartków ominęła, nie zjawiła się niespodzianie. Truchlałem témbardziéj, iż poprzedniego dnia wyglądała wysoce zafrasowana i czarno usposobiona. Nie mogłem jéj uciec gdyż obiecałem jéj raz na zawsze czekać na nią do ostatniéj chwili.

Zwykle odbywałem w ciągu zimy te wizyty o czwartéj. Wtedy zaś wskutek przedłużenia się dnia opóźniały się one aż do szóstéj. Titäa bowiem za widoku niemogła w żaden sposób mijać warty i wojskowych w koszarach. Jak przeczuwałem, tak się téż i stało. Na kilka minut przed szóstą znalazła się u mnie Titäa. Wyglądała pomieszana i zgnębiona moralnie.

— Daj mi pan kartę... mundur...

Przerwałem jéj tonem stanowczym, bo już od dawna obmyśliłem opór.

— Pani! to szaleństwo musi mieć swój koniec...

— Boisz się pan, byś na kilka dni nie poszedł do aresztu? — zagadnęła ironicznie.

— Tak, boję się! — odparłem rozdrażniony — boję się o panią.

— Jeśli ja się o siebie nie boję, to...

— Toś pani szalona! — zawołałem siląc się na wymowę — jedna chwila... zostaniesz poznaną! aresztowaną! Jesteś nazajutrz przedmiotem niebywałego skandalu, zajmującego wszystkie władze, wszystkie salony, wszystkie ulice...

Titäi oblicze pokryło się bladością alabastru. Przypatrywała mi się bystro, słowa wymówić nie mogła, ale prędko ochłonęła i zawołała:

— Ja dziś muszę go widziéć!

— Dziś i jutro! — mruknąłem wściekły.

Panna Teszanj poczerwieniała nagle, aż do białek swych połyskujących oczu.

— Jesteś pan — zawołała szorstko — nie dżentelmenem. Wyciskasz mi rumieniec.

Zmieszałem się niewypowiedzianie.

— Pani! — podchwyciłem zażenowany jak nigdy — słowa już nie powiem tylko proszę, byś pamiętała, że skłaniając cię do zaniechania téj niebezpiecznéj zabawy...

— Zabawy? — zapytała Titäa, przerywając mi.

Stałem oniemiały pod jéj groźném spojrzeniem, które błyszczało zdwojoną siłą na szkarłatnéj jéj twarzy.

— Zapomniałem się nawet do tego stopnia — czemprędzéj kończyłem — iż byłem dla pani przykrym!

— Ha! ha! — zaśmiała się nerwowo. — Stałeś się pan nie przykrym, tylko narzuciłeś gwałtownie méj wyobraźni straszne dla mnie pytanie.

— Pytanie? — zapytałem nie rozumiejąc.

— Tak! pytanie! — powtórzyła. — Pytam się sama siebie, czy nie źle umieściłam moje nieograniczone zaufanie.

— We mnie?

— W panu! — podchwyciła z zapałem. — Sądziłam, iż rozumiałeś, że ja tylko to czynić bym mogła, cobym uznała za konieczne i szlachetne. Ha! ha! Sądziłam, że pan będziesz dość przenikliwy i dość się znasz na kobiétach, by wiedziéć, że postępowanie moje nie jest zabawą tylko cierpieniem.

Stałem jak winowajca. Titäa nie spuszczała ze mnie wzroku i piorunowała mnie nim w całém znaczeniu słowa.

— Pani! — wybełkotałem — przepraszam cię... ale wierzaj mi, że słowo mi się wyrwało...

— Wierzę — odparła panna Teszanj — wierzę, że go żałujesz teraz, ale są słowa, które w pewnych pozycyach, z pewnych ust, do pewnych osób, wyjść nawet przypadkiem nie powinny.

Była wyniosłą, imponującą, i druzgotała mnie swém spojrzeniem.

Ta chwila była jedną z tych krótkich najprzykrzejszych w życiu, w których rumienić się musimy przed kobiétą.

Titäa wyszła do Czákvara; a ja siedziałem nieruchomy, zatopiony w fotelu. Co zmuszało tę kobiétę, o któréj cnocie teraz nie wątpiłem, do tak podejrzanych kroków? Bela byłże jéj narzeczonym? To by jéj jeszcze w oczach świata nie rozgrzeszało.

Panna Teszanj nazwała swoje postępowanie cierpieniem. „Wynikło ono z cierpienia.“ Jakież nadzwyczajne okoliczności mogły je w takim razie wywołać?

Gubiąc się w rozwikłaniu zagadki, postanowiłem prosić ją o rozwiązanie jéj. Chciałbym był uciec przed temi myślami, przed tém oczekiwaniem na powrót Titäi, które mi się zawsze niezmiernie długiem wydawało. Ile razy bowiem ona wychodziła do więzienia Beli, musiałem siedziéć koniecznie w domu, dlatego tylko, aby nie spotkać się wypadkiem z Galavicinim, wiedzącym, że każdego czwartku wieczór, jeśli nie on, to ja miałem być u przyjaciela. Dnia tego pytał mię nawet, czy idę. Musiałem siedziéć i rachować minuty, które

upływały powoli, zbliżając mnie do wpół do dziesiątéj, będącéj ostatecznym terminem powrotu panny Teszanj.

Siedziałem, błądząc wyobraźnią i siląc się na odgadnięcie przyczyny tylu faktów, tylu słów niezrozumiałych.

. . . .

. . . .

Wtém usłyszałem szybkie kroki męskie i brzęk szabli tuż pod mojemi drzwiami. Struchlałem, przypominając sobie, iżem w pomieszaniu nie zamknął drzwi za wychodzącą Titąą. Wszakże nikt mnie o téj porze zastać w domu nie mógł. Rzuciłem się ku drzwiom, ale o sekundę zapóźno, bo w chwili, w któréj chwytałem za klamkę, otworzył je i stanął przedemną Galavicini. Kilka momentów staliśmy naprzeciw siebie w milczeniu i osłupieniu. On zdumiony mojém granic nie mającém pomieszaniem, ja wysilając się na wymyślenie udanego kłamstwa i sposobu corychłego pozbycia się przyjaciela.

— Nie jesteś u Beli? — zapytał.

— Nie!

— Mówiłeś?..

— Nie mogłem!

Wszedł do mieszkania, zrzucił płaszcz i usiadł na krześle bacznie mi się przypatrując. Nie mogłem się łudzić, by książę po téj obserwacyi, wziął za prawdę cokolwiek mogłem mu powiedzieć.

— Jesteś nie swój, jesteś...

— Jestem — odparłem bełkocząc — jestem rzeczywiście nie swój.

Rotmistrz wstał.

— Przyszedłem nie w porę — odezwał się po chwili namysłu — właściwie nie przyszedłem, bo nie sądziłem byś był w domu. Przechodziłem... ujrzałem światło w twych oknach, w oknie twego saloniku... Zaszedłem myśląc, iż mogłeś zasłabnąć.

— Rzeczywiście zasłabłem...

— Szkoda w takim razie — zaraz podchwycił — iżeś mnie nie uprzedził. Ten biédak wyczekuje tam, jak zbawienia przyjścia którego z nas. — Tu spojrzał na zegarek i ciągnął: Jest ósma, mam czas. Daj mi kartę... pójdę.

Rękę po kartę wyciągnął, a ja od zmysłów odchodziłem.

Książę mi się przypatrywał, jak obłąkanemu.

Sięgnąłem ręką do pugilaresu. Zacząłem coś bełkotać, co, już nie pamiętam. Wyjąłem portfel i szukałem w nim karty wstępu do więzień fortu Św. Szczepana.

— Nie mam... zginęła... może jest w płaszczu...

Wybiegłem do przyległego, ciemnego pokoju nie myśląc już o karcie, tylko o możliwym wypadku. Titäa mogła skrócić swoją wizytę, spotkać się z rotmistrzem. Długo bardzo musiałem szukać, bo książe zawołał:

— Nie masz?

— Nie mam! — odparłem uradowany, że kłamałem w ciemności.

— To nic nie szkodzi. Pojadę i zamelduję zgubę. Wpuszczą mnie tém więcéj, że...

Nie dokończył. Jak bomba rzuciłem się ku niemu.

— Nie możesz tego uczynić!

Rotmistrz zmarszczył brwi i objął mnie wzrokiem.

— Bądźże jasnym! Coś się stało? Widzę z twéj miny... Kartę masz?

— Nie mam!

— A więc?

Wiłem się formalnie, nie wiedząc co wymyślić.

— Słuchaj, Galavicini! — zawołałem — przestań mnie męczyć... Nie mam karty. Iść do Beli nie możesz...

Książę zamyślił się wytężająco, posmutniał i wlepił wzrok w ziemię.

— Cóż się stało? — odezwał się — odchodzisz od zmysłów... Kartę zgubiłeś?.. Iść nie mogę do Beli?.. Okłamujesz mnie!

— Tak!

— Jakiż cel w tém masz?

— Przecież cel mieć muszę — zawołałem rozpaczliwie.

— W okłamywaniu mnie? mnie? — zapytał ze zdumieniem Galavicini — mnie, przyjaciela Beli... twojego... mnie, którym ci tyle zaufał...

Te słowa mnie pruły.

— Przestań! — zawołałem. — Muszę cię okłamywać... Nie męcz mnie, bo mi zadajesz tortury... I oddal się — dodałem — spoglądając na zegarek.

Rotmistrz zrobił krok ku drzwiom.

— Idę do fortu — szepnął.

— Nie możesz! — zawołałem, przytrzymując go za rękę.

Objął mnie wzrokiem z uśmiechem politowania i posunął się ku drzwiom.

— Jeśli jesteś człowiekiem honoru — zawołałem — nie pójdziesz... nie zrobisz kroku...

Urwałem, bo nie wiedziałem, co mówić daléj, bo stanęły mi w oczach dwie straszne alternatywy. Albo książę wychodził i ja nie wiedziałem, czy pójdzie do domu, czy do Beli, albo zostawał u mnie i spotykał się z Titäą. Gdy ja myślałem, on mi się przypatrywał i oryentował w tém wszystkiém.

— Dajże mi słowo honoru, że prosto ztąd pójdziesz do domu, czy gdzie, ale nie do Beli?

— Ależ i owszem! — zawołał, podając mi dłoń — widzę, że warjujesz.

— Więc nie pójdziesz?

— Na dowód, że nie pójdę, mogę zostać tutaj. Intrygujesz mnie, ale rozpaczliwe twe rysy więcéj mnie zastanawiają, niż...

Urwał i chciał usiąść.

— Zostać tu nie możesz...

Galavicini parskął śmiechem. Potém nagle spoważniał. Oczy mu błyszczały. Jakiś nieuchwytny wyraz przebiegł mu po obliczu.

— Mój przyjacielu! — odezwał się. — Jestem starym madziarem i nie próżno posiwiałem nad szablą i piórem...

Przypatrywałem mu się z trwogą i ciekawością naprzemian.

— Od chwili już odgadłem — mówił — powód twych kobiécych mdłości... Mniéj interesuje mnie rzecz, którą już znam, niż sposób, w jaki ona się odbywa...

— Myślisz?

— Myślę — podchwycił książe, chwytając mnie za pulsującą i gorącą rękę — myślę? ha! ha! nie myślę tylko wiem, że teraz w więzieniu Beli bawi panna Teszanj... a za chwilę tu będzie.

— Któż ci taką szaloną rzecz insynuował?

— Insynuował? Ha! ha! młody poruczniku czwartego pułku. Tyś mi ją opowiedział! Ty!

Nie próbowałem przeczyć.

— Więc tak! — szepnąłem.

Galavicini opuścił się na krzesło i zatopił w zadumie.

XXIII.

Na razie trudno opisać moje żdziwienie, pochodzące z przenikliwości księcia. Ulżyło mi jednak na sercu i prawie zaraz rad byłem wypadkowi, do którego ręki nie przyłożyłem, a który mi dawał takiego doradcę i powiernika, jak rotmistrz, w tych trudnych i męczących mnie okolicznościach.

Siedzieliśmy niemi naprzeciw siebie. Książę zamyślony, a ja czekający niecierpliwie, by usta otworzył. Nastąpiło to po stosunkowo długiéj przerwie. Przeciągając rękami po swém obliczu, ruchem wyrażającym zwykle wysiłek umysłowy, odezwał się:

— Nie jestem ciekawy. Nie byłbym nic uczynił, by znać tę historyę, ale uważam za szczęśliwy wypadek moje zjawienie się dzisiaj u ciebie. Historya ta robi mi wrażenie wrzodu, potrzebującego tylko operacyi, a więc interwencyi doktora. Wezwać go nie może Titäa, kierowana fałszywemi zapatrywaniami...

Urwał, podumał i podchwycił:

— Jeśli możesz, to mi najdokładniéj opowiédz ważniejsze szczegóły tych zajść... bo zdaje mi się, że jestem na tropie...

Uczyniłem, czego Galavicini żądał. Zapominając o położeniu, o czasie, który ubiegał i zbliżał nas do powrotu Titäi, opowiadałem przyjacielowi Czákvara epizody, jakie zaszły w ciągu zimy między mną a Titäą. Zdawałem mu dokładną sprawę ze wszystkiego, co mnie w swoim czasie zastanawiało, czy intrygowało.

Książę słuchał z wytężoną uwagą, nie przerywając ani razu. Gdym skończył, odezwał się:

— Szczegóły utwierdzają mnie w pierwszém przekonaniu. Tu potrzeba interwencyi trzeciéj osoby...

— Któż nią będzie?

— Ja!

Struchlałem. Galavicini, występujący nagle jako wtajemniczony w to, co ja tylko wiedziałem, mógł w oczach panny Teszanj, o któréj dobrą opinię coraz więcéj dbałem, dziwne rzucić na mnie światło, a wypadkiem w takich razach nie dostatecznie umotywowane. Księciu mych skrupułów udzielać nie potrzebowałem. Ten wykształcony człowiek stawiał się zawsze w położeniu drugich, czego i teraz dał dowody, podchwytując:

— Rozumiem chwilową delikatność twojéj roli. Ale na to nie ma rady. Panna Teszanj może sobie na razie myśléć, co zechce. W jéj interesie tylko wystąpię. Bo widzisz, rzecz tak się ma...

— Słucham! — szepnąłem, zaciekawiony do najwyższego stopnia.

Przyjaciel ciągnął:

— Czy Titäa kocha się w Beli, tego nie wiem. Ale Titäa ma dowody na to, iż Gyula sam sobie życie odebrał. Te dowody, z któremi wystąpić nie może, stanowią to cierpienie, o którém ci przed chwilą wspominała. Ta okoliczność, wypływająca bezpośredno z tam-

téj, jest przyczyną, dla któréj odwiedza Czákvara, poczuwając się względem niego do poważnych obowiązków.

— Na czémże to opiérasz?

— Tobie zdaje się to jeszcze nie jasne? — zapytał, ciągnąc daléj książę. — Bela poprawił się na humorze, nie dlatego, że się kocha w Titäi, czemu zresztą nie przeczę, ani nie dlatego, że jest kochanym przez nią, czemu również nie mam przyczyn nie wierzyć. Bela jest szczęśliwym w swém więzieniu, bo wié, iż je wcześniéj, czy późniéj opuści.

— Co ty za fantastyczne wnioski stawiasz?

Rotmistrz westchnął z uśmiechem.

— Zobaczymy! — i ciągnął:—Teraz rzeczy tak stoją. Panna Teszanj, w któréj mocy jest uwolnić Belę, porozumiawszy się z nim, zwleka z działaniem. Czy zaś osładza mu swojemi wizytami jego los? Czy téż ulega tutaj podszeptom serca? to zobaczymy. Dowody te więc są natury albo kompromitującéj, do czego się przyznać odwagi nie ma, albo...

— Albo?...

— Albo nie są jeszcze w jéj rękach. Ta jest strona niejasna sprawy. Badajmy dlaczego?

Pomyślał i podchwycił:

— Sądzę dlatego, że ona sama okrywa to wszystko tajemnicą i dusi ją w sobie. Kobiéta taka, jak ona! nie może znaleść drogi, prowadzącéj do celu, która jest może prostą i łatwą.

— A Bela?

— Bela jest zbyt wielkim dżentelmanem, by jéj insynuował wstrętne może jéj środki. A zresztą i on jest młody i on...

Urwał, znów podumał i kończył:

— Wypadek dzisiejszy uważam za szczęście. Wszystko zdaje się przemawiać za tém, że Bela może być wolnym. Chodzi o zbadanie widocznéj tajemnicy, będącéj dotąd tylko w posiadaniu Titäi, będącéj dziś może w posiadaniu ich obojga. Tajemnica ta musi być jéj wydartą, a wtedy...

— Wtedy?

— Wtedy zobaczymy!—zawołał z energią.

Zamyśliłem się. Galavicini mówił z taką silną wiarą w to, co mi wyjawiał, iż wniosków jego za bezzasadne uważać nie mogłem. Ważyłem je tém więcéj, że i on znał Titäę i widział ją w roli nierównie ciekawszéj od téj, jaką odgrywała odwiedzając Czákvara, że on był o wiele więcéj odemnie doświadczonym i myślącym człowiekiem. Wreszcie przypomniałem sobie, iż w Somborze księciu udało się skło-

nić Titäę do zbawczéj wtedy akcyi, gdy ja nic na niéj wskórać nie mogłem.

Zagłębiając się w tém wszystkiém całą siłą umysłu, przypomniałem sobie dopiéro, że Titäa winna była niezadługo powrócić. Spojrzałem na zégarek.

Zerwałem się jak oparzony. Wskazówki stały na piątéj minucie po w pół do dziesiątéj, Galavicini przerażony bladością, nagle pokrywającą moje oblicze, zapytał:

— Co?

— Pięć minut po wpół do dziesiątéj.

— Czy Titäa jest tak akuratną?

— Najakuratniejszą! A umówiliśmy się, że opóźnienie choćby pięciu minut, uważać winienem za katastrofę.

— Może zégarki — zawołał również zestraszony rotmistrz — wasze?...

— Zégarki nasze regulujemy za każdym razem.

— I dziś?

— Dziś, jak zawsze!

— I Titäa zwykle?

— Titäa zwykle nie na pięć minut, ale najpóźniéj na dwadzieścia minut przed umówioną godziną już tu była.

Książę się zerwał.

— Jeszczeby tego brakowało...— bąknął.

Chodziłem po pokoju, jak zwierz szalony. Przystawałem i nasłuchiwałem ruchu na ulicy. Wyglądałem do sieni. Tak upłynęło długich jak ery, jak wyciągnięta linia pułku, nowych minut siedm.

— Która?—zapytałem—u ciebie?

— Dwanaście minut po wpół.

— Dwanaście!—krzyknąłem i wybiegłem jak obłąkany.

Fiakr, któregośmy dopadli, pędził galopem, na jakiego konie były zdolne. Titäa została przytrzymaną, nie ulegało wątpliwości. Nie myślałem już o sobie, tylko o niéj, o skandalu, jakim jutro się miał bawić Peszt cały, o Beli, na którym się to skrupić musiało.

W ciągu kwadransa stanęliśmy w koszarach. W olbrzymiéj, oświeconéj latarnią, bramie, spacerowała warta, żołnierz od piechoty, którego kroki obijały się ponuro o sklepienie.

— Czyś nie widział wychodzącego oficera od huzarów? — zapytał go książę.

— Nie, panie rotmistrzu!

— Oddawna tu stoisz?

— Od czwartéj.

— Nie widziałeś wchodzącego oficera czwartego pułku huzarów?

— Widziałem o piątéj

— Nie wychodził.

— Nie...

Pobiegliśmy daléj przez środek ciemnego podwórza do gmachu, stanowiącego więzienie. Tu również stał żołnierz na warcie. To samo pytanie zadałem mu, dopadłszy go wpierw, niż Galavicini.

— Widziałem!—brzmiała odpowiedź.

— Gdzie się udał?

— Został przytrzymany.

— Przez kogo?

— Przez oficera dyżurnego.

— Gdzie się udali?

— Na odwach.

Spojrzeliśmy po sobie z Galavicinim i pobiegli we wskazanym przez żołnierza kierunku. Ja słyszałem bicie serca księcia, a i on mógł konstatować przyśpieszony puls mojego.

Chwilami przystawałem na sekundę, aby sobie zdać dobrze sprawę z zaszłego faktu. Fakt ten bowiem brzmiał dziwnie.

Panna Teszanj, córka nababa i dygnitarza, córka hrabianki Erödeni, wielka partya peszteńskiego *high lifu* przytrzymaną została i zaaresztowaną w przebraniu za oficera huzarów i to czwartego pułku, w chwili, gdy wychodziła z więzień kryminalnych wojskowych koszar, zwanych „fortem Ś-go Szczepana“.

Stanąłem jak głupi i zapytałem rotmistrza:

— Czy to możliwe?

Galavicini stanął, ale się obruszył, ruszając zaraz z miejsca przyśpieszoném tempem i mrucząc:

— Oszalałeś!... Stało się! A teraz na minutach wszystko zawisło.

XXIV.

W wielkiéj sali, oświetlonéj wiszącą u sufitu latarnią, siedziała przy ścianie, na drewnianéj ławie, Titäa, w huzarskim mundurze. Była blada jak chusta, a oczy jéj wyglądały, jakby miały wybuchnąć potokiem łez.

Po komnacie spacerował nadporucznik od piechoty, szarpiąc nerwowo wąsa z opuszczoną ku ziemi głową.

Takeśmy ich zastali.

Panny Teszanj oblicze, gdy nas obu zoczyła, pokryło się szkarłatem, ale nie drgnęła. Galavicini przedstawił się oficerowi, a on mruknął:

— Sekaï...

Zaśmiał się nagle i zawołał, wskazując na Titãę:

— Oto wpadłem w awanturę!

— Człowieku!—podchwycił tragicznie rotmistrz, biorąc poufale porucznika pod ramię i odprowadzając go w kąt sali—ratuj ją, mnie, jego...—mówił, wskazując na mnie.

— Cóż ja mogę? chętniebym...

— Jakto? Nic nie możesz?

— Nie! Sam się tém niewymownie trapię, ale nie mogę nic wymyślić...

Książę westchnął i opuścił się na ławę, zapytując:

— Jak długo dyżurujesz?

— Jeszcze pół godziny — odparł Sekaï, spoglądając na zégarek. Galavicini głęboko odetchnął. Opowiadaj, jak i co—zawołał.

Sekaï mówił, zwracając się do mnie.

— Jeden z żołnierzy, będących na warcie w więzieniu, zapamiętał był fizyognomię pana. Gdy dziś panna Teszanj weszła, nieszczęście chciało, iż właśnie tenże sam żołnierz miał wartę. Widząc na karcie nazwisko, nie odpowiadające znanéj mu już fizyognomii, baczniejszą zwrócił uwagę na oficera i odgadł w nim nie kobiétę, ale kogoś przebranego. Zameldował o tém natychmiast dyżurującemu przedemną oficerowi. Ten, zapewne, nie chcąc się fatygować, zamiast zaraz zaaresztować gościa Czákvara, spisał protokół z żołnierza.

Tu Galavicini mu przerwał:

— Ten protokół?

— Leży na stole...

Rotmistrz go uchwycił, podbiegłszy do stołu i prosząc porucznika, by się zatrzymał w opowiadaniu, odczytał go. Potém dopiéro Sekaï daléj ciagnął:

— I polecił mi, zdając mi dyżur, zaaresztować wychodzącego z więzień oficera 4-go pułku. Tak też uczyniłem w asystencyi, wobec któréj panna Teszanj przyznała się, kim jest...

— Ta asystencya?

— Wachmistrz Röde.

— Co myślisz daléj zrobić?

— Naradzić się z moim następcą i...

— I?

— Zameldować komendantowi gmachu... Panna Teszanj prawdopodobnie przenocuje tutaj, lub téż...

Urwał, a Galavicini daléj nie słuchał, tylko, opadając na ławę, zakrył twarz rękami. Wtedy Titäa skinęła, bym się zbliżył. Gdym podbiegł do niéj, szepnęła głosem stłumionym cisnącemi się łzami.

— Panie! ulituj się nademną.

— Pani! Jeśli Galavicini czego nie wymyśli...

— Nie o to chodzi—podchwyciła Titäa. — Ja jestem na wszystko gotowa, ale tu chodzi o więcéj, tu chodzi o życie mego ojca... Biegnij pan do mojéj matki i powiédz jéj, że zostałam zaaresztowaną...

— Pani matce?

— Tak, panie!

— Matka moja wié, gdzie jestem — mówiła gorączkowo — ale, gdyby ojciec mój się dowiedział, umarłby dzisiaj... Galaviciniemu pan to powiédz. Ratujcie nie mnie, tylko starego mego ojca... on nie jest Węgrem... on jest... raczéj Turkiem. A u Turków kobiéta... kobiéta...

Urwała i podchwyciła.

— Biegnij pan do méj matki! Niech wytłómaczy mu moję nieobecność... coś wymyśli... Mnie przecież jutro puszczą... Galavicini w tém będzie, by rzecz tylko nie doszła do mego ojca. Niech ją trąbią po mieście, ale niech mój ojciec... Biegnij pan!

Chciałem wyjść, ale książę usłyszawszy me kroki, zmierzające ku drzwiom, zerwał się.

— Czekaj!

Powtórzyłem mu słowa Titäi.

— Nie!—odparł rotmistrz—czekaj!

Potarł ręką po czole i zbliżył się do Sekaï'ego.

— Możesz mi wyświadczyć przysługę, równającą się...

Nadporucznik mu przerwał:

— Mów... Jeśli tylko możliwą...

Książę jeszcze kilka sekund pomyślał.

— Słuchaj! — mówił. — W protokóle zeznał żołnierz, że oficer zwrócił jego uwagę głównie tém, iż miał wąsy, których dziś nie ma. Czy tak?

— Tak!

— Wachmistrz Röde — ciągnął książę — pisze w protokóle, że aresztowany z dwuznacznym uśmiechem odpowiadał?

— Tak! Panna Teszanj uśmiéchała się zrazu z nadmiaru zażenowania.

— Nie sprawdziliście prawdziwości jéj zeznań?

Sekaï się zaśmiał.

— Co do mnie, nie potrzebowałem... Wszakże mimo przebrania... bez płaszcza... uchodzić za huzara nie może...

— Pozwolisz mi więc działać?

— I owszem, byle tak, iżbym ja był cały.

— To znaczy?—zapytał trwożnie Galavicni.

— Bym mojemu następcy zdał zaaresztowaną osobę... To, będąc żołnierzem, rozumiész, że jest *sine qua non*.

— Rozumiem! — odparł Galavicini, wyciągając do Sekaï'ego dłoń—dziękuję ci.

— Cóż myślisz?—podchwycił tenże z przestrachem.

— To do mnie należy—odparł rotmistrz i zwrócił się do mnie.— Biegnij co tchu i ogól wąsy!

. . . .

. . . .

. . . .

Powróciłem na odwach pięć minut przed jedénastą, to jest godziną, w któréj miał być Sekaï zastąpiony.

Zastałem już wszystkich w gorączce.

Galavicini zdenerwowany do najwyższego stopnia, nie patrząc nawet na obudzającą śmiech Sekaï'ego, moją ogoloną twarz, szeptał tonem rozkazu:

— Ja wychodzę z panną Teszanj... ty zostajesz i ciebie Sekaï zda swemu następcy... Wyglądasz doskonale!

— Ale Röde!—zawołał nadporucznik.

Książę uśmiechnął się i mówił do mnie:

— Rödemu, którego, skoro tylko wyjdziemy, widziéć musisz, wsuniesz sto guldonów... a następcy Sekaï'ego dasz tą samą dosłownie odpowiedź, co Titäa dała jemu.

— Daléj?—zapytałem.

— Daléj! Przenocujesz tu, jeśli cię zatrzymają, a jutro rano wyjaśnisz, iżeś zażartował z wart, aresztujących cię na zasadzie, żeś zgolił wąsy.

To mówiąc wybiegł z Titäą, zostawiając mnie i Sekaï'ego w osłupieniu.

Staliśmy długo naprzeciw siebie, patrząc sobie w oczy. Sekaï chodził wielkiemi krokami, a gdy się pierwszy raz zatrzymał, odezwał się:

— Nie znałem tego Galaviciniego! To genialny człowiek! Téj kombinacyi nawet zaczepić nie można. Rödemu stu guldenów dawać

nie potrzeba, gdyż skoro ja się zgodzę na przyjęcie cię za twego poprzednika, on przecząc, musiałby mnie oskarżyć, co jest niemożliwém. Zawsze jednak, za żarty z wart i oficerów, dostaniesz kilka dni aresztu...

Dały się słyszéć w ponurych i pustych korytarzach kroki, przegradzane brzękiem pałasza. Tu nadchodził oficer, mający zastąpić Sekaï'ego i przyjąć mnie, jako pannę Titäę Teszanj.

Odsunąłem się więc zdala od Sekaï'ego, który pośpiesznie przyćmił tak latarnię, iżby następca jego mógł choć w pierwszéj chwili wierzyć, iż jestem kobiétą.

Chodziło mu o niewydanie się na razie zbyt naiwnym do śmieszności. Wyglądał jednakowoż wysoce zaniepokojony, jak każdy człowiek wykraczający z obowiązków.

W ostatniéj chwili jeszcze się odezwał:

— Ten Galavicini jest genialny... załatwił to tak prędko... Gdyby się był opóźnił o minutę, byłbym się nie zgodził mimo całéj dżentelmeneryi, należnéj płci pięknéj... Wszystko możliwe... Gdyby się wykryła ta malwersacya, wiész pan, czém pachnie taki postępek na warcie?... Wieżą! do kroćset bomb!

Nie mogę powiedziéć, iżbym sam nie ulegał w owéj chwili nieokreślonemu uczuciu.

XXV.

Zostałem skazany aż na trzy tygodnie aresztu domowego z tego tylko względu, iż następca Sekaï'ego był jednym z tych oficerów piechoty, z zasady gniewnych na konnicę, posądzając ją o wyniosłość i pychę.

Na dobitkę nieszczęścia, przejąwszy on mnie wtedy bez badania, odstawić kazał do aresztu, gdzie przesiedziałem do następnego dnia.

Odbywając więc bezpośrednio po tém następującą karę, nie wychodziłem nigdzie i nie wiedziałem nic zgoła, co się daléj działo w domu Teszanjich, co robiła Titäa. Nie widziałem nawet Galaviciniego. Ten napisał mi bilet téj treści:

„Muszę wyjechać na krótko. Być u ciebie czasu nie mam. Donieść ci nic nie mogę.“

Lakoniczne to pismo powiększyło moją niezaspokojoną ciekawość. Jeśli Galavicini teraz, w dwa dni po wypadku w koszarach, po dowiedzeniu się tylu nowych szczegółów wyjeżdżał, to wyjeżdżał tylko w interesie panny Teszanj, lub Beli.

Po dziesięciu dniach dopiéro dowiedziałem się, iż powrócił do Pesztu, a mimo to u mnie się nie zjawiał.

Pożerany ciekawością, nie umiejąc sobie wytłómaczyć zachowania się przyjaciela, napisałem do niego bilet z prośbą, by raczył mnie odwiedzić, lub poinformować o rzeczach mnie koniecznie obchodzących.

Galavicini odpisał:

„Jestem względem ciebie w najprzykrzejszéj pozycyi. Okoliczności podobne tym, które ci w swoim czasie nie pozwalały wtajemniczyć mnie w bieg wiadomych wypadków, nie pozwalają mi znów dzisiaj wtajemniczyć ciebie w dalszy ich rozwój. Wtedy ty byłeś motorem, dziś ja znów nim jestem. W tych stosunkach nie zdziwisz się, że i u ciebie nie bywam. Nie mielibyśmy sobie nic do powiedzenia. Wkrótce opuścisz swoje mieszkanie i wolno ci będzie się domyślić czy odgadnąć, czego zdradzić przed tobą prawa nie mam. A może wcześniéj jeszcze zajdą wypadki, będące odpowiedzią na twoje pytania.

Czy kpił ze mnie? Czy się mścił za odsunięcie go i ukrywanie przed nim wizyt Titäi u Beli? To nie było podobném do księcia. Raczéj trzeba mi było przypuszczać, iż działał w interesie Titäi, zobowiązany przez nią do tajemnicy. Z przestrachem konstatowałem, iż mogłem nigdy się nie dowiedziéć téj tajemnicy, biorącéj początek w keczmeckiéj puszczy.

Tak domęczyłem się do wilii dnia, w którym się kończył mój areszt.

Postanawiałem natychmiast udać się do Galaviciniego, Titäi, Beli i wymiarkować z ich fizyognomii, co się działo podczas mojéj nieobecności.

Od kolegów, odwiedzających mnie, wiedziałem tylko, że rotmistrz bardzo był zajęty, że w ciągu upłynionych trzech tygodni wyjeżdżał kilkakrotnie, że Titäa pojawiała się w świecie, w którym nic z wypadku koszarowego nie przesiąkło. Rozchodziła się nawet po Peszcie pogłoska, jakoby miała odmówić jednemu z najsympatyczniejszych magnatów węgierskich i kilku starającym się o jéj rękę.

Dnia tego wreszcie dostałem oficyalne zaproszenie od Teszanjich na wieczór, mający się odbyć u nich nazajutrz.

Zdawało mi się, że tego „nazajutrz“ nigdy nie doczekam, tak byłem zdenerwowany aresztem, wyrywającym mnie z biegu interesującéj akcyi w najdrastyczniejszéj chwili.

Wszakże książę postanowił wydrzéć Titäi tajemnicę, a sposobność, ułatwiająca to zadanie, sama mu wpadła w ręce.

Wreszcie obudziłem się swobodny.

Wybiegłem na miasto i nacieszyć się nie mogłem wolnością. Ale zajęcie przy szwadronie, konieczne meldunki po odbyciu kary i przy wstępowaniu w czynną, przerwaną służbę, zajęły mi pół dnia.

Po południu dopiéro udałem się do Galaviciniego.

Zastałem go w domu. Na pierwsze moje pytanie odpowiedział:

— Daruj, ale nic ci powiedziéć nie mogę. Sądzę jednak, że panna Teszanj wtajemniczy cię w to, co mnie. Zasłużyłeś na to... Tymczasem wiédz, że Bela będzie wolny.

— Kiedy?

Rotmistrz się uśmiechnął i odparł:

— Nie wiem jeszcze...

— Okłamujesz mnie.

— Choćby—podchwycił Galavicini.—Dziś wieczór wszakże zobaczysz Titäę?

— Jestem zaproszony!

— I ja także...

— Zrozumiész — zawołałem wściekły, — jak mi przykro iść do nich, nie wiedząc, co zaszło...

— Cóż ja na to poradzę?

— Poinformuj mnie!

— Słuchaj! — odparł książę, pytając. — Czy wtedy byłbyś mi zdradził, że Titäa bawiła u Czákvara, gdybym był tego nie odgadł?

— Nie!

— A więc nie miéjże do mnie pretensyi...

Umilkłem, postanawiając jednak zaciekle dojść do posiadania tajemnicy, która teraz już nietylko do Beli i Titäi, ale i do Galaviciniego należała.

On się więc nie mylił. Panna Teszanj miała dowody, że Gyula sam sobie życie odebrał, skoro Bela miał być niebawem wolny. Nie tylko je miała, ale z nimi musiała wystąpić, lub przynajmniéj je powierzyć rotmistrzowi.

Z niepojętą niecierpliwością wyczekiwałem wieczoru. Nie przypuszczałem nawet, by Titäa miała odwagę trzymania mnie w nieświadomości rzeczy.

Ciekawość tak mi wszechpotężnie zajmowała umysł, iż nawet nie miałem czasu się radować nadzieją odzyskania przyjaciela.

Z uderzeniem dziewiątéj godziny wchodziłem do Teszanjich.

Oświetlenie *à giorno* apartamentów nie dziwiło mnie, bo w tym domu codzień prowadzono życie na wielką skalę.

W pierwszym salonie zastałem przyjmującą swych gości panią Teszanj. Przywitała mnie z niebywałą serdecznością.

— Jakże się cieszę, że pana widzę — mówiła. — Czekaliśmy tylko na niego... Titäa nie chciała, by ceremonia się odbyła bez kochanego pana...

Mina moja wyrażała wielkie źdzíwienie, które panowało w méj głowie. O jakiéj ceremonii mówiła matrona? Wreszcie wyjąkawszy kilka słów, zapytałem:

— Czy dzisiaj może jaka uroczystość u państwa? Ja dopiéro od rana opuściłem mieszkanie...

— Jakto, pan nie wiész? — podchwyciła ze źdzíwieniem niewiasta.

— Nic nie wiem...

— Galavicini?

— Nic mi nie powiedział.

— Bela?

— Nie widziałem go.

— No!—zawołała—widzę, żem się wygadała. To zawsze rola starych kobiét. Chcieli panu zrobić niespodziankę — widocznie... Dziś mają miejsce zaręczyny méj córki z panem Belą...

— Z Czákvarem?

— Tak! Pan wyglądasz ździwiony?... Czyżbyś się tego nie domyślał?

Chwilę pomyślawszy, odparłem:

— Nie wiedziałem, że jest już wolny.

— Od tygodnia! Idź pan tam — ciągnęła, wskazując salony, spostrzegłszy, że nowi goście nadchodzili—udaj, że nic nie wiész, skoro sobie tak życzyli...

Krokiem powolnym dążyłem daléj. Skoro tylko stanąłem w podwojach od wielkiego salonu, rzucili się na mnie, widocznie czekający, Titäa i Bela.

Udawałem źdzíwienie. Wesołość ich nie miała granic. Promienieli, jak słońce o poranku pogodnego dnia. Była to śliczna para. Bela w swym paradnym huzarskim mundurze, kapiącym od złota, Titäa w niebieskiéj sukni morowéj, w brylantach, które podnosiły blask jéj oczu.

Posypały się między nami pytania i odpowiedzi, uściśnienia i wybuchy radości, powinszowań, życzeń i dzięków.

Promienieli, ale mimo to nie sprawiali na mnie tego wrażenia

czystego szczęścia, które jak prąd elektryczny się udziela i obcych prawie porywa.

Mnie w oczach wciąż stawał Gyula ze swą raną na sercu, w oknie hotelu, w Somborze, z opuszczoną bezwładnie ręką.

Zapanował wkrótce po mojém wejściu zamęt. Liczni goście się schodzili. Salony napełniały się strojnemi toaletami, udekorowanymi frakami i lśniącymi mundurami różnych broni i stopni.

Wypadało nam się rozłączyć. Wtedy Titäa zbliżyła się do mnie i szepnęła prawie na ucho:

— Ojciec mój o niczém nie wié?

— Wiem.

— Ojciec mój — ciągnęła — nie wié nawet, że Bela był uwięziony.

— Dobrze!—odparłem zdumiony.

— I ojciec mój — jeszcze podchwyciła Titäa — o niczém nigdy wiedzieć nie może. Dziś nie odstąpi go Galavicini, aby kto przypadkiem... A jutro wyjeżdżamy...

Wszystko to w głowie mi się nie mieściło. Wyglądałem zafrasowany i zdradzałem moją miną wewnętrzny niepokój. Titäa go odgadła i podchwyciła:

— W tym dniu tak radosnym dla mnie, wyglądasz pan niezadowolony? Pan, przyjaciel Beli?... mój?

— Jestem tylko oszołomiony—odparłem—i jestem rzeczywiście nie swój. Sam pragnąłbym gorąco dzielić radość, promieniejącą z oblicz waszych, ale wybaczy pani, że będąc, zdaje się, na ostatnim akcie, a nie znając węzła intrygi...

Titäa podchwyciła:

— Galavicini panu nic nie powiedział?

— Nic.

Zamyśliła się i zagadnęła:

— Są drobnostki straszne w swych skutkach. Ludzie popełniają często w chwilach podniecenia rzeczy, których, wypadkiem tylko, nie padają ofiarami. W tym dramacie, na którego ostatnim akcie pan jesteś, ja popełniłam... zbrodnię, która się nazywa...

Urwała, posmutniała, lekko zbladła, ale po chwili kończyła, powtarzając ostatnie słowa:

— Która się nazywa... *on ne badine pas avec le feu*... Bela popełnił również zbrodnię, jaką jest w pewnych razach niedyskrecya... Opłaciliśmy je drogo, bardzo drogo, bo nie mówiąc o przeszłości, wyrzutem, który nam na całe zostanie życie, jak czarna plama na téj sukni...

Zamilkła.

— Jeśli pani chcesz, by wieczór dzisiejszy nie był dla mnie męczącym, to bądź jaśniejszą...

Titäa odparła:

— Więcéj panu nie powiem przez egoizm. Nie chcąc sama dziś przechodzić męczarni... ale Galavicini panu może...

— Galavicini ani słowa nie piśnie.

Spojrzała w przestrzeń i po pauzie chwytając swój karnet do zapisywania tańców, wyłamała zeń jedną tabliczkę z kości słoniowéj. Napisała na niéj słów kilka i oddając mi ją, rzekła:

— Teraz powié...

Uchwyciłem gorączkową ręką listek kości, na którym stało:

„Do tajemnicy przypuść pan naszego przyjaciela.

Titäa."

Od téj chwili czyhałem na księcia. Ale ten nie odstępował Teszanj'ego . . . .

. . . .

Wreszcie nad ranem stary Bośniak wysunął się z salonów. Wtedy uprowadziłem rotmistrza do jednego z dalszych od zgiełku gabinetów. Usiedliśmy na sofie.

— Opowiadaj! — rzekłem. — Czekałem, jak zbawienia, byś był wolnym... Niechże mam choć koniec balu niezatruty nieodgadniętą tajemnicą.

Tu mu oddałem oryginalny bilet Titäi.

Galavicini mu się bacznie przyjrzał i odezwał się:

— Dziwi mnie twoja ciekawość...

— Wierzę, gdyś swoją zaspokoił.

Te słowa wywarły wpływ. Rotmistrz-poeta znał i rozumiał ludzi.

— Dwa dzieciństwa—podchwycił—zabrały Gyulę, a o włos, że nie zabrały i Beli, a nie zamęczyły Titäi...

— Opowiadaj!

— Wtedy w Somborze — mówił poważnie — Titäa postanowiła zabawić się miłością Gyuli i Beli. Podniecona tym szałem, jaki czuła, iż obudziła w nich, w chwili nierozwagi zawiązała korespondencyę z Redödym...

Tu książę urwał i zauważył:

— Titäa jest kobiétą wychowaną na wschodzie, gdzie...

— Mów!—przerwałem—ja ją znam i rozumiem.

Galavicini ciągnął:

— Korespondencyi tej Merkurym był czternastoletni somborski wyrostek, który przebywał to na ulicy, gdzie mieszkał Gyula, to pod pałacem Teszanj'ich.

Urwał, pomyślał i jakby się śpiesząc, a z widoczną przykrością, podchwycił:

— Wtedy w kasynie, w scenie, któréj byłeś świadkiem, Gyula popełnił... Beli pokazał list Titäi... Czákvar, o którego może i Titäa więcéj dbała, wystarał się również o list szalonéj dziewczyny... Obaj działali jak furyaci, jakimi rzeczywiście wówczas byli, oszołomieni Titäą, rozwścieczeni Abugöröm... Bela pokazał list Gyuli... Bela wtedy się nie kochał, a Gyula szalał... Redödy uchwycił kartkę papiéru i napisał na niéj te słowa: „Czákvar mi pokazał w téj chwili twoje pismo. To pismo mi odbiéra życie."

List ten wyrzucił za okno czekającemu chłopcu i strzelił w siebie. Wyrostek na ulicy zaledwie podniósł spadający z okna papiér, ujrzał pod swoimi nogami pistolet. Jedno i drugie zaniósł Titäi. ...Pistolet musiał wylecieć wypadkiem... Titäa postąpiła, jak wiész. Postąpić inaczéj, czy mogła?... Nie wiem! Jeśli zawiniła względem Beli, to...

Przerwałem mu.

— Ależ on mógł być rozstrzelany?

— Miała trudny wybór. Stary Teszanj, Turek pojęciami, dziśby... teraz, w téj chwili umarł, gdyby się dowiedział połowy téj historyi, która cała wynikła z niedyskrecyi oficera czwartego pułku huzarów. Gdyby Gyula nie był...

Urwał i wstając, jakby rozgorączkowany z sofy, szepnął:

— Jedna niedyskrecya... co narobiła, co omało nie narobiła? Gdyby Gyula nie był napisał? gdyby ten wyrostek, którego odnalazłem, nie był téj kartki podniósł?... gdyby Titäa przerażona była zniszczyła ją?... gdyby to, i to jeszcze? Oto ten! — kończył, wskazując oczami na salę, gdzie tańczono—jęczałby w kryminale, a ona miałaby dwie zbrodnie na sumieniu.

— Ale ma jedną?—wtrąciłem głęboko wzruszony.

— To pytanie—podchwycił Galavicini—pytanie, którego my nie rozstrzygniemy. Ta zbrodnia, śmierć Gyuli, spadnież ona na nią? czy na... niedyskrecyę gentelmana?

— Według ciebie?

— Według mnie?—odparł książę — ona popełniła dziecinne szaleństwo, a Gyula...

— Gyula?

— Zbrodnię, jaką w kodeksie ludzi honoru jest i będzie tego rodzaju niedyskrecya.

— Wszakże Bela ją popełnił również—zawołałem.

— Pytanie, czyby ją był popełnił... On poszedł śladem...

Więcéj nie mówiliśmy o tém.

Miałem zamiar oddać Abugörö Czákvarowi, ale nie uczyniłem tego, a i on mnie się nigdy nie spytał.

Mam jeszcze Abugörö i kocham go, nie jak zwierzę, bo czyż proste zwierzę mogłoby oficera lśniącego pułku huzarów doprowadzić do popełnienia zbrodni, któréj sam padł ofiarą, zdaniem księcia — biédny Gyula.

W. hr. Łoś.





UNIWERSYTET LONDYŃSKI.

Londyn — największy gród nowoczesnego świata, stolica wszechmocarstwa, kroczącego na czele całéj anglo-saskiéj rasy, ognisko cywilizacyi, uświęconéj starodawną tradycyą, dumnéj ze światła, jakie na ludzkość rozlała przez swe oryginalne geniusze i przez nieprzerwaną umysłową pracę pokoleń jednych po drugich, — ów blisko pięciomilionowy Londyn nie posiada w ścisłém znaczeniu uniwersytetu. Nawet w kraju, gdzie na każdym kroku napotykają się anomalie i gdzie organizmowi społecznemu brakuje systematyczności i logiki, fakt taki ma prawo zadziwiać.

Nikt zapewne nie będzie szukał przyczyny tego stanu rzeczy w lekceważeniu uniwersytetów, bo wystarczy przypomniéć, że Anglia założyła już w początkach XIII-go stulecia (jeżeli nie wcześniéj, za Alfreda W-go i za Edwarda Wyznawcy), swe słynne wszechnice w Oxfordzie i w Cambridge, że trzy szkockie datują z XV-go a dubliński z XVI-go stulecia. Daleko właściwiéj będzie przypisać to upośledzenie stolicy brakowi centralizacyi państwowéj i silnie rozwiniętemu życiu prowincyonalnemu, które u siebie, w bezpośredniéj bliskości najwyższe zakłady naukowe fundowało, oraz arystokratyczno-kościelnemu ustrojowi społeczeństwa: nie troszczyło się ono o handlarzy i rzemieślników londyńskich, dla których gildye i korporacye mogły zakładać specyalne szkoły techniczne, ale którzy nie potrzebowali bynajmniéj zagłębiać się najprzód w tajniki teologii i scholastyki, a następnie, po tryumfie odrodzenia klasycznego, uprawiać grecko-rzymskiéj literatury.

Ale, Londyn nawet nie był tak całkowicie zaniedbany pod względem wyższych zakładów naukowych, jak to się powszechnie przypuszcza. Nie trzeba zapominać, że oprócz różnych kolegiów, jak

teologicznego przy katedrze westminsterskiéj i Ś-go Pawła, prawnego w Inns of Court i Chancery i t. d., którym to kolegiom brakowało przedewszystkiém wspólnéj, jednolitéj organizacyi, ażeby się zamienić na uniwersytet jak to miało miejsce z 17-ma kolegiami w Cambridge i 20-ma w Oxfordzie, nie trzeba zapominać, powiadamy, że w 1548 r. sir Tomasz Gresham, ufundował siedm katedr, a mianowicie teologii, muzyki, astronomii, geometryi, prawa, fizyki i retoryki, że przeznaczył dom swój na Bishopsgate na mieszkanie dla profesorów i na kolegium dla wykładów. Był to zaród uniwersytetu i gdyby był został materyalnie podtrzymywany przez ludzi, mających fortunę i znaczenie społeczne, byłby niezawodnie wzniósł się, rozwinął i został centralném ogniskiem umysłowém stolicy. Ale grunt jéj nie sprzyjał tego rodzaju instytucyi i mizerny wlokła żywot. Mimo tego, dwa uniwersytety wielkie i już uorganizowane, rozsiadłe, patrzały z niepokojem i zazdrością na tego ewentualnego współzawodnika. Istniało kolegium sir Tomasza Gresham zaledwie od lat kilku, gdy rektor uniwersytetu w Cambridge pisał w często cytowanym liście do lady Burghley w 1575 r. słowa następujące: „Niechaj Londyn używa swych własnych korzyści, swego portu, swego rynku o mnóstwie towarów, swych słynnych trybunałów, pałacu monarchy, ciągłego napływu arystokracyi, ale niechaj nam zostawi nasz skarb własny—muzy, literaturę, wiedzę. Kto chce je przenieść do Londynu, grozi natychmiastową ruiną obu uniwersytetom“. Były to słowa charakterystyczne i można powiedzieć, że mniéj lub więcéj wyraźnie były wygłaszane w tym samym duchu w ciągu trzech następnych wieków a nawet w chwili obecnéj, gdy kwestya uniwersytetu londyńskiego stanęła przed społeczeństwem angielskiém i oczekuje decyzyi parlamentu, jeszcze dochodzą nas spóźnione echa téj saméj opinii.

Dopóki ustrój państwowy angielski opierał się wyłącznie na przywileju, nie było do przypuszczenia, ażeby jeden z dwóch uprzywilejowanych czynników, jeden lub drugi z filarów, na których się cały gmach publiczny opiérał, kościół urzędowy, anglikański i oligarchia terytoryalnéj arystokracyi, chciał, przez utworzenie uniwersytetu londyńskiego, własne stanowisko swe podkopać. Dozwalając wejścia do Oxfordu i Cambridge jedynie wyznawcom religii państwowéj, stawiał się kościół na wyżynie i spychał wszystkie sekty dysydentów do rzędu pogardliwych płazów, a im większy splendor otaczał akademicką młodzież, wychowującą się na tych wszechnicach, im kosztowniejszy był tam pobyt i wstęp trudniejszy, tém większą dawało to rękojmię arystokratom, iż potrafią pomiędzy swą kastą a ozuchwaloną i domagającą się coraz szerszych praw, rzeszą plebejuszów, postawić za-

porę wyższego wychowania i nauki. Trzeba było czekać naszego stulecia i tego potężnego prądu reformatorskiego, który je w pierwszéj zaraz ćwierci nacechował, trzeba było, że się têm trafném wyrażeniem posłużymy, owéj gorączki demokratycznego romantyzmu, aby i na tym punkcie nową rozpocząć erę. Ale w Anglii nie rozcinają węzłów, lecz rozplątują je cierpliwie. Zaimprowizowano wprawdzie w 1827 roku instytucyę, która chociaż ochrzczoną została nazwą uniwersytetu, nic oprócz nazwy nie miała z nim wspólnego, lecz dopiéro teraz, po upływie blisko lat siedmdziesięciu, zabierają się do utworzenia istotnego uniwersytetu w Londynie. Przypuściwszy nawet, że sprawa ta pójdzie pośpiesznie, krystalizacyę jéj w ostatecznéj formie można chyba przewidywać dopiéro w końcu naszego albo początku przyszłego stulecia. Lecz mniejsza już teraz o nieznaczną zwłokę. Główną jest rzeczą, że sprawa ta weszła już na ubity gościniec, i że mając po swéj stronie opinię publiczną, złamała opór, jaki jéj dotychczas, bądź siłą bezwładności, bądź energiczną opozycyą egoistycznych interesów, stawiały żywioły uprzywilejowane. Ostatnie fazy téj agitacyi zdają się nam dość ciekawe, abyśmy nie czuli ochoty przedstawić ich czytelnikom w całościowym zarysie.

Dla należytego zrozumienia obecnego ruchu, wypada powrócić do owéj epoki 1827 r., od któréj się historya uniwersytetu londyńskiego poczyna. Jeżeli nie przewodnią, to najruchliwszą osobistością w pośród stronnictwa whigów był wówczas Henryk Brougham, w kilka lat późniéj mianowany członkiem izby lordów i kanclerzem pieczęci. Obecnie, gdy spokojna krytyka rozejrzawszy się w życiu jego, potrafiła z pośród lawy i popielisk kilka szczerozłotych zaledwie bryłek ocalić, jesteśmy zdumieni rolą, jaką tak długo odgrywał, choć nie zapominamy ani jego wymowy, ani niestrudzonéj pracowitości, ani wielostronnych talentów, ani szlachetnego zapału dla humanitarnych, postępowych idei, jak np. zniesienia niewolnictwa, reformy sądownictwa, szerzenia oświaty. Mimo to, jego arogancya i brak sumienności, szarlatanerya i płytkość, nie pozwolą nigdy postawić go na naczelném miejscu pomiędzy mężami stanu swego kraju. Ale olbrzymia popularność, jakiéj używał, czyniła go nieocenionym sprzymierzeńcem dla każdéj sprawy, torującéj sobie wówczas drogę wśród opinii. Gdy przedsięwziął agitacyę za rozszerzeniem oświaty, pokazał tam tę niestrudzoną energię, która do szybkich rezultatów doprowadza. Razem z dr. Birbeck'iem fundował zakłady naukowe, towarzystwa, a broszury jego jak np. „*Observations on the Education of the People*“, w jednym, 1825 roku, doczekały się dwudziestu wydań. Do Henryka Brougham, jako przywódzcy ruchu za oświatą, skierował też poeta

Tomasz Campbell list otwarty, w którym wykazawszy brak wyższych naukowych zakładów w Londynie, przedstawił konieczność założenia uniwersytetu „któryby wykładał wszechstronną wiedzę, egzaminował, wydawał dyplomy, naukowe stopnie i odznaczenia honorowe a jednocześnie posiadał zaletę taniości i rodzinnego życia“. Odwołanie się popularnego poety do rzutkiego polityka nie pozostało bezskutecznêm i on têm gorliwiéj wziął się do dzieła propagandy, że uważał się za inicyatora całego przedsięwzięcia. W tym samym roku utworzył już komitet, w którym znajdujemy obok magnatów, jak księcia Norfolka, lorda Dudley, markiza Lansdowne, polityków jak lorda Johna Russell, lorda Abercombie, p. Auckland, uczonych i filantropów jak dr. Birbeck, J. Hume, G. Gregory, Z. Macauley'a, Weymouth'a i nakoniec finansowe potęgi, jak sir Izaaka Goldsmith'a, Aleks. Baringa, Johna Smith'a i Benj. Shaw. Komitet ten odwołał się do liberalnéj partyi i niebawem zebrał sumę 160,000 f. sz., gdyż nikomu wówczas i na myśl nie przychodziło odwoływać się do państwa i żądać interwencyi rządowéj. Stronnictwo liberalne uchwaliwszy założyć wszechnicę, któraby opierając się na zasadach postępowych, nie potrzebowała się potykać na każdym kroku, jak to miało miejsce w Oxfordzie i Cambridge, o uprzedzenia religijne i klasowe, wiedziało dobrze, że trzeba znaleść dla niéj materyalną podstawę. Sir Izaak Goldsmith dokazał cudów w téj sprawie i on to, na własne ryzyko, zakupił przestronne gmachy na Gower Street, w sąsiedztwie British Museum, dla uniwersytetu, który dopiéro wylęgał się w głowie pełnych zapału orędowników. Wkrótce jednak zamiar się urzeczywistnił i w 1827 r. książe Sussex, syn Jerzego III, położył kamień węgielny uniwersytetu londyńskiego. Był to tytuł samozwańczy, gdyż do zabezpieczenia prawnego jego istnienia, choćby prostego kolegium, a têm więcéj uniwersytetu, potrzeba było dyplomów nadawczych od korony, tak zwanéj „*Charter of incorporation*“, a takich dyplomów całkowitych nie otrzymała dotąd jeszcze instytucya, częściowe zaś, połowiczne, wytargowane, wydarte, były znacznie później dopiéro. W średnich wiekach, gdy kolegia, t. j. stowarzyszenia pomiędzy profesorami a studentami fundowane były przez potentatów kościelnych i świeckich, w celu trzymania wyborowéj młodzieży zdala od wpływów postronnych, ci jéj dobrodzieje zaczynali zawsze od zabezpieczenia im prawnego stanowiska, otrzymania dla nich nienaruszalnych przywilejów. Można było potém bezpiecznie przekazywać im zapisy. I tak się stało, że kolegia w Oxfordzie i Cambridge posiadają, podług wykazu sporządzonego w 1874 r., dochodu jedynie z ziemskiéj swéj własności, bez uwzględnienia wszelkiéj innéj, 307,369 i 264,256 fun-

tów szterlingów. Ale oprócz majątku, potęga tych kolegiów polegała na luminarzach nauki i społecznego wpływu, którzy stali u ich steru, jako *masters* na szerokim zastępie uczonego areopagu, złożonego z *fellows*. Każde kolegium wybierało téż sobie pomiędzy najznakomitszymi potentatami opiekuna, kolatora, który nosił nazwę *visitora* i nietylko przestrzegał dochowania obowiązujących statutów, ale jednocześnie coraz nowe przywileje dla niego wyjednywał. Nakoniec potężny duch Kościoła oskrzydlał te kolegia i kładł na nich piętno swéj niezmiennéj tradycyi.

Potrzeba było istotnego zuchwalstwa, ażeby, nie posiadając żadnego z tych czynników, lecz owszem mając je prciwko sobie uszeregowane, porwać się na założeniu uniwersytetu. A podług pierwotnego planu miał on posiadać 32 katedry wykładowe, obejmujące filologię, matematykę, fizykę, prawo, historyę, ekonomię polityczną i medycynę w rozmaitych ich działach i gałęziach, a profesorowie mieli nietylko wykładać, ale egzaminować i wydawać dyplomy i przyznawać stopnie uczone. Nie mogło być mowy o takiém książęcém uposażeniu dla nich, jak to ma miejsce w kolegiach obu uniwersytetów prowincyonalnych, i jedynym ich dochodem były opłaty wnoszone przez studentów, a część ich szła jeszcze na różne wydatki administracyjne. Jedynie poczucie obowiązku skłoniło ludzi, jak Sharpey, Graham, Malden i t. d., do ofiarowania téj słabéj instytucyi powagi swych imion i korzyści swych wykładów. W pierwszym roku, 1828, liczba studentów wynosiła 557.

Ten brak wystarczającéj podstawy materyalnéj dla rozwoju i trwałości nowo-założonéj instytucyi, przyczynił się bezwątpienia wiele do zwłoki ze strony rządu z nadaniem jéj bytu prawnego, ale główny, istotny powód niechęci, z jaką nań patrzano, był religijny. Zdawało się rodzajem herezyi organizować zakład naukowy takiego zakresu po za sferą kościoła państwowego, nie ubiegać się o jego sankcyę, nie żądać jego współdziałania, i nietylko przez wykluczenie fakultetu teologicznego, ale przez stanowcze postawienie wszystkich wykładów na gruncie świeckim, ów „Uniwersytet londyński“ stał się solą w oczach całego stronnictwa zachowawczego. Wspierać go pieniężnie lub moralnie, uczęszczać do niego, ubiegać się o jego stopnie naukowe, stało się odrazu jednoznacznikiem z jednéj strony radykalizmu, a z drugiéj zaszczepiania na gruncie narodowym instytucyi obcokrajowych, a zatém źle przez ogół widzianych. Lecz Anglicy są zbyt praktyczni, ażeby poprzestawać na gołosłownéj krytyce i umieją teorye w czynach urzeczywistniać. Stronnictwo kościelno-zachowawcze nie chciało zostawić Londynu w ręku ludzi „nowych“ i na-

tychmiast, bez żadnéj mitręgi czasu, wzięło się do przeciwstawienia ich kaplicy—swojéj własnéj. Nie daléj, jak w rok po założeniu uniwersytetu londyńskiego, bo w r. 1829-ym, utworzono *King's College*, które otwarte zostało uroczyście w 1831 roku. Wzniosło się ono w skrzydle zachodniém rządowego pałacu, Somerset house, na ulicy Strand i rozciągało się do wybrzeża Tamizy. Głównym przedmiotem wykładu była teologia, a celem przygotowywanie pastorów dla kościoła urzędowego. Arcybiskup kanterburyjski, najwyższy dygnitarz jego, był *Visitor*'em kolegium królewskiego i wszyscy jego dożywotni dyrektorowie, cały senat akademicki, składał się z jawnych i wpływowych filarów tego obozu. Nie poprzestano też na wydziale teologicznym, ale uorganizowano obok niego wydziały literatury, nauk ścisłych, inżynieryi, medycyny, sztuk wyzwolonych, i wprowadzono rozmaite inowacye, jak osobny wydział dla kobiét, popularne odczyty wieczorne, kursa techniczne i t. d. Nie potrzebując troszczyć się o materyalne środki, których było wbród, pozyskawszy sobie patronat królowéj, opłacając hojnie profesorów, otwierając dla studentów mieszkania, jak to jest w uniwersytetach tradycyjnych, odrazu stało się kolegium to potężnym współzawodnikiem początkującego uniwersytetu stolicy. Możnaby powiedziéć, że Londyn, który dwa lata wprzódy całkiem uniwersytetu nie posiadał, miał ich dwa na raz. Ale nie trzeba przywiązywać do tego urzędowego tytułu znaczenia, jakie mu się nadaje na lądzie stałym, powtarzamy. Były to jedynie dwa kolegia, dwa ogniska wyższéj oświaty, których fundacyi i rozwoju Londyn mógł sobie winszować.

Ale, gdy *University of London* kołatał bezskutecznie o otrzymanie dyplomów nadawczych, *King's College* otrzymało je natychmiast w 1829-ym roku, jako „kolegium, w którém kościół anglikański wykłada doktryny i obowiązki chrześciaństwa i łączy do nich inne użyteczne gałęzi wiedzy.“ Pięciu lat trzeba było, ażeby nakoniec i liberalne kolegium pozyskało byt legalny. W roku 1835-ym książę Somerset, w imieniu gabinetu lorda Melbourne, zaproponował uniwersytetowi londyńskiemu układ, mocą którego miał się on zrzec wszelkich pretensyi do stanowiska i dostojeństwa uniwersytetu, a zamienić się w kolegium noszące nazwę *University College*, w którém wszelkiemi wykładami i całą organizacyą wewnętrzną mogłoby rozporządzać podług swego własnego uznania. Lecz jednocześnie rząd nadawał prawną egzystencyę uniwersytetowi londyńskiemu, jako instytucyi niezależnéj, naczelnéj, unoszącéj się zarówno ponad *University*, jak ponad *Kings College* i ponad różnemi, oddzielnie istniejącemi, wyższemi zakładami naukowemi. Uniwersytet londyński nie miał miéć wy-

kładów, lecz być jedynie komitetem egzaminacyjnym, ciałem uczoném, rozdającém stopnie naukowe i dyplomy bakałarzów i magistrów sztuk, literatury i medycyny. Propozycya ta przyjętą została nie z ochoty, ale z konieczności przez radę dotychczasowego uniwersytetu londyńskiego, zdegradowanego po ośmioletniém istnieniu do stanowiska kolegium i król Wilhelm IV-ty w dniu 28 listopada 1836 r. podpisał dwa dyplomy: jeden stwierdzający istnienie legalne kolegium uniwersyteckiego, drugi organizujący uniwersytet londyński bez studentów, bez profesorów, mający jako zadanie czuwać zarówno nad anglikańsko-zachowawczą, jak dysydencko-postępową wiedzą i nadawać przez swe patenta i stopnie zgłaszającym się przed jéj trybunał kandydatom, godności naukowe takiéj saméj wartości, jak te, które dotychczas były w wyłączném posiadaniu Oxfordu i Cambridge, otwiérające drogę do zawodów publicznych i służby państwowéj.

Jeżeli się bezstronnie nad sprawą tą zastanowić, to można przeboléć stratę bezpośrednią, osobistą, którą poniosło kolegium uniwersyteckie, a wziąć na uwagę niezawodną korzyść, jaką otrzymał cały naród. Od owego dyplomu nadawczego 1836 r., Anglia posiada trzecie ognisko naukowe, trzecie ciało ukonstytuowane, które dzięki swemu początkowi, dzięki przewodniczącemu mu nastrojowi, zerwać mogło raz na zawsze ze scholastycznemi pozostałościami i z wszelką zależnością od kościoła państwowego i wszystkich wogóle kościołów i sekt. Wyższa oświata została wyemancypowana wtedy i każda nowa jéj zdobycz znaczyć będzie utratę stanowiska, uprzednio przez jéj poprzedników i przeciwników zajmowanego. Nawet na wewnętrznéj organizacyi dwóch starodawnych wszechnic, gdzie poziom oświaty zniżył się był w ciągu XVIII-go wieku w istotnie nieprawdopodobny sposób i gdzie nawet w pierwszéj połowie naszego zauważyć było można skandaliczne wyzyskiwanie materyalnego dobrobytu bez najmniejszéj troski o nabycie wiedzy i o jéj postępy, ten nowy uniwersytet, powstający do życia na innych całkiem zasadach, był przestrogą, wskazówką i zachętą do czujności i energii. Trzebaby tam jeszcze siekierą wycinać poręby, ale światło i powietrze ma już przystęp otwarty.

Po wstąpieniu na tron obecnie panującéj monarchini, dyplom nadawczy 1836 r. ustanawiający uniwersytet londyński, jako najwyższe ciało egzaminacyjne i udzielające naukowe stopnie, został uroczyście odnowiony i z biegiem lat rozmaite inne dodatkowe przyszły wesprzéć go i odpowiednim uczynić wymaganiom praktycznym. Nie widzimy potrzeby wymieniać ich tutaj wszystkich. Wystarczy wspomniéć o regulaminie 1850 r., który wyliczył wszystkie kolegia

naukowe, rozproszone po kraju i w niektórych koloniach: studenci ich otrzymali prawo stawać do egzaminu przed uniwersytetem londyńskim i ubiegać się o jego stopnie naukowe. W roku 1854-ym wielu z tych, którzy je otrzymali, zażądali takich samych praw i przywilejów, jakie w łonie swoich kolegiów posiadają zwykli studenci, zażądali prawnego uznania ich nieprzerwanego związku z uniwersytetem i możności współdziałania w jego rozwoju. Zadanie to zostało spełnione w 1858 roku, gdy utworzono ogólne zgromadzenie bakałarzy i magistrów, noszące nazwę *Convocation*. Można ciało to uważać za rodzaj izby gmin uniwersytetu: obraduje ono nad ogólnemi sprawami, proponuje reformy wewnętrzne i utrzymuje pomiędzy uniwersytetem a społeczeństwem prąd żywotny. Za izbę wyższą można natomiast uważać senat, złożony z kanclerza i wicekanclerza i z 36 członków dożywotnich, t. zw. *fellows*. Dzięki agitacyi, prowadzonéj przez konwokacyę, uniwersytet londyński otrzymał w 1867 roku przywiléj wysyłania swego delegata, jako posła do izby gmin. Od pierwszéj chwili aż do obecnéj był nim sir John Lubbock, którego sławy jako uczonego nie potrzebujemy uwydatniać. W uniwersytecie londyńskim, zarówno w charakterze członka komitetu egzaminacyjnego, jak téż w charakterze senatora, jest on jednym z najgorliwszych i najużyteczniejszych orędowników instytucyi. W tymże 1867 r., uniwersytet londyński upoważniony został do przypuszczenia kobiét do egzaminów i do udzielania im świadectw; w dziesięć lat późniéj zostały one równouprawnione z mężczyznami. Na tém polu, jak na kilku innych, uniwersytet londyński wziął inicyatywę postępowych reform.

Od czasu, jak zniesione zostały rozmaite ograniczenia co do kategoryi kandydatów, przystępujących do egzaminów, liczba ich wzrosła, świadcząc, że pod tym przynajmniéj względem instytucya ta celowi swemu odpowiada. Pomiędzy 1858-ym a 1885-ym rokiem ilość kandydatów do matrykulacyi podniosła się z 299 do 1,900, a bakałarzy sztuk z 72 do 339, bakałarzy nauk 145, magistrów 17. Ale nietylko co do ilości, lecz i co do jakości poziom wzrósł znacznie. Było rzeczą powszechnie znaną, że egzamina w Cambridge, a szczególniéj w Oxfordzie, zeszły do czystéj formalności, że gospodarował tam fawor i zagnieździły się skandaliczne nadużycia. Uniwersytet londyński, nie potrzebujący się krępować żadnemi osobistemi względami, zrozumiał od razu, że wypada mu nietylko odznaczać się sumiennością i bezstronnością, ale że trzeba postawić kandydatom wymagania surowe tak, ażeby matrykulacyjny dyplom i stopnie naukowe były istotnėm stwierdzeniem przeciętnego przynajmniéj naukowego

wykształcenia. Surowość ta odstraszyła zapewne źle przygotowanych kandydatów, ale zapewniła przynajmniéj dyplomom uniwersytetu londyńskiego zasłużoną reputacyą naukowéj powagi. Często nawet kolegia, których wychowańcy ubiegali się o takowe i odrzuceni zostali, protestestowały przeciw tym wygórowanym wymaganiom ciała egzaminującego. Najgoręcéj protestowało kolegium chirurgów i lekarzy. Dyplom uniwersytetu londyńskiego, jako najwyżéj ceniony, zwabiał największą liczbę studentów medycyny, do stolicy, gdzie także w klinikach i szpitalach znajdowali szerokie środki pomocnicze w technicznem kształceniu się. Ale gdy kilkoletnie doświadczenie stwierdziło, że komitet egzaminacyjny londyński odrzucał niemiłosiernie wszystkich niedostatecznie przygotowanych, studenci medycyny zaczęli ryczałtem omijać kolegium i przesiedlali się do innych krajowych, a mianowicie szkockich uniwersytetów, gdzie o dyplom doktorski nie było trudno. Profesorowie londyńscy uskarżali się głośno na czynioną im szkodę i nie omieszkali przy téj egoistycznéj skardze uczynić téj nader słusznéj uwagi, że komitet egzaminacyjny, do którego składu nie wchodzą sami wykładający, który nie ma doświadczenia i praktyki nauczania, nie ma prawa rościć pretensyi do nieomylności, że drakońska surowość nie przystoi tym, którzy sami dla siebie ukuli normę przeciętną, stanowiącą o dostateczném lub niedostateczném wykształceniu kandydatów. Podali nakoniec ciż profesorowie petycyę do korony o udzielenie im oddzielnego nadawczego dyplomu, któryby uczynił fakultet medyczny organizmem niezależnym od uniwersytetu londyńskiego. Królewska komisya, która w 1889 r. ustanowiona była dla zbadania reform w zakresie oświaty, odrzuciła jednakowoż propozycyą fakultetu medycznego i ograniczyła się do wyznaczenia mu udziału w komitecie egzaminacyjnym. Prawdopodobnie jątrzące to nieporozumienie się zatrze, a uniwersytet londyński zachowa w przyszłości swój monopol patentów i dyplomów.

Nie można wątpić, rozpatrzywszy się w działalności tego ciała naukowego, że w wyznaczonéj sobie sferze działania zrobiło co mogło i że z zadania swego wywiązało się dobrze. Ale jeżeli od 1836 r., w którym założony został, to jest w przeciągu pięćdziesięciu sześciu lat, uniwersytet londyński wiódł żywot cichy i bez wstrząśnień, jeżeli na rozwój wiedzy nie wpłynął i istotnie naukowego ruchu nie wywołał, to, zaprawdę, nie jego to wina, ale tych, którzy go raz na zawsze na rolę nieprodukcyjnego rzezańca skazali. Nazwać uniwersytetem taką instytucyę, było złym żartem i byłoby w każdym innym kraju, oprócz Anglii, grzechem nie do darowania. Tutaj jednak rzecz sama w sobie ma mniéj niebezpieczeństwa, gdyż społeczeństwo angielskie,

nie troszcząc się o systematyczność i logikę, potrafi w chwili stosownéj do istniejących ram wprowadzić nowy, całkiem odmienny organizm. Oddawna zrozumieli wszyscy, którzy postęp oświaty i emancypacyę ostateczną wiedzy angielskiéj mają na oku, że trzeba z uniwersytetu londyńskiego takiego, jaki jest, zrobić inny, taki jaki istnieje we wszystkich cywilizowanych krajach, uniwersytet, posiadający katedry, profesorów wykładających na nich wszystkie gałęzi wiedzy, prywat-docentów uprawiających specyalne jéj działy, studentów uczących się, przenikających się naukowemi metodami i duchem, i otrzymujących od swych mistrzów w danéj chwili świadectwo, że z udzielanéj sobie nauki, o ile im to było możliwe, skorzystali. Dopóki uniwersytet londyński nie zostanie taką instytucyą pełną, całkowitą, systematycznie uorganizowaną, znaczenia wyższego mieć nie może. Jedynie o to stanowisko kusić się może *universitas magistrorum et scholarium*, zakład, co naucza i gdzie się uczą. Uniwersytet nietylko wskazuje, czego się uczyć trzeba, ale teoryę swą i systemat swój w czyn wprowadza, produkuje, wytwarza wiedzę, i podług trafnego porównania sir Filipa Magnus jest on rękodzielnikiem i handlarzem wiedzy.

Jeżeli publiczność angielska, przeciętna, braku tego nie czuła i na téj niższości swego narodu nie cierpiała, a przeciwnie oślepiona blaskiem swych dwóch średniowiecznych wszechnic, widziała w nich idealną organizacyą wyższéj nauki, zamiast tego czém są istotnie, bezecną i sromotną jéj karykaturą, to wszyscy pedagogowie, wszyscy prawdziwie wykształceni ludzie o postępowych tendencyach, oddawna do tego szerokiego celu zmierzali i zapisali się pod hasłem *Teaching University*—uniwersytetu wykładającego. Zrazu rozstrzelona w tym kierunku agitacya i propaganda jednoczyła się z biegiem czasu i krzepła. Coraz częściéj spotykać można było w ostatnich latach kwestyę tę na porządku dziennym nawet w kołach, stojących po za obrębem ciała uniwersyteckiego. Każdy nieledwie z *Graduates*, t. j. tych, którzy otrzymali od uniwersytetu londyńskiego naukowe stopnie, bolał nad jego upośledzeniem i stawał się agitującym za rozszerzeniem i dopełnieniem jego misyi działaczem. W pismach i przeglądach ostatniego dziesięciolecia pełno studyów i artykułów, uskarżających się na bezduszność szkieletu, do jakiego sprowadzony był ów rzekomy uniwersytet londyński, mieszczący się w kilku biurach i pokoikach Burlingtońskiego pałacu. Agitacya widocznie dojrzewała i skrystalizowała się nareszcie w 1886 roku w stowarzyszeniu reformy uniwersyteckiéj. Nakreśliło ono plan uniwersytetu wykładającego i przedłożyło go senatowi dwóch kolegiów uniwersyteckie-

go i królewskiego, oraz kolegiom chirurgów i lekarzy i radzie szkoły prawa. Wszystkie wyższe zakłady naukowe, istniejące w Londynie, zostały wezwane przez stowarzyszenie do wypowiedzenia swego zdania i do wskazania roli, jaką zajmować pragną w powstać mającym uniwersytecie. W tymże roku przedłożono petycyę do korony w imieniu dwóch kolegiów, uniwersyteckiego i królewskiego, prosząc o nadanie nowego dyplomu uniwersytetowi londyńskiemu, który proponowano nazwać uniwersytetem Albertyńskim od imienia zmarłego księcia-małżonka. Upłynęło półtora roku i w maju 1888 r. mianowana została królewska komisya pod prezydencyą hrabiego Selborne dla roztrząśnięcia téj petycyi i powiadomienia rządu, jakich środków użyć wypada celem podniesienia wyższéj oświaty w Londynie. Prawie rok cały zasiadała owa komisya i ściągała opinie od osobistości ukwalifikowanych i od organizmów szkolnych, i raport swój złożyła w kwietniu 1889 r. Chociaż nie można wniosków tego raportu uważać za nieprzychylne petycyi, to wszelako nie doszedł on do żadnego stanowczego rezultatu, a ograniczył się do wezwania senatu i konwokacyi uniwersytetu londyńskiego, ażeby dobrze i wszechstronnie swoje ustawy przejrzały i sformułowały ostateczny projekt, łączący wszystkie *disjecta membra* wyższéj oświaty w jednolitą organizacyę. Zanim projekt tego rodzaju przedłożą, rzeczy miały pozostać w dotychczasowym stanie i komisya dała zapewnienie, że żaden dyplom nie zostanie nadany nikomu innemu. W ten sposób rząd umył ręce i odesłał agitatorów do samego uniwersyteckiego sztabu generalnego, nie bez nadziei zapewne, że przy wielostronności kierunków i krzyżujących się interesów, dzieło radykalnéj reformy, jeżeli nie pogrzebaném, to przynajmniéj odwleczoném zostanie.

To ostatnie przytrafiło się istotnie, bo chociaż obrad i protokółów i planów było w ciągu dwóch lat ostatnich bez liku, sprawa szła naprzód kulawo i ociężale. Dyrekcya ruchu wytrącona została z rąk stowarzyszenia prywatnego, które go wszczęło, a oddana wyłącznie mandarynom uniwersyteckim. Ci nie przypuszczali, jak to łatwo przewidzieć było można, szerokiéj publiczności do swych obrad komitetowych i naraz społeczeństwo dowiedziało się o rezultacie ich prac, gdy w lipcu roku zeszłego, przedłożony on został radzie tajnéj i w jéj komitecie rozstrząsany. Ostateczny plan, jaki przez ciało uniwersyteckie (a raczéj przez jego senat z pominięciem konwokacyi) przygotowany był, polegał na utworzeniu jednego uniwersytetu w Londynie, ale nie otwartego, szerokiego, uwzględniającego interesa nauki, lecz uniwersytetu wyłącznie składającego się z dwóch istniejących kolegiów, *University* i królewskiego, i z przyłączeniem — ewentual-

nem — kolegium lekarsko-chirurgicznego. Profesorowie tych kolegiów mieli zostać profesorami uniwersytetu i nikomu innemu, jak ich członkom i powołanym przez ich komitet uczonym wykład nie miał być dozwolony. Nie ma wątpienia, że organizacya taka, jaka przedłożona została radzie tajnéj, miała na celu zabezpieczenie przywileju monopolu tym dwom kolegiom, które dawniéj się na siebie boczyły, ale które uważały za właściwe rozdzielić między siebie najwyższe dostojeństwo naukowe. Łatwo zrozumiéć zgiełk i hałas, jaki ten projekt wywołał w naukowym świecie angielskim. Zarzuty, i to pierwszéj wagi, sypały się gradem. Zwrócono naprzód uwagę, że oprócz tych dwóch kolegiów, które się chcą identyfikować z przyszłym uniwersytetem londyńskim jest jeszcze wiele inych zakładów wyższéj wiedzy tego samego, a nawet wyższego zakresu, i pytano dlaczego miano wykluczać kolegium *City of London*, szkołę politechniczną na Regent Street, kolegia nauk w South Kensingtonie, albo kolegium *Bedford* dla kobiét, instytucyę wzorową i t. p. Daléj podniesiono charakter kościelny *King's College*. Każdy z jego profesorów, jak z jego studentów, musi składać deklaracyę, że jest członkiem kościoła anglikańskiego i wyznaje 36 statutowych artykułów wiary. Jeżeli senat nowego uniwersytetu będzie się składał w połowie przynajmniéj z tych kościelnych zelantów, to nie ulega wątpliwości, iż duch instytucyi zamiast stać po za obrębem teologicznych waśni, ugrzęźnie w nich całkowicie: cel najprzedniejszy, jaki liberalni orędownicy mieli na oku przed pół wiekiem, fundując uniwersytet londyński, zostałby nietylko spaczony, ale wprost na inne, przeciwne popchnięty tory. Nakoniec zwrócono się przeciw pisarzom i pedagogom, jak p. Thiselton Dyer, utrzymującym, że nie potrzeba nowemu uniwersytetowi żadnych innych wykładów, prócz tych, które są już obecnie w dwóch kolegiach, gdyż nie są one w niczém pośledniejsze od wykładów w Oxfordzie i Cambridge, i odparto ich niezasłużoną apoteozę istniejącego stanu rzeczy niezwalczonymi argumentami. Nie na niedostatecznych, elementarnych wykładach wszechnic średniowiecznych powinna się nowa organizacya wzorować, ale zwrócić się zagranicę, do innych narodów, a przedewszystkiém do tego, który najwyżéj ją postawił — do Niemiec. Gdy się znajduje na uniwersytecie w Berlinie 75 zwyczajnych i 83 nadzwyczajnych profesorów a 131 prywat-docentów, to się rozumié natychmiast jakie życie naukowe, jakie potężne ognisko wiedzy zostało tam wytworzone. Po prostu upokarzające są owych kilkunastu profesorów elementarne wykłady dla garstki słuchaczy, takie, jakie mają miejsce w kolegiach londyńskich! Zamiast taki ideał miéć przed oczami, nie chodzi o nic więcéj

angielskim członkom najwyższych zakładów jak o tę podrzędną kwestyę egzaminów, patentów i dyplomów, która w swobodnéj sferze niemieckich uniwersytetów schodzi do ledwo dojrzanéj drobiazgowéj roli. Ma to tém więcéj prawo zadziwiać, iż społeczeństwo angielskie nie uchodzi za ubiegające się wyłącznie o urzędowe patenty i cyrografy.

Walka toczyła się żwawo, ale poważni radzcy królewscy nie zdawali się przywiązywać do polemiki po za ich sferą się toczącéj wielkiego znaczenia. Poświęciwszy kilka posiedzeń rozstrzygnięciu ważnéj kwestyi, czy nowy uniwersytet będzie się nazywał Albertyńskim, czy Londyńskim, czy Brytańskim, czy Cesarskim, czy Westminsterskim, czy Metropolitańskim i nie rozstrzygnąwszy jéj nawet ostatecznie, rada tajna zdecydowała przychylić się do wniosku przedłożonego jéj przez komitet uniwersytetu i z takim „*placet*" projekt odesłany został do gabinetu. Pozostawało obecnie temu ostatniemu przedłożyć go w swém imieniu parlamentowi i otrzymać odeń sankcyą narodową. Tak stały rzeczy w początku bieżącego roku i wszyscy orędownicy szerokiéj oświaty, wszyscy zapaśnicy, którzy od lat wielu za emancypacyą organizacyi uniwersyteckiéj walczyli, małą już tylko mieli nadzieję, żeby im było daném doprowadzić skoszlawione przedsięwzięcie do upragnionéj przystani.

Ale, jak się dzieje zwykle, z nadmiaru zła wystrzeliła właśnie zbawcza iskierka. Wrażenie, jakie wywarł krok uczyniony, rzec można, pokątnie, przez senat uniwersytetu, było tak niekorzystne, że większa część jego członków pośpieszyła umyć od niego ręce. Nie trzeba także zapominać, że lord Granville, który był przez lat wiele kanclerzem uniwersytetu, właśnie umarł i że nowo mianowany jego następca lord Derby nie był dostatecznie obznajmiony z zakulisową historyą, ze stronniczą rywalizacyą dwóch kolegiów z jednéj strony a kolegium medyczno-chirurgicznego z drugiéj, ażeby się wśród różnych prądów zoryentować i nie przyszło mu na myśl odwołać się do owego ciała, które reprezentuje całość uniwersytetu, mianowicie do konwokacyi. Za uczyniony krok, zrobiono w ogóle odpowiedzialnym sir Jerzego Younga, jednego z przewodników fakultetu medycznego a z energią i rzutkością właściwą anglikom, gdy się jéj potrzeba okazuje, postanowiono obalić jego kombinacyą. Akcyą naturalnie wzięła znowu na siebie konwokacya i wysłała deputacyę do p. Balfoura, członka gabinetu w jego charakterze pierwszego lorda skarbowości, przedstawiając mu, żeby zamiast przychylić się do opinii wyrażonéj przez radę tajną, całą kwestyę w organicznéj swéj rozpatrzył całości. Ale prośba ta nie byłaby miała wielkich widoków powodzenia, gdyby szczęśliwym pomysłem, przedstawiciele postępowego projektu, nie byli

się podszyli pod starodawną instytucyą i nie zsolidaryzowali z nią. Instytucyą to było owo kolegium utworzone w XVI-ym wieku przez sir Tomasza Gresham, o której mówiliśmy na początku. Wprawdzie kolegium to, po różnych, zmiennych losach, wzniosło sobie było, w 1845 roku swój własny budynek dla pomieszczenia swéj biblioteki i oprócz niéj znajduje się tam aula dla 500 słuchaczy, lecz ani naukowego życia, ani słuchaczy, ani profesorów wielkich śladów nie było. Mimo tego przywiléj jego istniał, a majątkiem zawiadywał komitet „*trustees.*“ Tych to opiekunów kolegium sir Tom. Greshama wysunięto obecnie naprzód i włożono im w usta protestacyę gorącą w imieniu fundatora londyńskiego uniwersytetu w epoce Elżbiety. Przedstawili téż oni ministrowi, że jeżeli ma być nadany dyplom nowemu uniwersytetowi, to nie dwom nowoczesnym kolegiom on się należy, ale starodawnemu i że uniwersytet powinien nosić nazwę Gresham'skiego. Kolegium to nie rościło pretensyi do wyłączności i nie chciało odrzucać współdziałania swych późniejszych następców, ale utrzymywało, że jemu stanowcza przypada rola i że ma *precedencyę.* P. Balfour nie wziął prawdopodobnie pretensyi tych dosłownie, ale pojął, że dawały mu one wyborny grunt do załatwienia téj sprawy stosownie do życzeń inteligencyi krajowéj. Zgodził się tedy na uwzględnienie każdego z uprawnionych interesów i polecił mianowanéj *ad hoc* komisyi królewskiéj ułożenie nowego dyplomu nadawczego dla uniwersytetu londyńskiego. Prezydentem jéj jest hrabia Cowper a obok niego dwunastu członków reprezentujących kościół, kolegia, ciała uczone i korporacye. Ponieważ komisya ta ma wyznaczone sobie jasno zadanie „rozpatrzenia, a stosownie do swego uznania, zmienienia, ulepszenia i rozszerzenia istniejących statutów nadawczych, wykładowego uniwersytetu w Londynie,“ zatém nie może być najmniejszéj wątpliwości, że sprawozdanie, które za kilka miesięcy przedłoży rządowi, a on parlamentowi, odpowié nareszcie niezmiennym wymaganiom opinii krajowéj.

Teoretycznie można już obecnie powiedzieć, że sprawa jest załatwiona i rozstrzygnięta. Po ośmioletniéj, żywéj agitacyi i dwóch przesileniach, z których każde żywcem pogrzebać ją mogło, stanęła nareszcie na silnym gruncie. Dopóki albo dwa kolegia, uniwersyteckie i królewskie, że już nic o Greshamskiem nie powiemy, albo formalistyczny, egzaminujący i patentujący uniwersytet, w burlingtońskim pałacu zabalsamowany, same jedne, dla siebie o monopol się starały, przegrywały i przegrywać musiały, bo im wielu niezbędnych do sukcesu brakowało warunków. Obecnie niefortunne próby przeświadczyły je, że trzeba się wyzuć z egoizmu i z partykularyzmu i zakreślić dla

uniwersytetu nowy plan, odpowiadający doniosłości instytucyi i potrzebom cywilizacyi nowoczesnéj. Wiele kwestyi drugorzędnych musi być w tym duchu rozwiązanych, a przedewszystkiém kwestya fakultetu teologicznego. Uniwersytety w Oxfordzie i Cambridge są przez swój historyczny rozwój nierozerwalnie powiązane z kościołem państwowym i dla sekt protestanckich, inaczéj się na artykuły wiary i wyznaniowe zagadnienia zapatrujących, nie mają innéj polityki jak absolutne, apryoryczne potępienie. *King's College* londyńskie, na wzór ich uorganizowane, takim samym zagrzane jest duchem, i gdyby ono miało głos rozstrzygający w téj sprawie, narzuciłoby swoje dogmaty, odsuwając wszystkie inne szkoły teologiczne, nawet te, które liczą miliony wyznawców, od życia uniwersyteckiego. Takiemu dogmatycznemu despotyzmowi jednak uniwersytet londyński służyć nie ma powodu i można być pewnym, że otworzy podwoje dla wszystkich wyznań i sekt. Jest nawet mowa o utworzeniu przy nim fakultetu teologicznego katolickiego.

Nie od centralnych władz państwowych ostatecznie, ale od swobodnie wyrabiającéj się opinii narodowéj takie a nie inne stanowisko i organizacya uniwersytetu londyńskiego zależéć będzie. Społeczeństwo samo jest w Anglii zawsze najwyższą instancyą. Skoro interes jego leży po stronie szerokiéj, liberalnéj instytucyi, uczyni zatém ją taką. Dotąd całym pokoleniom nie przychodziło do głowy, ażeby uniwersytet mógł istniéć i rozwijać się w innéj sferze, jak w małych, prowincyonalnych miastach, które się do jego rydwanu wprzęgały i wyłącznie mu służyły. Poetyczne, nieporównane w swéj malowniczości ramy Oxfordu i Cambridge, zdawały się być niezbędnemi i napróżno szukając ich w ruchliwéj, prozaicznéj metropolii, nie interesowano się przybłędą. Zapytywano ironicznie, czy uniwersytet londyński, posiada swoje atletyczne kluby, swoje hufce jedenastu cricketowych zapaśników, czy bierze udział w wyścigach wodnych i z braku tych instytucyi sportowych, tak samo jak z braku *Debating Societies* wniesiono, że życia akademickiego nie ma i nie będzie tutaj nigdy. Możnaby wprawdzie odpowiedziéć na ten zarzut słowami Carlyle'a i przypomniéć, że uniwersytet jest instytucyą książek i wiedzy, nie zaś atletycznych ćwiczeń, ale nie należy być jednostronnym i lekceważyć narodowych zwyczajów nawet gdy grzeszą przesadą. Nic nie stoi na zawadzie, ażeby owych 2824 studentów, którzy w 1890/91 roku przedstawili się do matrykulacyjnego egzaminu w uniwersytecie londyńskim — liczba, która się niebawem podwoi, potroi przy nowéj jego organizacyi — nic nie stoi na zawadzie, powiadamy, ażeby i londyńscy studenci uprawiali gimnastyczne ćwiczenia i stanęli na tym samym

poziomie co ich prowincyonalni towarzysze. Że nawet pod względem zewnętrznym nowy uniwersytet może stać się organiczną całością i poczuwać się nią, wątpić nie ma potrzeby, jeżeli znajdzie dla siebie protektorów i orędowników wpośród magnatów krajowych. Już świéżo lord Sherbroke ofiarował 1000 funtów uniwersytetowi londyńskiemu jako pamiątkę długiego z nim związku, a w tych dniach taką samą sumę ofiarował nowy kanclerz, lord Derby. Zapisy te będą obracane na nagrody konkursowe i stypendya dla studentów; jest to pierwszy szczebel. Przy napływie legatów i fundacyi, nie można wątpić, że się i nowe kolegia dadzą zakładać. Szczodrobliwość zarówno jak bogactwo Anglików sprzyja tego rodzaju ofiarom publicznym.

Nie ma tedy ani materyalnych ani moralnych przeszkód, gdy raz drobne formalności załatwione zostaną, ażeby uniwersytet Londyński nie zajął miejsca pierwszorzędnego pomiędzy wszechnicami angielskiemi. Lecz gdyby nawet pod wielu względami uczyniono go podobnym do dwóch dawniejszych, to można być pewnym, że inny duch będzie go ożywiał. Mówiąc inny, nie wahamy się dodać: lepszy. Co do istotnéj wartości naukowéj Oxfordu i Cambridge istnieje wiele złudzeń i pochwalne oklepanki powtarzają o nich ci przedewszystkiém, którzy znają je tylko ze słyszenia i którzy lubują się w kwietystycznym zastoju. Nie ma za to w Anglii ani jednego poważnego pedagoga i głębokiego umysłu, któryby ich nie potępiał, nie ubolewał nad ich wadliwą organizacyą, nie rumienił się wobec marnotrawstwa wielkich funduszów na utrzymywanie pseudo-naukowych darmozjadów [1]). Nie

---

[1]) Pozwolimy tu sobie, dla usprawiedliwienia powyższéj opinii, przytoczyć słowa napisane przez J. St. Milla w artykule *Civilisation*, pomieszczonym w *London i Westminster Review* za styczeń 1836. Nie straciły one do chwili obecnéj na swéj prawdzie i trafności, a wiele świéżych wypadków wykazało, że nadużyciom nie położono kresu. „Jako instytucya do kształcenia masy, uniwersytety nie istnieją wcale! Młodzież angielska nie kształci się tam. Naukowe wymagania od kandydatów do naukowych stopni, udzielanych przez te ciała, zasługują na szyderstwo w Cambridge a nie wiele są wyższe w Oxfordzie. Wyróżnienia naukowe i zaszczyty są wprawdzie rezultatem zaciętéj walki, ale ubiega się o nie nie wiele, lecz tylko kilka jednostek. Czego dokonali nawet *senior wrangles* w matematyce? od Newtona kogo w téj sferze wydało Cambridge? Jakie dzieła zacząwszy od Reformacyi zespoliły imiona tych dwóch uniwersytetów z postępem wiedzy w dziedzinie historyi, filozofii, literatury? Dość je porównać już nie z niemieckiemi, ale z włoskiemi i francuskiemi uniwersytetami. Co robią nasze uniwersytety, gdy się kto w tych gałęziach wiedzy odznacza? Wyznaczają mu roczny dochód nie jako zachętę do dalszéj pracy lecz jako nagrodę za już dokonaną, z warunkiem, ażeby żył jak mnich i odział się w liberyę kościoła na lat siedm! Przekupują w tém sposób zdolnych ludzi wysokiemi pensyami, uzbrajają ich, ale nie wymagają od nich, ażeby stawali w szeregu zapaśników.“

raz ale tysiąc razy podnosiły się głosy za reformą tych uniwersytetów, niektórzy nawet ich zagłady pragnęli. Tak dalece ostracyzmu posuwać nie trzeba. Jest sposób zreformowania nawet tych zapleśniałych i gnuśniejących w przywileju i dobrobycie zakładów, a sposobem tym najlepszym jest dać im w nowym, postępowym współzawodniku, przykład i bodziec do naukowéj działalności. Rolę tę Londyn ma sobie przez naturę rzeczy wskazaną.

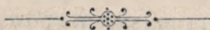
Sprawa ta, niedawno jeszcze do wprowadzenia w czyn nie możliwa, albo przynajmniéj trudna, ma już obecnie wiele czynników po swéj stronie. Dość będzie wymienić tutaj nową, municypalną organizacyą Londynu, *County Councel.* Jest jego dążeniem ześrodkować w swych rękach wszystkie gałęzi, wszystkie działy życia publicznego potężnéj metropolii. Zagrzana duchem postępowym, pragnąc iść ręka w rękę z demokratyczną masą, wypowiadając gdzie tylko może walkę przywilejowi, rada municypalna hrabstwa londyńskiego, gdy jéj atrybucye przyszły parlament rozszerzy i dopełni, weźmie się energicznie do sprawy oświaty publicznéj. Obecnie już wydaje 150,000 funt. szt. rocznie na instytucye naukowe: wzrośnie to niezmiernie gdy City przestanie być ciałem odrębném i gdy wszystkie sumy na oświatę i szkoły podług systematycznego planu asygnowane będą. Nie ma wątpienia, że uniwersytet londyński będzie mógł być uposażonym z tego źródła municypalnego, gdy od państwa takiego etatu nie mógłby się spodziewać. Posiadłszy byt zabezpieczony materyalnie, nie skrępowany żadnemi pętami tradycyi i przywilejów, będzie on mógł ogniskować u siebie promienie wiedzy różnostronne i różnokierunkowe i pozyska dla Londynu ostatni brakujący mu jeszcze klejnot — pierwszorzędną naukową instytucyą.

Dr. M. E. Trepka.





EWOLUCYA SPRAWIEDLIWOŚCI.



Świeżo ukazało się nowe dzieło Herberta Spencera, poświęcone rozwojowi pojęć o sprawiedliwości [1]). Znając poprzednie prace myśliciela angielskiego, z góry można przewidzieć jego stanowisko i wywody. Rozwój dziejowy cywilizowanéj ludzkości jest dlań ruchem postępowym pod każdym względem. Człowiek cywilizowany nie tylko posiada bardziéj posuniętą technikę i wiedzę, lecz nadto, zdaniem naszego filozofa, jest silniejszy fizycznie, obdarzony szerszemi uczuciami i więcéj wyrobionemi uzdolnieniami. Jego pojęcia o sprawiedliwości są również bardziéj opracowane. Z drugiéj strony, początków poczucia sprawiedliwości należy poszukiwać już w świecie zwierzęcym. Z tego niepokaźnego zalążka rozwijają się owe zwolna, lecz wciąż w tym samym kierunku, po przez dzieje ludzkie.

Przypatrzmy się nieco drobiazgowiéj pracy Spencerowskiéj.

Filozof angielski wychodzi z założenia, że walka o byt jest zasadniczém prawem całego życia organicznego. Ze stanowiska pojedyńczego osobnika moralność zlewa się z postępowaniem, zapewniającém wytrwanie w tych wzajemnych zapasach, a sprawiedliwości staje się tutaj zadość, jeżeli każda jednostka ponosi następstwa, złe lub dobre, swojego przyrodzenia organicznego i wypływającego ztąd postępowania. Zresztą ta zasada nie zawsze tryumfuje, np. posucha lub mór porywają okazy jakiegoś gatunku bez względu na wartość osobniczą. Lecz zdarza się to tém rzadziéj, im wyżéj posuwamy się po drabinie rozwojowéj świata organicznego: muszka ginie od jaskółki bez względ-

[1]) *Justice*, London, str. 290.

du na swoje uzdolnienia, tymczasem wśród ssaków drapieżnych lub roślinożernych wytrwanie jednostki w walce o byt zależy już mocniéj od jéj doskonałości. Wreszcie wśród ludzi zasada powyższa osobniczéj sprawiedliwości zdobywa sobie jasno wypowiedziane prawo obywatelstwa, zwłaszcza odkąd społeczeństwo poczyna opiérać się na umowie swobodnéj pomiędzy członkami, t. j. zbliżać się do typu przemysłowego. Atoli, z wyjątkiem najniższych ogniw świata organicznego, osobnik nigdzie nie wystarcza sobie sam jeden, gdyż najprzód popędy, związane z utrzymaniem gatunku, zmuszają jednostkę do szukania odpowiedniego towarzystwa i łożenia zabiegów celem wychowania potomstwa, z drugiéj zaś strony, warunki bezpieczeństwa zniewalają ją do łączenia się z innemi i poddawania się wymaganiom dobra ogólnego. Powstaje ideał sprawiedliwości społecznéj. Mianowicie każda gromada składa się z mnóstwa osób, a ta mnogość sprowadza za sobą różne starcia wzajemne i powikłania. Każdy naprzód dąży do swobodnego poruszania się zgodnie ze swojemi potrzebami i popędami, a dążność ta do wyładowania właściwych sobie upodobań stanowi pozytywny pierwiastek, jeśli chcemy określić treść ideału sprawiedliwości społecznéj; nadto działalność każdéj osoby winna liczyć się z obecnością innych współtowarzyszów, których swoboda do czynienia zadość swoim potrzebom, zostałaby skrępowaną, gdyby ów ktoś zechciał postępować bez żadnego wędzidła. Zjawia się przeto pierwiastek ograniczający pojęcia o tém, co jest sprawiedliwe. Wolność jest hasłem, biorącém pod uwagę tamten, równość zaś—ten ostatni składnik sprawiedliwości społecznéj. Pomiędzy niemi istnieje pewnego rodzaju antagonizm, i dzieje doktryn politycznych przedstawiają wciąż odchylenie to w jednym, to znowu w drugim kierunku. Nie będziemy zatrzymywali się nad powodami tego, powiemy tylko, że antagonizm ów zniknie w społeczeństwie idealnie przemysłowém, gdzie wojna ustanie a wraz z nią przymus, jako regulator czynów, ustąpi miejsca umowie, dowolnie zawiéranéj. Sprawiedliwość owego społeczeństwa idealnego jest dla naszego autora ideałem bezwzględnym sprawiedliwości, jakby latarnią, którą winniśmy się kierować w działaniu praktycznem i ku któremu obowiązkiem naszym jest pchać ustrój społeczny, a całe dzieje ludzkości, ba nawet świata zwierzęcego, są niby wypracowywaniem i przygotowywaniem takiego stanu rzeczy. Z tego powodu Spencer sądzi, że ową sprawiedliwość bezwzględną można wyprowadzić z zasad ogólnych dotychczasowego życia społecznego; co więcéj, nie poprzestaje na zrobieniu tego i daniu takiego bezwzględnego wzoru sprawiedliwości społecznéj, brzmiącego: „czyń co ci się spodoba, lecz w szrankach, nie nadwérężających swobody twoich współobywateli,“ lecz nadto usiłuje *à priori* wyprowadzić

treść jego, rzeczową zawartość, broniąc przy tém namiętnie słuszności takiego rozumowania dedukcyjnego. Otóż bezwzględna sprawiedliwość w szczegółowém opracowaniu polega na bezwzględnéj nietykalności każdéj jednostki, chyba, kiedy to sprzeciwia się dobru powszechnemu; w dalszym ciągu zawiéra w sobie zupełną i niczém nie skrępowaną swobodę poruszania się w społeczeństwie i wyzyskiwania nieograniczonego wszystkich sił daremnych przyrody, oraz przyznanie bezwzględnego prawa własności zarówno materyalnéj jak i umysłowéj ze swobodą zapisów i rozdarowywania, procederu przemysłowego, wymiany i umowy; wreszcie do powyższych wyliczeń treści bezwzględnego ideału sprawiedliwości należy dodać jeszcze swobodę sumienia w najszerszém znaczeniu tego wyrazu. Przyjrzawszy się bliżéj temu ideałowi, nie trudno spostrzedz, że w nim zawarto ogół tych samych życzeń, jakie wypowiadają wolnohandlowcy. Cała różnica zasadza się na tém, że terminologią ekonomiczną Bastiata lub członków klubu Cobdenowskiego, Spencer zastępuje często językiem biologicznym. Nawet za strzeżenia i ograniczenia, które tu i owdzie wprowadza, są zupełnie w duchu Bastiatowskim. Ktoś za swobodą dostępu do sił przyrody podejrzéwałby, iż filozof angielski jest za unarodowieniem renty ziemskiéj. Otóż zgadza się on, że tak rzeczy stać winny, gdyby grunta nie przedstawiały zakrzepłéj pracy ludzkiéj w postaci melioracyi i t. d., lecz dzisiaj owa praca zmarłych pokoleń stanowi wartość dodaną tak znaczną, że renta cała jest jéj owocem. Podobne zastrzeżenia czyni względem kobiét. Mianowicie powstaje przeciwko poglądowi, że posiadanie praw politycznych jest niezbędną częścią udziału sprawiedliwości; przeciwnie, są one zupełnie obojętne, jeżeli jednostka posiada prawo nietykalności, wolnéj umowy, i t. d. A zatém sprawiedliwość bynajmniéj nie wymaga, aby kobiéta była równoprawną politycznie mężczyznie, jeśli jéj umożliwiono wszelką swobodę, zawartą w powyżéj przytoczoném wyliczeniu. Że taką jest, jak powyżéj wyszczególniono, treść bezwzględnéj sprawiedliwości, Spencer usiłuje to poprzéć w sposób indukcyjny, badając, w jakim kierunku rozwijały się poszczególne prawa człowieka po przez dzieje i dokąd zmierzają one w dalszym ciągu. Nie będziemy towarzyszyli myślicielowi angielskiemu w téj wycieczce, powiemy tylko, że wszystko według tych wywodów odbywało się w świecie, jak tego wymaga dedukcyjnie wyprowadzony przez Spencera ideał bezwzględny: ludzkość przeglądała coraz bardziéj na oczy, w miarę tego jak wojnę usuwano na plan dalszy, przemysł zaś wysuwano na pierwszy. Wreszcie dzisiaj ideał ów staje się latarnią, przyświecającą wszystkim umysłom „naukowym.“ W tém miejscu z góry można było przewidzieć, iż Spencer spotka się z kwestyą

praktyczną dnia dzisiejszego, t. j. zechce z wysnutego *à priori* ideału poddać oświetleniu różne kwestye spółczesne, przedewszystkiém zaś obecnie najważniejszą, czém jest państwo i jakie są jego zadania. Zaznaczywszy, że natura państwa jest nader odmienna w różnych epokach dziejowych, stosownie do stawianych przez życie wymagań, i uniewinniwszy różne wtargnięcia jego w zakres praw jednostki, jeżeli tego wymagał dobrobyt ogółu, wypowiada on zdanie, iż obowiązki idealnie przemysłowego państwa polegają na wykonywaniu sprawiedliwości, ograniczaniu prawa własności przy przeprowadzaniu kolei, kanałów i t. d., i wreszcie na obronie całości przeciwko wrogom zewnętrznym. Z tego stanowiska potępia on wtrącanie się państwa w zakres ekonomiczny, np. upaństwowienie kolei, poczt; krępowanie swobodnéj umowy, w postaci prawodawstwa fabrycznego; nadwérężanie własności prywatnéj przez publicznie utrzymywane a bezpłatne szkoły, czytelnie, szpitale. Wolna konkurencya w całém swém rozpasaniu jest dlań identyczną z bezwzględnym ideałem sprawiedliwości. Z tego samego powodu występuje on nader ostro przeciwko organizacyom fachowym najmitów, jako usiłującym ograniczyć tę swobodną grę sił ekonomiczno - rynkowych.

Taka jest treść wywodów Spencerowskich. Sama rzecz jest napisana zręcznie i potoczyście, dedukcye każdorazowo są niby sprawdzone późniéj na całym szeregu faktów, liczne przykłady popierają każdy wywód. Wreszcie dodajmy, że według tego przedstawienia cały dotychczasowy rozwój sprawiedliwości podąża tak, jak to przedstawia sobie wykształcony dyletant, przyjmujący wolną konkurencyę i inne dzisiejsze stosunki ekonomiczne, jako formy, w których ludzkość już zejdzie do grobu, jeśli przedtém nie popadnie w zacofanie. A jednak winniśmy powiedzieć, że pozory te mylą, że w całéj literaturze naukowo-socyologicznéj nie znamy dzieł bardziéj fałszujących przeszłość ludzkości, niż Spencera, zwłaszcza tam, gdzie idzie o rzeczy nawskroś subiektywne, jak pojęcia o tém, co jest moralne, sprawiedliwe i t. d., — i to mimo natłoku faktów i „indukcyjnego“ sposobu pisania. Źródłem tego jest prawdopodobnie posługiwanie się sekretarzami (z których pracy właśnie powstał tak cenny zbiór surowego materyału, jak wydana przez Spencera „Socyologia opisowa, któréj nie należy mieszać z „Zasadami socyologii“. Filozof angielski nie bada osobiście powiązania urządzeń, zwyczajów i stosunków w tém samém społeczeństwie, lecz otrzymuje je z pracy sekretarza, w oderwaniu od siebie, jako *disjecta membra*, i układa z nich

nową, a mniéj więcéj dzięki rozerwaniu spoidła dowolną mozajkę, gdzie z góry można już przewidziéć całą moc uprzedzeń, *à priori* nabytych. Co więcéj, ośmielimy się powiedziéć, iż uogólnienie istnieje tutaj już przed faktami, chociaż w książce zjawia się jako wynik faktów i uwodzi czytelnika. Kto studyował uważnie prace socyologiczne Spencera, spostrzegł niewątpliwie wciąż powtarzający się ten sam schemat rozwoju socyologicznego. W r. 1886-ym umieściliśmy w „Prawdzie“ sprawozdanie z „Rozwoju urządzeń kościelnych.“ Wskutek zrobionego zakładu napisaliśmy je przed przeczytaniem saméj książki, po przeczytaniu dodaliśmy tylko kilka faktów ilustrujących i bez zmiany mogliśmy oddać do druku. Otóż i dzieje sprawiedliwości są napisane według oddawna wypowiedzianéj recepty, którą odnajdujemy w każdéj pracy socyologicznéj autora „Filozofii syntetycznéj“. Co do nas, z zupełną stanowczością twierdzimy, że rzeczywiste dzieje znały nieco inny rozwój sprawiedliwości. Najprzód ludzkość nie przedstawia tego samego typu wciąż doskonalącego się, lecz następstwo bardzo odmiennych typów, i to nie koniecznie doskonalszych dlatego, że późniejszych. Np. zdaniem Spencera, zdolności umysłowe człowieka cywilizowanego są większe, niż barbarzyńcy, przynajmniéj takim jest duch całéj jego doktryny. My temu zaprzeczamy i na podstawie faktów etnograficznych i antropologicznych podjęlibyśmy się dowieść, że barbarzyniec uzdolnieniami przeciętnemi przewyższa prawdopodobnie człowieka cywilizowanego. I zaiste, na podstawie czego możemy twierdzić, iż dzisiejszy wieśniak np. francuski ma posiadać mózg zdolniejszy, aniżeli wolny kmieć burgundzki lub frankoński z w. VIII-go, przypominający życiem swojém awanturnicze postaci pionierów północno-amerykańskich? Podobnie dzieje się téż ze sprawiedliwością. Źródłowe poszukiwanie etnograficzne wykazuje, że pierwotne społeczeństwo bynajmniéj nie przedstawia jakiéjś anarchii lub trzody gryzących się nawzajem ssaków dwunożnych, utrzymywanych w gromadzie przez pięść i przymus, lecz grupę nader solidarną osób, z głęboko wyrobioném spoidłem wzajemności usług bez przymusu z góry. Święto uobywatelnienia młodzieży u australczyków podsuwa oczom badacza wzory, o jakich nigdy nie marzylibyśmy. Głodzi się młodzieńców na ustroniu, karmiąc ich jedynie krwią współplemieńców, którzy kolejno przychodzą i dobrowolnie otwierają żyły swoje. „Uczcie się, jak was kochamy, i pamiętajcie oddać krew waszą, kiedy będzie chodziło o któregoś towarzysza lub o całe plemię“, tak Howitt, wieloletni badacz na miejscu, streszcza zasady tego postępowania. Wewnątrz plemienia mamy najzupełniejszą nietykalność osoby, mienia, przekonań — nie mniejsze, niż w dzi-

siejszéj Anglii. Wprawdzie kto ma więcéj, niż mu potrzeba, inni z tego korzystają, ale jest-to wynikiem nie jakiegoś nieposzanowania cudzéj własności, lecz tylko solidarności. Zresztą z góry tego można byłoby się spodziéwać. Drobna grupa plemienna, otoczona zewnątrz wrogimi „Niemcami“, może wyżyć jedynie przy takiéj solidarności. Późniéj, kiedy bezpieczeństwo wzrośnie, to uczucie solidarności powoli słabnie, a wraz z tém sprawiedliwość przybiera inne modły. Horda bowiem pierwotna, tak solidarna w swojém łonie, jest wrogą w najwyższym stopniu względem innych. Obcoplemieniec to wróg, względem którego wszelka sprawiedliwość ustaje. Otóż dzieje ludzkości toczą się taką drogą, iż za pomocą przymusu wrogie sobie plemiona zostają połączone w szerszą całość, zjawia się przymus wojennéj organizacyi, większe prawa jednych, mniejsze innych i t. d. Spencer właśnie popełnia ten błąd, iż kiedy mówi np. o australczykach, nie bierze pojedyńczych społeczeństw plemiennych, lecz wszystkie 500 niemal plemion żyjących w Australii o różném każde narzeczu i czyni z tego wszystkiego jedno społeczeństwo! Rozumié się, etyka i sprawiedliwość w takiém sztuczném zbiorowisku wrogich społeczności, uznaném jednak za społeczność, będą przedstawiały obraz nieustającéj anarchii i pogwałcenia wszelkiéj nietykalności osobistéj i innéj! Z drugiéj strony, dzieje sprawiedliwości nietylko nie stanowią ciągłego postępu, lecz nadto niepodobna mierzyć różnych pojęć dziejowych w tym zakresie tą samą miarką. Ze stanowiska Spencera, pańszczyzna np. jest krzyczącą niesprawiedliwością. Takie gorzkie łzy nad przeszłością i przeklinanie jéj są rzeczą dobrą w poezyi sentymentalnéj, lecz nauka winna postępować inaczéj. Człowiek XIX-go stulecia nie potrzebuje obdzielać ludzi średniowiecznych swojemi poglądami, lecz sądzić dawne stosunki według ówczesnego zapatrywania. Otóż pańszczyzna była swojego czasu bezwzględnie sprawiedliwą — zarówno w pojęciu pańszczyzniaków, jak i panów, inaczéj bowiem nie trzymałaby się tak długo. Powstała ona, ponieważ kmieć rolny [1]) wskutek braku bezpieczeństwa oddawał siebie pod opiekę pewnemu wojownikowi, lub wprost go najmował — dawał mu utrzymanie, ten zaś go bronił. Wzajemność usług była jasną, — wszelkiéj sprawiedliwości, nawet najbezwzględniejszéj, działo się tutaj zadość w rozumieniu

[1]) Biorę stosunki francuskie według Fustel de Coulange'a, sumiennego badacza, który spędził swe życie na badaniu źródłowych dokumentów, pochodzących z określonego miejsca i czasu, i był daleki od układania mozajki z *membra disjecta*, zaczerpniętych bez ładu z całego globu.

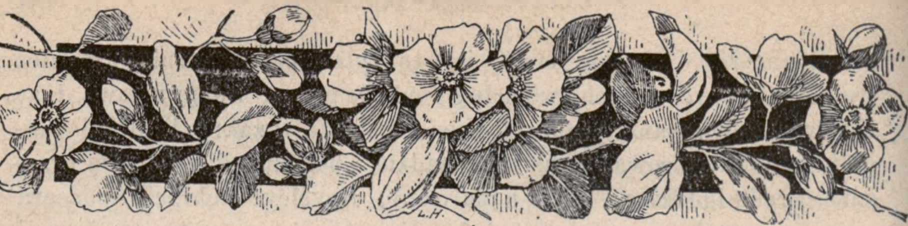
uczestników tego sojuszu. Dopiéro kiedy powstało bezpieczeństwo publiczne dzięki wzrostowi ludności, przeprowadzeniu dróg, powstaniu armii, policyi i sądu państwowego, a pan został zwolniony od wszelkich czynności na rzecz poddanego, dopiéro wtedy wzajemność owa rozprzęga się. Pan bierze, nic nie dając, i społeczeństwo poczyna sarkać przeciw „niesprawiedliwości“ pańszczyźnianéj, hierarchii feudalnéj i t. d. Dla każdéj epoki istniejące w niéj stosunki, jeśli odpowiadają potrzebom ogólnym, są bezwzględnie sprawiedliwe. A teraz zjawia się jeszcze jedna kwestya, mianowicie: może przyszłość należy do owéj spencerowskiéj sprawiedliwości „bezwzględnéj“? Jéj zasadą będzie, że każdy otrzyma udział według swojego przyrodzenia, przynajmniéj tak mniema filozof angielski. Mam powody powątpiewania o tém na podstawie faktów dzisiejszego życia społecznego, a nadto przeciwko temu, muszę przyznać, oburza się całe moje jestestwo. Weźmy takie dążności, jak wprowadzenie szkół bezpłatnych, dawanie bezpłatnego w niektórych gminach śniadania biédnym dzieciakom, utrzymywanie przez państwo ubogich kalek, chorych i t. d. Fakty te oburzają Spencera w najwyższym stopniu, jako „nie sprawiedliwe“, po pierwsze bowiem państwo wtedy zmusza kogo innego, a nie owych korzystających z tego do łożenia na to, powtóre zaś zapewnia byt „niegodnym“, t. j. niezdolnym do odpłacenia się odpowiednim czynem i daje przywileje dzieciom innych, „niegodnych“ znowu tego. Spencer mniema bowiem, że każdy może wydostać się na wierzch drabiny społecznéj i opłacać czytelnię, szkołę, do któréj posyła dzieci i t. d., jeśli zechce wykonać odpowiednie „czyny“, czemu rzeczywistość zadaje kłam, i posiada „godną“ naturę. Przyjrzyjmy się bliżéj etyce czytelni bezpłatnych gminnych, szpitali państwowych lub municypalnych. Przypomina ona sobą moralność rodzinną. Nie pytam się o „czyny“, np. zarobki moich dzieci lub chorowitéj żony, wymagam od nich, aby spełniały na co im siły ich pozwolą, sam zaś swoją pracą zaspakajam ich potrzeby, ile tylko mogę. Państwo względem kalek, ubogiéj dziatwy i t. d., stosuje tę samę zasadę. Wolno zadać pytanie, czy kiedyś w dalekiéj przyszłości owa moralność dzisiejsza rodziny, pracowania według sił, spożywania według potrzeb, nie zapanuje na globie ziemskim. Można naturalnie o tém powątpiewać, lecz należy przyznać, że taką miarę idealną już prędzéj wypadałoby wysunąć naprzód i że poglądy Spencera są tylko jego subiektywną własnością.

Co więc wobec tego mamy sądzić o bezwzględnéj sprawiedliwo-

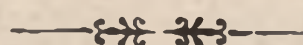
ści Spencera? Według mnie, jest to tylko przeniesienie pragnień wolno-handlowców z ich swobodną konkurencyą i wolną umową i ze sprowadzeniem państwa do roli nocnego stróża w zakres bezwzględnego ideału i wzorowanie na téj zasadzie „bezwzględnéj“ całéj przeszłości rodu ludzkiego. Nie nadaremnie Laveleye ochrzcił Spencera nazwą apostoła samolubstwa jednostkowego i rzecznika wzajemnéj walki pomiędzy jednostkami.

Lud. Krz.





ZWROT W TEORYACH RAS.



Bezprzykładna krótkotrwałość spółczesnych hypotez i teoryi rzuciła cień swój i na antropologią. Rozrastając się i rozgałęziając, jak młody krzew, rozrywa i ona w strzępki krępujące jéj ciało więzy. Stare teorye, które oplatały ją dawniéj swojemi zwojami, schną i opadają, a na ich miejscu zaczynają się zielenić nowe. Ostatnie lata były właśnie świadkami pewnych zmian, zaszłych w jéj łonie. Zmiany te, dotyczące kwestyi ogólnych, powiedzmy, syntetycznéj części antropologii, zasługują bezwątpienia na uwagę.

I.

Pierwszą teoryą, pod którą zakołysał się grunt, jest teorya rasowości. Mało jest teoryi i przypuszczeń więcéj wyzyskanych w celach nieodpowiednich. Spółczesny antysemityzm, do niedawna podzielane przez południowe Stany północnéj Ameryki przekonania o niższości murzynów od białych, posłużą za przykład wyzysku nauki przez klasy rządzące. Kto rozważy, ile spełniono bezprawi i utoczono krwi i łez w imię dwóch tylko tych zasad, ten z pewnością radośnie powita oświadczenie nauki, odmawiające wartości teoryom rasy i spychające je na szary koniec wiedzy.

Teorye to jednak przyprószone siwizną. Już w pierwszych brzaskach dnia historycznego, około r. 2300 przed Chrystusem, starożytni Egipcyanie rozróżniali cztery rasy: rasę Rot, obejmującą samych twórców systemu, Namu: ludy azyatyckie o żółtéj cerze i orlim nosie, Nashu: murzynów prognatycznych o wełnistych włosach i Tamahu: białych, niebieskookich mieszkańców Libii.

Berło nauki przeszło późniéj w ręce Greków. Hippokrates i Arystoteles, a u Rzymian, Pliniusz i Galen zajmowali się nieco antropologią, ale w dziełach, pozostałych po nich, nie znajdujemy nic w rodzaju klasyfikacyi. W cieniach wieków średnich nie wylągł się również żaden system odnośny.

Za to gdy w czasach nowszych ludzkość otrząsnęła sen z powiek i chciwie poczęła pić z czary nauki, wynurzyła się i kwestya rasowa. Francuz Bernier, powróciwszy z podróży w r. 1684, przyjął cztery rasy: białą w Europie, żółtą w Azyi, czarną w Afryce i lapońską na północy. Podział jego poszedł w zapomnienie, tak samo jak i późniejszy podział Bradleya z r. 1722, ale w kilkadziesiąt lat po nim Lineusz podzielił znowu rodzaj *homo* na trzy gatunki: *homo sapiens, ferus* i *monstruosus* (rozumny, dziki i potworny). *Homo sapiens* to był Europejczyk o jasnéj cerze, niebieskich oczach i jasnych włosach, Azyata żółtawy, z oczyma brunatnemi i czarniawym włosem, Afrykanin kędzierzawy, czarny, płaskonosy i Amerykanin smagławy, czarnowłosy, bez zarostu. *Homo ferus* nie umiał mówić, był okryty sierścią, chodził na czterech łapach. Potworny człowiek odznaczał się swym kształtem, zaliczali się tu mało- i skośnogłowi (*plagio cephali*). Niemal równocześnie napomknął o rasach i Buffon, nie próbował on brać się do klasyfikacyi, ale w swojéj „Historyi naturalnéj“ rozróżnia rasę malajską, hotentocką, hyperborejską i murzyńską.

Pierwszym systemem, który głębiéj zapuścił korzenie, był system Blumenbacha. Profesor z Getyngi w pracy swéj o przyrodzonéj rozmaitości rodu ludzkiego (*de nativa varietate generis humani*), podzielił ludzi na pięć ras. Podziału tego uczą nas po dziś dzień jeszcze w szkołach. Rasy: kaukaska, mongolska, etyopska, amerykańska i malajska składają się na całą ludzkość. Podział opiéra się głównie na barwie skóry, do podsuwanéj mu zaś równoległości geograficznéj z pięcioma częściami świata, nie może miéć najmniejszéj pretensyi, skoro zważymy, że rasa kaukaska zalała zachód Azyi i północ Afryki, a malajska prócz Australii zamieszkuje Indye zagangesowe.

Podział Blumenbacha, nie mając nic wspólnego z ideami biblijnemi, został zaatakowany przez Cuviera. Kaganiec wiary, przyćmiony przez rewolucyą, starała się reakcya rozdmuchiwać. W jéj szeregach walczył i wielki paleontolog. Ponieważ biblia mówi o Chamie, Semie i Jafecie, więc i Cuvier przyjął trzy rasy: białą, mongolską i murzyńską. Rasę białą rozciął na trzy skałki: indopelazgijską, aramejską i scyto-tatarską. Do mongolskiéj zaliczył Kałmuków, Mandżurów, Chińczyków, Japończyków, Korejczyków i Mikronezyjczyków. Czarnéj nie dzielił. Ponieważ jednak nie wiedział, do któ-

réj zagrody wpędzić Malajczyków, Papuasów, Lapończyków, Eskimosów i Amerykanów, więc pozostawił ich na boku.

Od tego czasu rozpoczął się zamęt. Antropologowie rozpadli się na dwa obozy. Jedni zginali kolana przed Cuvierem, drudzy byli za Blumenbachem. Inni stawiali swoje systematy: Flourens rozróżniał trzydzieści dwa typy, Virey tylko dwa: biały i czarny. Bory de Saint-Vincent odmówił Adamowi patentu ojcowstwa ludzkości i oświadczył, że od Adama pochodzą tylko żydzi, reszta zaś różni się od siebie dość widocznie, aby ich można podzielić na rasy. Podzielił więc ich na piętnaście działów, A. Desmoulins na szesnaście. Prichard głosował za trzema rasami, Pickering za jedénastoma. Agassiz postawił ośm typów, Morton dwadzieścia trzy. W drugiéj zaś połowie naszego wieku liczba systematów wzrosła ogromnie. Wszystkie te jednak podziały po krótkim żywocie ginęły w pomrokach zapomnienia. W każdym dopatrywano pięty Achilesowéj i rażono go w nią.

Rzecz staje się zupełnie zrozumiałą, jeśli rozważymy rozwój antropologii. Im bardziéj ona rozwijała się, tém szerzéj otwiérała łuk swoich wymiarów. Blumenbach i Camper w zeszłym wieku znali zaledwie pomiar czaszek i twarzy, Bory de Saint-Vincent na początku naszego stulecia zwrócił uwagę na kształt włosów, Weber począł mierzyć miednice, wreszcie Broca i Quatrefages ustalili pomiar kończyn. Obecnie zaś antropologia liczy się już nietylko z anatomicznemi właściwościami, ale wkracza także w dziedzinę fizyologii, psychologii i socyologii. Menstruacya lub zdolności muzyczne poszczególnych ludów są zarówno ważne dla antropologa, jak długo- i krótkogłowość, prosto- i skośnoszczękość.

Pokaźna to więc cyfra etapów, na których musi się zatrzymywać uwaga badacza.

Pisząc o jakimś ludzie, antropolog musi rozpatrzéć jak najdokładniéj jego budowę. Głowa może być dłuższą lub krótszą, potrzeba zastanowić się, czy ów lud jest długo-, średnio-, czy krótko-głowy, wysokość czaszki zmienia się również. Szwy kostne są mniéj lub więcéj kręcone, zacierają się także w nierównym czasie. Niekiedy pomiędzy szwami znajdują się odosobnione kostki, jak np. w tylnéj części głowy u niektórych ludów amerykańskich kość Inki. Orbity mogą miéć kształt mniéj lub więcéj owalny, wskaźnik orbitowy—stosunek długości jamy ocznéj do jéj szerokości — waha się między 60·9 u pewnego tasmańczyka, a 104·2 u murzynki, któréj czaszka znajduje się w Muzeum antropologiczném paryskiém. Otwór nozdrzy szeroki lub wąski nadaje osobnikowi nazwę wąsko- lub szeroko-, średni średnio-nosowego (*lepto-*, *meso-*, *platyrrhinus*). Kąt szczękowy utworzo-

ny przez dwie linie: jedną poprowadzoną od najbardziéj wystającego miejsca na czole, do podobnego punktu szczęki górnéj, i drugą poprowadzoną od tego punktu do najbardziéj wystającéj części brody, określa jego prognatyzm i stopień wysunięcia brody. Zęby mogą być dłuższe, średnie i krótsze, zęby mądrości miewają po dwa lub po trzy korzenie. Miednica jest wyższą albo niższą, stosunek jéj długości do szerokości określa się nazwą *platy-*, *lepto-*, i *mesopellizmu*. Długość kończyn, przekrój kości piszczelowéj, położenie kości piętowéj (*os calcis*), kierunek linii znanéj w chiromancyi pod nazwą serca ręki (rowek, który biegnie po powierzchni dłoni), zabarwienie skóry, włosów, przekrój ich i kształt, układ mięśni, długość ciała, proporcyonalność jego członków, oto są ważniejsze punkty anatomiczne, które musi rozpatrzéć każdy sumienny badacz.

Nie jest-to jednak cały zapas warunków, koniecznych do uzyskania opisu jakiegoś szczepu. Można się przelęknąć na widok tego tłumu wskaźników i pomiarów, które wyciągają dłoń do nowego adepta antropologii. A wszystkie one siadają na krawędzi szalki, na któréj waży klasyfikator względy kierujące nim przy podziale ludzkości.

Prócz anatomii podnosi głos swój w tych kwestyach i fizyologia. Badania fizyologiczne napotykają na większe trudności, niż anatomiczne, wymagając dłuższego pobytu badacza na miejscu, stałego obserwowania wielkiéj liczby jednostek i t. d. Ale w miarę jak rozwija się ta wiedza, znaczenie jéj staje się coraz większe. Są studya o szybkości wzrostu poszczególnych ludów, trwaniu życia, biciu pulsu, temperaturze ciała i t. d. Pole fizyologicznych badań leżało do niedawna odłogiem i dopiéro teraz rozpoczyna się jego uprawa.

Dołączmy do anatomii i fizyologii jeszcze psychologią, lingwistykę, etnografię, a będziemy mieli przybliżone pojęcie o wygórowanych wymaganiach spółczesnéj klasyfikacyi. Zwierzęta można klasyfikować według istotnych cech ich ustroju, u ludzi trzeba liczyć się z tysiącem innych względów.

Mimo to trudności te byłyby jeszcze do zwalczenia, gdyby przynajmniéj pewna suma cech anatomicznych, lingwistycznych i t. d. była wyłączną właściwością jednego narodu, jednéj grupy narodów. Ale tak nie jest. Retzius, którego podział posiadał przez długi czas wziętość u Niemców, dzielił ród ludzki według czterech typów: długo- i krótkogłowości, prognatyzmu i ortognatyzmu na cztery rasy: długogłowo-prostoszczęką: najszlachetniejszą rekrutowaną z Gallów, Celtów, Brytańczyków, Szkotów, Germanów i Skandynawów, długogłowo-skośnoszczęką, mniéj inteligentną, do któréj wpadli biédni

Słowianie, krótkogłowo-prostoszczęką i krótkogłowo-skośnoszczęką. Tymczasem Holden i Pruner-Bey wykazali, że długo- i krótkogłowość jest elementem nadzwyczaj zmiennym, i że nieraz z téj saméj matki rodziły się dzieci o obudwu kształtach głowy. Znany zaś uczony Bernard Davis chciał samych Eskimosów dzielić na trzy rasy ze względu na rozmaitą budowę czaszki. Przyzwyczajeni jesteśmy wierzyć, że barwa skóry dość wybitnie odróżnia rasy, tymczasem Pruner-Bey opowiada, że w Sudanie noworodki murzyńskie są tak samo czerwonawe, jak europejskie. To samo potwierdza i Camper. Lafitau i Waitz dowodzą, że u czerwonoskórych Amerykanów i Australczyków dzieci rodzą się również białe. Wiadomo, że za jedną z cech charakterystycznych Mongolów poczytują t. zw. oko mongolskie, a mieszczone ukośnie, o kącie zewnętrznym, podniesionym. Tymczasem badania uczonych niemieckich wykazały, że zwłaszcza w dziecinnym wieku napotyka się oko mongolskie bardzo często w Niemczech.

Słowem, jakikolwiek wzgląd weźmiemy, widzimy, że jest on niedostateczny do przeprowadzenia podziału. Cechy anatomiczne nietylko, że nie są właściwościami pojedyńczych grup ludów, ale nawet w jednym-jedynym narodzie są rozmaite. Barwa oczu, kształt głowy, forma włosów, długość twarzy, kończyn, ciała, wszystko to bywa rozmaite wśród niewielkiéj ilości ludzi z jednéj wioski. Wskaźniki wahają się zwłaszcza u ludów cywilizowanych między najwyższemi, a najniższemi cyframi. Trzeba szukać dopiéro średniéj, przeciętnéj liczby, którąby orzekła o kształcie danéj części ciała u pewnego narodu.

O ten szkopuł zmienności rozbiły się wszystkie klasyfikacye. Flower dzielił rasy według długości zębów, inny amerykański uczony, Cope, według wykluwania się zębów trzonowych. Francuz Fétis starszy w r. 1867 opiérał swój podział na muzykalnych zdolnościach ludów. Huxley rozdziela ród ludzki na gładko-, wełnistowłosych, wciągając przytém w rachubę nieszczęsną długo- i krótkogłowość. Haeckel i Fryderyk Müller przyjmują podział Huxleya, nie zgadzają się jednak na jego poddziały, biorąc pod uwagę zamiast czaszki sposób wyrastania i twardość samych włosów. Podziały te, teraz nie stosowane, mają tę dobrą stronę, że każdy z nich poprzedziło mniéj lub więcéj wyczerpujące studyum nad daną charakterystyką.

Większy nieco opór przeciwko pociskom krytyki przedstawiała klasyfikacya, rozważająca wszystkie właściwości człowieka. Za przykład takiéj klasyfikacyi może posłużyć podział Peschla, Quatrefagesa, Topinarda, a nareszcie najnowszy Brintona. Brinton np. w dziele swém: „*Peoples and races*“ (New-York, 1890) określa tak rasę

eur-afrykańską: cera biała, włos gładki, nos prosty, twarz ściągła, czaszka zmienna, języki fleksyjne, w religiach ideał. Jak widzimy siedm cech, w których poczet wchodzą nietylko właściwości anatomiczne, ale i cywilizacyjne. Ten przykład posłuży nam zarazem do wykazania, jak słabe są podstawy nawet w takich podziałach: za cechę rasy eurafrykańskiéj (mniéj więcéj odpowiadającéj rasie białéj), uważa amerykański uczony język fleksyjny, a tymczasem Baskowie, zaliczeni do Eurafrykanów, posiadają język zespalający (agglutynujący). W religiach eurafrykańskich ma wszędzie przyświecać ideał, mimo to jeszcze dotychczas zabobony i wierzenia ludów, o których mowa, przysłaniają blask jego bardzo mocno.

Ilekroć więc zabierano się do dzielenia na rasy, tylekroć przekonywano się o trudnościach przedsięwzięcia. „Nikt nie czuje bardziéj słabych stron nauki o niezmienności znamion rasowych — mówi Peschel w swym podręczniku „Etnologii“ (polskie wydanie, str. 14),— od tego, co zamierzył opisywać ludy, gdyż ani jedno znamię nie jest wyłączną własnością jednéj rasy, lecz gubi się powoli stopniami w drugich. Gdyby te ścisłe granice między rasami dały się tak łatwo poprowadzić, nie różniliby się antropologowie w poglądach tak, że jeden uważa za stosowne dzielić ród ludzki na dwa, a inny na 150 gatunków ras lub rodzin. Postępowanie w takich razach wygląda zwykle na łudzenie siebie samego.“

Zastanowiono się zatém nad wartością podziałów. Czy mogą one mieć pewne znaczenie dla nauki. Okazało się, że nie. Tak jak rozklasyfikowanie jakiéjś rodziny ptaków, nie może być uważane za kwestyą zasadniczą, tak nie należy przesadzać wartości teoryi ras. W miarę rozwoju nauki przekonywano się, że w antropologii ważniejszą jest rzeczą zbiéranie faktów i danych, niż układanie systemów i że można raz wziąć rozbrat z tém ostatniém.

Pogląd ten wyrósł i rozwinął się we Francyi. Lamarck powiedział, że rodzaj określa osobniki istniejące tylko w danym czasie, Broca powtórzył to o rasach. Tém podkopał ich znaczenie, odmówił im bowiem wszelkiéj doniosłości fyllogenetycznéj. „Rasy nie rozwiązują ani twierdząco, ani przecząco, kwestyi pokrewieńswa między rozmaitemi odmianami.“ Jest-to więc podział zupełnie dowolny.

Myśl Broki zapuszczała coraz bardziéj korzenie w umysłach francuskich, nareszcie przed kilkoma laty znalazła wyraz w dziele Hovelacque'a i Hervégo (*Traité de l'anthropologie*. Paris, 1887. *Bibliothèque anthropologique*). Dzieło to wydane pod powagą szkoły antropologicznéj paryskiéj, można uważać do pewnego stopnia za jéj *credo* w kwestyi rasowości. Uznaje ono pytanie co do ras, za podrzędne

i na dowód tego nie układa żadnego systemu, opisując ludy porządkiem geograficznym (podział ras zarzucił także i Topinard w swém wielkiém dziele o antropologii, wydaném w r. 1885). Widzimy potrzebę powtórzyć zawartych tam argumentacyi.

„Co do nas“ mówią autorowie, „nie będziemy wcale klasyfikować. Powtarzamy z Letourneau: Zrodzony w zmierzchu nocy przedhistorycznéj człowiek, rozpadł się wprawdzie pod wpływem rozmaitych czynników na wielką ilość typów, ale typy te tak przelewają się jeden w drugi, że trudno je pooddzielać. Broca spostrzegł to samo i nie układał systemu. Wszelkie klasyfikacye trafiają na przeszkody. Podzielmy ród ludzki według wzrostu, a obok Patagończyków staną Kafry i Skandynawowie, rozklasyfikujmy go według głowy, to przy Australczykach zobaczymy Eskimosów i Nowokaledończyków, przy Baskach Chińczyków i Szwedów. Uwzględniając cerę, będziemy musieli odłączyć od ludów mongolskich ściśle spojoną z nimi, a jednak białą Mordwinów. Słowem, na każdym kroku spotykamy fakty drwiące sobie z naszego podziału. Lepiéj dać za wygranę“. Zdaniu temu można przypisać pewne znaczenie w dziejach antropologii. Nie uzyskało ono jeszcze sankcyi ogółu uczonych, ale skoro kra już poszła, należy spodziéwać się wiosny.

II.

Równocześnie z kierunkiem przedstawianym przez Hovelacque'a i Hervé'go wywalczył sobie zwycięstwo inny, dotyczący kwestyi pochodzenia człowieka. Nie od dziś datuje się jego walka i światło dnia on ujrzał wnet po ukazaniu się dzieła Darwina „O powstawaniu gatunków“, ale dopiéro po dwudziestu latach zdołał zupełnie opanować dziedzinę antropologii.

Pytanie co do pochodzenia człowieka roztrząsano w ostatnich czasach bardzo sumiennie. Popychały do tego zdobycze paleontologii i wogóle nauk przyrodniczych. Wynurzyło się ono jednak już w wieku siedmnastym, gdy Izaak de la Peyrère w dziele swém *Praeadamitae* (Amsterdam, 1655) wydobył na jaw sprzeczność między biblijném podawaniem Adama za ojca ludzkości, a słowami Jehowy do bratobójcy Kaina: masz tu znak, po którym cię odróżnią, wszyscy co cię spotkają. De la Peyrère wywnioskował stąd, że od Adama pochodzą tylko żydzi, inne zaś ludy mają swoich odrębnych przodków. W sto lat późniéj utkwiło żądło zwątpienia i w Lineuszu, w kilku miejscach wypowiadającym wątpliwość co do pochodzenia wszystkich tak odmiennych ludzi od jednego.

W naszym wieku, powątpiewania sprowadziły wybitniejsze umysły na drogę badań. Uczeni zanurzyli się, jedni w ciemną noc przeszłości, drudzy zeszli z zapaloną pochodnią wiedzy w głębie czasów przedhistorycznych. Szybko poczęło bić tętno poszukiwań, a wynikiem tego było utworzenie się dwóch obozów wykluczających się wzajemnie i oświetlających fakty wprost przeciwnie.

Pierwszy obóz to monogeniści. Według nich ludzkość powstawszy w jednéj ziemi rozeszła się na wszystkie strony świata i pod wpływem środowiska i krzyżowań zróżniczkowała się w liczne odmiany. W przeciwieństwie do nich poligeniści wypisali na swoim sztandarze wielopochodność, podnieśli liczbę ośrodków antropogenicznych do kilku a nawet kilkudziesięciu i zaprzeczyli wszelkiemu wpływowi przyrody na rozwój ludzkości.

Rosnąca w siły nauka osaczyła najpierw poligenistów. Mistrz ich Agassiz zapewniając, że różnice między rasami są tak wybitne, jak między zoologicznemi gatunkami, związał ową rozmaitość rodu ludzkiego z różnorodnością flory i fauny i utworzył ośm królestw w których pod działaniem wyższéj jakiejś, według planu pracującéj woli, miały powstać owe, tak odpowiadające sobie rośliny, zwierzęta i rasy. Otóż późniejsze badania wykazały błędność owych twierdzeń. Gorączkowe tworzenie systematów rasowych dowiodło dostatecznie trudności pochwycenia różnic rasowych, przelewanie się cech flory i fauny zatarło mocno granice królestw Agassizowych. Zupełną słuszność przyznano Agassizowi tylko w określeniu granic królestwa australskiego, ale i to tylko co do flory i fauny, co się zaś tyczy człowieka, nie podlega wątpliwości, że wraz z psem przybył on z półwyspu Malakki.

Szkoła monogenistów przeżyła upadek przeciwników i wyzyskała nawet w części naukę Agassiza, tworząc tak zwane przestrzenie charakterystyczne (*areas of characterization*), gdzie właśnie warunki geograficzne miały wpłynąć na utworzenie bronionych przez ogół szkoły cech rasowych. W swoim czasie wzmocnił ją także zaciąg darwinistów, którzy co prawda nie przypisywali czynnikom geograficznym tak przeważającego znaczenia, ale też ich i nie pomijali.

Za kolébkę rodu ludzkiego podawali rozmaici monogeniści rozmaite ziemie. Buffon wyprowadził ludzi z północnéj części Azyi, położonéj między 40 a 55° północnéj szerokości, Quatrefages z Syberyi. Wagner mniemał, że pierwotnego siedliska ludzkiego należy szukać w północnéj Europie i Azyi, W. S. Duncan, że w południowéj Europie i północnéj Afryce. Leon Reinisch w r. 1873 postawił na podstawie badań językowych stanowcze twierdzenie, że plemiona ludzkie

starego świata są gatunkami jednego i tego samego rodzaju, osiadłego pierwotnie w okolicy jezior równikowych Afryki.

Jeśli jednak przyjmiemy, że ród ludzki ujrzał światło dnia w jednéj krainie i zróżniczkował się tylko pod wpływem krzyżowania i okoliczności zewnętrznych, to natrafimy na szereg faktów bardzo zaciemniających horyzont nauki jednopochodnéj. One to właśnie wzbudziły nieufność do nastrajających się z biegiem lat do tonu nauki teoryi monogenistycznych.

Weźmy najpierw oddziaływanie środowiska. W pierwszéj połowie naszego wieku skupił na niém całą swoją uwagę Prichard. Mógł on to robić zupełnie spokojnie, nauka geografii i etnografii niezbyt była posunięta. Lecz gdy po badaniach Rittera geografia wystrzeliła w świéży liść, zachwiała się wiara w Pricharda. Przekonywano się coraz bardziéj, że istotnie trudno przypisać środowisku zbyt wiele wpływu. Wobec tego np. teorya Quatrefagesa pomijająca inne czynniki a wysuwająca na honorowe miejsce środowiska, jest zbyt przestarzałą.

Nie stwierdzono dotychczas, aby cechy anatomiczne jednostki lub narodu, zmieniły się pod wpływem klimatu. Europejczyk przesiedliwszy się pod równik opali się, lekka ta jednak i nietrwała ogorzałość nie udziedzicznia się. Murzyn wywieziony na północ blednieje, ale jak to wykazał Pozzi odbarwia się nie wskutek czego innego, jak zmiany zdrowia. Anglo-Amerykanie i Anglicy, żyjący w różnych warunkach klimatycznych, różnią się bardzo mało pod względem anatomicznym. Jeśli nareszcie przypatrzymy się rozsypanym po Europie, Azyi i Afryce Cyganom, przekonamy się, że nigdzie, w Hindustanie, Egipcie, czy Szkocyi, cera ich się nie zmieniła.

Trudno wogóle uchwycić wątek wpływu klimatu na człowieka. Na północy obok małych Lapończyków, żyją wysocy i silni Jukagirowie i Czukczowie, na południu graniczą ze sobą ziemie słusznych Kafrów i małych, ledwie nad metr odrosłych Buszmanów. Smagławi Eskimosi i takiéjże cery mieszkańcy Ziemi ognistéj żyją w okolicach przeciwnych biegunów. Najczarniejsi z murzynów Wolofowie żyją najbardziéj z nich wszystkich ku północy, osiedli zaś blisko równika Mandingowie mają cerę znacznie jaśniejszą. Włosy pod tym samym piętnastym stopniem szerokości są u murzyna senegalskiego wełniste, u Araba i Drawidasa gładkie i zwite w pukle, u Indochińczyka gładkie a szczeciste. Wpływ klimatu na człowieka mogłaby lepiéj wyświetlić może porównawcza splanchnologia, ta jednak dotychczas wcale się nie rozwinęła.

Widoczniejszemi niż skutki oddziaływania klimatu, okazały się

następstwa krzyżowań. Badania wykazały, że wszystkie związki ludzkie są eu-, w najgorszym razie paragenetyczne (przez eugenizm rozumie się według Broki płodność nietylko „różno-rasowych“ rodziców, ale i ich dzieci, pod paragenizmem płodność objawiającą się dopiéro u mieszańców drugiéj krwi, posiadających w liczbie przodków dwie jednostki téj saméj rasy). Nie masz wprost ludu niemieszanego: naród francuski złożony z kilku typów, żydzi mają dwa typy jasny i ciemnowłosy, Hiszpanie są potomkami najrozmaitszych ludów, które jak burza przeszumiały nad półwyspem iberyjskim. Chińczycy z Anamitami dają szczep Minuongów, z Hiszpanami *tornas atras*, z Indyanami i białymi cały szereg odmian mieszanych. W równinie Senaarskiéj we wschodniéj Afryce między Arabem a murzynem jest sześć mieszanych gradacyj, w jednéj zaś Limie (w Ameryce południ.) używają aż 23 nazw na określenie mieszańców hiszpańskich, czilijskich i murzyńskich.

W wytworzeniu więc odmian ludzkich grało bardzo wybitną rolę krzyżowanie. Nie posłuży ono jednak do udowodnienia monogenizmu. Skoro warunki geograficzne nie oddziałały na powstanie odmian, to nie mogło zajść krzyżowanie, bo przez krzyżowanie rozumiemy właśnie połączenie płciowe ludzi, różniących się pod względem anatomicznym. Tak z podkopaniem powagi oddziaływań klimatu i przyrody, osuwa się monogenizm o r t o d o k s a l n y, reprezentowany obecnie przez Quatrefagesa i Verneau.

W parze z monogenizmem szedł przez jakiś czas darwinizm. Zasady jego powszechnie już niemal znane w kołach inteligentnych, posłużyły zrazu do wytworzenia monogenizmu darwinistycznego, późniéj zaś uległszy pewnym modulacyom dały kierunek nowy: transformizmu.

Transformizm różni się od mono- i poligenizmu przedewszystkiém tém, że odrzuca niezmienność gatunków. Zarówno Agassiz z „Wyższą Wolą“, jak i Quatrefages z wiecznością typu są jego przeciwnikami. Według niego cechy gatunków są przejściowe, gatunki udoskonalają się i wytwarzają nowe. Wszystkie stworzenia organiczne, począwszy od pierwotniaków, a skończywszy na człowieku, są połączone ze sobą genetycznie i tworzą jeden morfologiczny łańcuch.

Ostatniém ogniwem tego łańcucha jest człowiek. Pochodzi on zatem od form niższych, tak jak te wywodzą swój ród od organizmów jeszcze pierwotniejszych. Ale jakże ma się rzecz z jego odmianami?

Chociaż, jak to wykazaliśmy poprzednio, nauka zarzuca obecnie klasyfikacye na rasy, jednakże zbyt wielka różnorodność rodu ludzkiego każe przypuszczać istnienie kilku typów pierwotnych. Typy te z biegiem czasu mieszały się z sobą, podlegały wpływowi najrozma-

itszych czynników i przekształcały się w coraz to nowe. Dziś trudno je rozpoznać, fale wieków zamuliły ścieżyny, po których by do nich można dotrzéć. Ale z czasem być może, że uda się je odkonstruować. Tém samém nie można określić i ich ilości: wymiary dokonywane na spółczesnych rasach mogą rzucić kilka tylko promyków na niejasną kwestyę. Właściwie uchyli z niéj rąbek tajemniczości dopiéro paleontologia, jeśli uda się jéj rozszerzyć zakres swych badań na Azyę, Afrykę i Australię, a z rozwojem wynalazków i na dno morskie.

Przyjmując więc istnienie kilku hypotetycznych, dobrze zresztą nie określonych jeszcze typów, transformizm przypuszcza, że ród ludzki powstał w kilku centrach, jako forma wyższa małp antropoidów. Topinard (Antropologia, wydanie mniejsze, Paryż 1890 str. 560) uzasadnia to przypuszczenie:

„Pochodzenie człowieka od niższéj jakiejś formy — mówi on — jest pewnikiem. Ale cóż będzie wobec tego z dawnym sporem mono- i polygenicznym. Straci on wartość i da się ująć tylko w pytanie: czy najpierwotniejsze, zasadnicze typy ludzkie pochodzą od kilku przodków antropo- czy pitekoidalnych, czy wystrzeliły z jednego pnia znanego lub nieznanego obecnie. Dane antropologii przemawiają za pierwszém. Odmiany ludzkie są raczéj podobne do szeregu linii równoległych, nie do drabiny lub drzewa.

Zdanie to, poparte powagami starszych i nowszych badaczy, jak Oken, Dally, pani Royer, Gaudry, Letourneau, zgadza się zupełnie z tém, co mówią Vogt i Haeckel. Haeckel opiérając się na procentowych danych wykazujących znaczną stosunkowo ilość długogłowych w Europie i Afryce, a krótkogłowych w Azyi, sądzi, że można przyjąć za przodka długogłowych szympansa i goryla gwinejskiego, obudwu o długich czaszkach, krótkogłowych zaś — krótkogłowego orangutana z Borneo i Sumatry. Vogt zaś oświadczył: Nie wiem dlaczegoby za przodka człowieka uważać jeden rodzaj małp. Ze znanych nam rodzajów małp antropoidów żaden nie jest bliższy, ani dalszy od człowieka. Goryl, szympans i orangutan zostają w równém z nim pokrewieństwie, tak, że odmiany ludzkie mogą być wykwitami jednego, drugiego i trzeciego."

Czy gatunki owe małp, którym ród ludzki zawdzięcza swe pochodzenie, zeszły już z padołu życia, czy jeszcze nie, pokaże nauka. W każdym razie jednak nie podlega wątpieniu, że w zbadanych przynajmniéj dotychczas okolicach Europy, znaleziono bezpośredniego przodka człowieka paleolitycznego. Jest nim t. zw. *Dryopithecus fon-*

tani. Istota ta zajmuje pośrednie miejsce między gibonem, a człowiekiem. Wzrost jéj dorównywa wzrostowi człowieka, zęby zupełnie podobne do zębów Australczyka, wprowadziły w błąd niektórych paleontologów. Nowsi badacze, zwłaszcza A. Gaudry, który zbadał sumiennie tę kwestyą w ogłoszonéj w r. 1890 pracy: „*Le Dryopithèque.*“ nie zaliczają jéj do małp i wyznaczają odrębne stanowisko. Jest to, zdaniem ich, właśnie ów Haecklowski *homo alalus*, nazwany przez nich „*antropopithecus*“ (człowieko-małpa) posiadający więcéj cech ludzkich, niż małpich, skoro miał mowę i wcale nie różniący się od pierwotnego człowieka. Mortillet jednak i Govelacque odmawiają mu zdolności mówienia.

Pierwszy ślad dryopiteka: szczękę dolną z zębami znalazł Lartet w r. 1856 w miocenie świętego Gaudentego (Francya, dep. górnéj Garony); późniéj, gdy liczba odnalezionych kości zwiększyła się, spotkano go i w pokładach włoskich. Ich to właśnie właścicielowi przypisano wielką ilość krzemieni, noszących na sobie ślady opracowania, a znalezionych w starszym pokładzie: miocenowym w Thenay (dep. Loir-et-Cher) i młodszym: pliocenowym w St. Prest. Różnice jednych i drugich pod względem obrobienia, nadto ślady ognia wśród odkryć Thenayskich utwierdzają nas w tém przekonaniu, że *dryopithecus* rozwijał się i rósł umysłowo. Z początku nie znał ognia, obrabiał bardzo słabo kamienie, późniéj, gdy zwiększyła się objętość jego czaszki wykształcił się w obrabianiu, wynalazł ogień. Może wtedy wyrobił sobie także i zgłoskowany język?

Podobnie jak z dryopithekiem w zachodniéj Europie, tak w kilku innych miejscach z innych małp mógł w drodze ewolucyi powstać człowiek. Nowopowstałe gatunki zetknęły się późniéj, zmieszały: pod wpływem różnorodnych czynników: doboru płciowego, doboru społecznego, krzyżowania i t. p. utworzyły ten pstry, tysiącami odcieni przelewający się w siebie ród ludzki.

III.

Odkrycia paleontologiczne i odnalezienie dryopitheka otwierają tryumfalny pochód trzeciéj, nowéj hypotezy. Dotyczy ona kolébki ludów znanych pod nazwą aryjskich.

Kwestyą pierwotnéj siedziby ludów aryjskich poruszono w początkach naszego wieku. Inicyatywa wyszła z łona filologii. Bopp docierając do źródeł języków europejskich, natrafił po drodze na staroindyjski sanskryt. Literatura jego, sięgająca w odleglejsze nieco wieki, niż łacińska lub grecka, wzbudziła w nim szacunek, zajął się więc

studyami nad sanskrytem, nazwał go matką innych języków Europy i wskazał drogę badań nad nim całemu rojowi młodych badaczy. Niemcy i Anglicy rzucili się zapalczywie na dziewicze niwy i przecięli je głębokiemi brózdami swych badań.

Młoda szkoła sanskrycka weszła w świat zupełnie niepodobny do europejskiego. Pomniki literatury i sztuki staroindyjskiéj owiane były tchnieniem czasów o wiele pierwotniejszych, niż klasyczne. Na świętéj księdze Wed wyryte było piętno epoki pasterskiéj, nad hymnami bogów Agni i Indry unosiła się mgła czasów przedhistorycznych. Religia, cywilizacya, sposób myślenia i wszystko to wydawało się czémś dalekiém, prastarém, przebrzmiałém...

Taka starożytność epoki, a nadto podobieństwo sanskrytu do języków europejskich i azyatycko-aryjskich, nasunęły myśl szkole, że oto tu w Indyach spędziły ludy europejskie błogi czas swego dzieciństwa. Stąd właśnie wyniosły one ziarna przyszłéj cywilizacyi, z odzianych śniegiem wyżyn Pamiru spuściły się w doły niziny sarmackiéj, zeszły na wyżynę Iranu i Anatolii i rozlały się potém szerokiemi rzekami po Europie i wschodniéj Azyi.

Teorya ta utkana z przędzy czysto filologicznéj została przyjętą przez świat uczony. Olśnił go blask zdobyczy językowych, tak, że zapomniał spojrzéć na naukę w téj sprawie najbardziéj zainteresowaną, na antropologią. Czy i ona głosowała za teoryą Pamiru?

Zdobycze jéj nie potwierdzały zdobyczy Maksa Müllera, najwybitniejszego z pomiędzy uczniów Boppa. Chociaż kilku monogenistów próbowało wyprowadzić z Indyj ród ludzki, a w szczególności ludy europejskie, główny sztab antropologów nie zbyt przychylał się do tego zdania. W Niemczech Schrader, Geiger, Pösche, Penka, we Francyi Laponge, w Anglii Izaak Taylor, w Ameryce Dawid Brinton zachwiali powagę sanskrycistów. W ostatnich czasach przyłączyła się do nich i młoda szkoła filologów pod przewodnictwem A. W. Sayce'a, dowodząc, że cywilizacya o charakterze pierwotniejszym jest wynikiem stosunków społecznych i historycznych Indyi, i że skoro idzie o wiek, to języki: litewski i euskaryjski (Basków) są starsze od sanskrytu.

W antropologii zaś cios stanowczy zadali hypotezie pamirskiéj Izaak Taylor i Dawid Brinton. Dzieła ich: Taylora: *Origin of the Aryans* (Pochodzenie Argów) i Brintona: *Peoples and races* (Ludy i rasy) wyszły niemal równocześnie w r. 1890. W obudwóch zebrane zostały z wielką sumiennością zarzuty, jakie można postawić sanskrycistom. Istnieje tylko ta różnica, że Taylor zamyka się w kręgu aryjskim, Brinton zaś rozszerza zakres swych badań na ludy semickie, hamickie i kaukaskie.

Ażeby można było przechylić szalę słuszności na czyjąś stronę, należy rozpatrzéć wszystko, co wchodzi w grę przy stanowieniu o praojczyźnie Aryów. W tym celu stawia Brinton pięć pytań:

1. Gdzie w najdawniejszych czasach historycznych znajdujemy najwięcéj siedzib ludów europejskich?

2. Gdzie zachowała się największa ciągłość między pozostałościami przedhistorycznemi?

3. Gdzie istnieją najpierwotniejsze formy językowe?

4. Gdzie zachował się najliczniéj najczystszy typ eurafrykański (jak wspomniałem, typ eurafrykański obejmuje u Brintona ludy aryjskie, semickie, hamickie i kaukaskie?).

5. Gdzie sprzyjały najbardziéj warunki klimatyczne wykształceniu fizycznych cech Eurafrykanów?

Odpowiedzi otrzymane na te pytania muszą w każdym zachwiać wiarę w słuszność teoryi pamirskiéj. Na odwrót są one trwałemi podwalinami teoryi nowéj, wyprowadzającéj ludy aryjskie i w ogóle eurafrykańskie z zachodniéj Europy, najprawdopodobniéj z półwyspu pirenejskiego.

Przedewszystkiém geologia roztacza opiekuńcze skrzydła nad nową teoryą. Gdy pierwotny człowiek bez żadnéj broni w ręku, co najwyżéj mający kamień do rozporządzenia, zamieszkiwał wraz z nosorożcem, hipopotamem i słoniem jaskinie Francyi, Anglii i półwyspu pirenejskiego, stary świat wyglądał inaczéj niż obecnie. W owym „wczesnym czwartorzędnym“ (*early quaternary*) okresie Anglia była złączona mostem lądowym z Francyą, Maroko z Hiszpanią, Skandynawia, Arabia i Indostan były wyspami, a środkiem Afryki, gdzie teraz Sahara, płynęło morze nazwane przez geologów saharskiém. I części Azyi, które nas tu obchodzą miały inny wygląd. Syrya, Mezopotamia, Arabia, Bengalia, Turan i Syberya tworzyły dno morskie, a tylko Iran i Anatolia posiadały mniéj więcéj te same kształty. W ogóle zaś przewaga lądu była po stronie Europy, która tworzyła jedną całość z Anatolią, zajmowała zachodnią część morza śródziemnego, a nareszcie kawałek teraźniejszego Atlantyku.

Ukształtowanie to jest dla nas ważném z jednego zwłaszcza względu. Jeśli zgodzimy się na darwinizm, musimy przyznać, że więcéj jest szans zatém, ażeby człowiek powstał tam, gdzie znajdujemy ślady małp wyższych. Tam bowiem mogła miéć miejsce ewolucya organiczna z małpy w człowieka. Badania więc wykazały, że w ziemiach położonych na północ od Alp i Himalajów nie ma ani w okresach dawniejszych, ani w bogatym już w małpy wyższe wczesnym czwartorzędnym, śladów małp. Okoliczność ta spowodowała Darwina do przyjęcia za kolébkę ludzkości Afrykę, a w każdym razie Zachód starego

świata. Być może, że i Afryka jest jednym z ośrodków antropogenicznych, ale oddzielenie jéj w okresie czwartorzędnym szerokiém morzem przemawia wiele za tém, że wobec znalezionych kości dryopiteka i innych małp wyższych, należy i zachód Europy uznać za jeden z ośrodków antropogenicznych, najprawdopodobniéj dających życie typowi białemu. Prędzéj zatém mogła ludność wwędrować z Europy do Indyi i Pamiru, niż odwrotnie.

Archeologia i paleontologia piszą się również na zdanie Brintona. Między odkryciami paleontologicznemi panuje nieprzerwana ciągłość. Przepaść, która miała, zdaniem dawniejszych uczonych, stać między kulturą staro- i nowo-kamienną we Francyi, została zasypana nowszemi zdobyczami. Dowiedziono, że w obudwu epokach żyła we Francyi ta sama rasa. Poszukiwania czynione w mieszkaniach palowych, budowanych na jeziorach szwajcarskich i na brzegach Padu, wykazały, że żyła tu ta sama rasa od wieków kamiennych do czasów klasyczno-greckich. Czaszki zaś poznajdowane w zwanych z duńska kjökkenmöddingami, odpadach kuchennych na wybrzeżach Portugalii, noszą te same cechy charakterystyczne, co i czaszki spółczesnych Basków.

Co się tyczy języka, to nie podlega wątpieniu, że najstarszym jest aglutynujący język euskaryjski. Baskowie żyjąc w górach zdala od wszelkich prądów cywilizacyjnych, utrzymali dotychczas pierwotny charakter swéj mowy, gdy tymczasem inni ich bracia dawno już zrzucili łuskę starożytności i wstąpili pod względem językowym w okres fleksyjny. Bardzo czysto utrzymał się téż w nich i smagławy typ eurafrykański. Typ ów, według twierdzenia Brintona, zachował się wogóle daleko lepiéj w zachodniéj Europie i północnéj Afryce niż na Kaukazie i w Indostanie. Wygląd Berberów nie zmienił się od czasów staroegipskich. Kości i oblicza białych Swewów, Gotów, Cymbrów i smagławych Basków, Celtów i Italików są o wiele bardziéj zbliżone do idealnego typu białych, niż oblicza Syagoszów z Hindukuh, Parsów i Braminów.

Klimatyczne nareszcie warunki zachodniéj Europy znacznie więcéj sprzyjają rozwojowi białych, niż gdziekolwiek w Azyi. Świeży, bogaty w parę wodną klimat, cieniste lasy okrywające nisko położone miejsca, brak malaryi i wogóle zdrowsze warunki przemawiają za tém, ze Eurafrykanie wychowali się nie w Azyi, ale w Europie.

Z zachodniéj więc Europy rozeszły się po szerokim świecie ludy aryjskie, semickie i hamickie. Płynęły one dwiema falami. Jedna z kraju Basków — wobec przytoczonych względów słusznie uważanych za najstarszych w Europie — toczyła się przez Maroko, Trypolis i wogóle północną Afrykę, to była hamicko-semicka; druga szła przez

Francyą, Niemcy, do Syryi. Najprędzéj wybrał się z ziemi Aryów szczep celtycki, zdążał on w prostym kierunku przez Francyą do ujść Dunaju. W ten sposób zaludnił całą środkową Europę: Francyą, południowe Niemcy, Szwajcaryą, Tyrol, Rumunią, na północ tylko wysłał jedną gałąź: do Anglii. Równocześnie z nim wyszły ludy Italickie: Umbrowie, Oskowie, Latyni, następnie Illyrowie — ojcowie Albańczyków, nareszcie Helenowie czyli Grecy. Na północ zaś posunął się szczep leto-słowiański, od którego prawdopodobnie w okresie bronzowym oderwali się Teutonowie. Szczep słowiański wkroczył późniéj na półwysep bałkański, tu zmieszał się z ilirskim i celtyckim, a nowa mieszanina przekroczyła Helespont i Dardanele lub przebrnęła piaski nadkaspijskie i weszła na wyżyny anatolskie, syryjskie i indoirańskie. Działo się to w czasach historycznych. Brinton sądzi, że Iran zaludniono w r. mniéj więcéj 3000-ym, Armenię zaś w siedemsetnym przed Chrystusem.

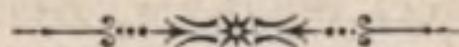
Przedstawiony w pobieżnym tym szkicu zwrot w teoryach syntetycznych antropologii zasługuje na uwagę i ze względów społecznych. Zarzucenie klasyfikowania na rasy wpłynie bezwątpienia na przytępienie ostrza nienawiści rasowych, a wsunięcie hypotezy pamirskiéj pozwoli nam inaczéj patrzéć na naszą cywilizacyą i kulturę.

Włodzimierz Bugiel.





JAN ARANY.



W piątym dziesiątku naszego stulecia ruch literacki na Węgrzech znajdował się już w pełni rozkwitu. Na tle licznych, mniejszym lub większym talentem natchnionych utworów, na pierwszy plan już świetnie występowały dwa istotne arcydzieła, których sławy echo słusznie obiło się daleko po za granicami Węgier: *Bank-bán* tragedya Katony, tudzież epopea Vörösmarty'ego *Zalán*.

Wydawnictwem dzieł, jakoteż zachęcaniem do prac, oraz kierowaniem zdolnościami młodszéj braci trudniło się pilnie a zgodnie i z zapałem kilka stowarzyszeń literackich, między któremi główną odgrywały rolę: „Towarzystwo Kisfaludy'ego“ i „Aurora“, wydająca rocznik pod takimże tytułem, poświęcony wyłącznie sprawom literatury pięknéj. W stolicy, a nawet i na prowincyi, wychodziły już pisma codzienne i tygodniowe, zasilane piórami zdolniejszych pisarzy, a w ich liczbie świeżo (1840 r.) zabłysłego poety Aleksandra Petöfi'ego, tudzież młodzieńca, który w przyszłości miał nie mniejszéj zażyć sławy (acz w innym, bo czysto powieściowym kierunku) — Maurycego Jókai'a.

Tak stały rzeczy, gdy w 1847 r. Towarzystwo Kisfaludy'ego w myśl przechylającéj się uwagi i gustu ogólnego w stronę pieśni ludowéj, wyznaczyło konkurs na większych rozmiarów poemat ludowy, o treści zaczerpniętéj ze źródeł czysto narodowych. Na konkursie tym obok odznaczonych prac Tompy (*Szuhaj Matyás*) i Garay'a (*Bosnyák Zsófia*) nie tylko główną nagrodę, lecz niebywały zachwyt, oraz uznanie najsurowszych krytyków wzbudził utwór p. t. *Toldi*, którego autorem był Jan Arany.

Przypominano sobie podówczas, że imię to, aczkolwiek szerszym kołom jeszcze nieznane, na arenie turniejów poetyckich jednak już po raz drugi pierwszą zdobywa palmę: dwa lata przedtém bowiem, 1845 r. toż samo Towarzystwo Kisfaludy'ego ogłosiwszy konkurs na humorystyczno-satyryczne epos ludowe, największe zalety przyznało „Chybionéj konstytucyi“ (*Elveszett alkotmány*) tegoż Jana Arany'ego. — Nikt go nie znał. Ściśle ze sobą zażyłe kółko literatów peszteńskich nigdy go nie widywało w swém gronie. Więc żeby się z nim zapoznać, uczcić wedle zasługi i do wspólnego życia z kolegami wciągnąć, choćby się opiérał, kilku młodych poetów z Petöfi'm na czele wyruszyło do Nagy-Szalonta, osady w komitacie biharskim, gdzie laureat pełnił skromne obowiązki pomocnika notaryusza i konrektora szkoły. Petöfi na wstępie powitał go wierszem na jego cześć napisanym, gdzie powiada: „gdy inni mozolnie, po listku zbiérają wawrzyny,—tyś zdobył odrazu cały wieniec lauru!“ Arany odpowiedział mu także mową wiązaną, i z wielką skromnością wspominając o otrzymanéj nagrodzie, zapewnił, iż wszelka sława jest dla niego niczém wobec radości i dumy, jaką go napawa pozyskanie przyjaźni Petöfi'ego, który był już podówczas ulubieńcem całego narodu. Ta piérwsza wymiana myśli obu poetów nie była zdawkową monetą pochlebstwa: od tego dnia bowiem istotnie kochali się oni wciąż szczerze i wiernie jak bracia.

Arany był już wtedy człowiekiem zupełnie dojrzałym: starszy o sześć lat od Petöfi'ego liczył trzydziesty rok życia i był żonaty. Nagy-Szalonta było miejscem jego rodzinném, tutaj téż sam kształcił się za młodu, by późniéj wstąpić do kolegium w Debreczynie. Podobnie jak Petöfi, pochodził on z ludu. Dzieckiem będąc, już pisywał wiersze: otoczenie wprawdzie z głęboką traktowało obojętnością rozwijający się przed swemi oczyma talent, nie wpłynęło to jednak bynajmniéj na stłumienie w nim iskier natchnienia, a także coraz głębiéj kiełkującéj w sercu żądzy sławy.

Pragnienie rozgłosu, wprawiania tłumów w podziw: pragnienie poparte silném samopoczuciem potęgi twórczéj, bijącéj mu w piersiach i zrywającéj się do lotu, więcéj niż kiedy, za czasów studenckich w Debreczynie, jednéj chwili spokoju mu nie dawało, do tego stopnia, że w końcu — popełnił szaleństwo. On, który tak szczerze uwielbiał naukę (w późniejszych czasach równego jemu wykształceniem poety trudno było znaleźć) — nietylko inteligencyą ale i pilnością prześcigający wszystkich swych kolegów: nagle sprzykrzył sobie monotonną rutynę kolegialną, i ulegając wspólnéj prawie wszystkim artystom tęsknocie za wrażeniami, puścił się w świat na los szczęścia z debre-

czyńską trupą aktorów, wędrującą po bardziéj jeszcze zapadłéj prowincyi.

Podobno jednak — czy to przez zawiść, czy też prawdopodobniéj dla braku zdolności dramatycznych w nowym adepcie, nie powierzano mu nigdy ważniejszych ról nad wytwarzanie za kulisami niektórych zjawisk aury np. grzmotów lub wycia wichru. Oczywiście, tak ograniczona działalność nie mogła zadowolić ducha rwącego się do wyżyn, a nadto „kąsanego przez węże samowiedzy własnéj wartości,“ — jak sam późniéj mawiał, wspominając czasy swego scenicznego zawodu, który dla jego marzeń istotnie tak smutnym był zawodem. Niebawem też bez skrupułu zerwał z dyrektorem umowę, co przyszło mu tém łatwiéj, że stan teatrów na Węgrzech był już podówczas (około 1840 r.) dostatecznie ugruntowany, i mając na swe usługi niejeden prawdziwy talent, bez mniej powołanych jednostek najzupełniéj mógł się obejść.

Po tém niepowodzeniu, stęskniony do domowego ogniska, wrócił Arany do Nagy-Szalonta, gdzie nie przestając wierzyć w pomyślniejszą przyszłość na innéin polu, przełożył na węgierskie „Filokteta“ Sofoklesa i „Króla Jana“ Szekspira — poczém odważył się po raz piérwszy publicznie wystąpić z oryginalnym utworem „Chybioną konstytucyą,“ a wreszcie w dwa lata późniéj stanowczy odniósł tryumf wspomnianą wyżéj pierwszą częścią dopełnionéj następnie trylogii p. t. *Toldi.*

Przedziwnie wykończona forma, krysztaliczność wyrażania myśli, pyszna plastyka obrazowania, porywająca siła stylu w połączeniu z nigdy nie zachwianą prostotą, — głębia myśli i uczuć, w utworach epicznych ścisła przedmiotowość, a nadewszystko zawsze i wszędzie rdzennie węgierski charakter twórczości — oto są główne cechy Arany'ego. Siły, prostoty i jasności nie brakło i wielu innym poetom: nad formą jednak nawet Vörösmarty, pierwszy, któremu Węgrzy zawdzięczają rymy prawdziwie melodyjne, nie panował tak wszechwładnie, jak Arany. Mowa magyarów, głównie z powodu swéj składni nie łatwo sprzyja poprawnemu rymowaniu, przez co zasady poezyi węgierskiéj opiérają się głównie tylko na rytmie. Arany jednakowoż rymuje swobodnie i z taką naturalnością, jakgdyby te trudne do uchwycenia zgodne końcówki same pod pióro mu się wpraszały. Ballady jego zwłaszcza, które lekko, z mistrzowską finezyą przedstawiają czytelnikom obrazy, wzbudzające zachwyt, lub wstrząsające grozą, dalekie od wszelkiéj przesady lub pogoni za efektem, równych sobie w całéj literaturze węgierskiéj nie mają. Śmiało stawić je można w jednym rzędzie z najwspanialszemi tego rodzaju utworami poetów

innych krain, których sławę szerzéj po świecie rozniosła tylko ta pomyślna dla nich okoliczność, że pisali w językach bardziéj europejskiemu ogółowi znanych od węgierskiego.

Umysł nietyle marzycielski, jak pełen gorącego zapału dla wszystkiego co wzniosłe, potężne i szlachetne: erotyków wcale, a ulotnych wierszy zostawił nader mało; siłę swego talentu skupiał w dziełach o treści głębokiéj, zdolnéj całym narodem wstrząsnąć, i napełniając serca współziomków czcią i podziwem dla dawnéj historyi swego ludu, natchnąć je żądzą nie mniéj chwalebnéj przyszłości. Skreślił on wprawdzie poemat poświęcony miłości: drugą część *Toldi*'ego, gdzie dowiódł, że jego lirze nie brakło strun czarownie umiejących dźwięczéć słodką pieśnią téj najpotężniejszéj ze wszystkich namiętności ludzkich: ale i tam pieśń owa brzmi, jak łagodny dźwięk harfy, tylko miejscami na piérwszy plan występujący, tło zaś ogólne zapełnia wrzawa surm bojowych, nadających koloryt krwawy epoce, w któréj żył bohater niejednéj węgierskiéj legendy, siłacz Toldi.

Pierwszym, który okiem znawcy a duchem bratnim doniosłość pojawienia się Arany'ego w ówczesnéj literaturze pięknéj odrazu należycie ocenił, był Vörösmarty. Należąc do grona sędziów konkursu, rozpisanego na epos ludowe 1845 r., o nagrodzonéj „Chybionéj konstytucyi" z wielkiém wyrażał się uznaniem, a jakkolwiek czynił niektóre zarzuty budowie całości, nie mógł przecież dosyć napodziwiać „stalowéj siły i giętkości stylu."

Elveszett alkotmány (Chybiona, czyli dosłownie Utracona konstytucya) jest dowcipną, miejscami bardzo zgryźliwą satyrą na prowincyonalne stosunki społeczne w ustronnych komitatach Węgier. Arany, przeważną część młodości spędziwszy w okolicy biharskiéj, miał sposobność przyjrzéć się dokładnie małostkowym zatargom i śmiesznéj nadętości powag prowincyonalnych: te właśnie spostrzeżenia swoje zaprawiszy sporą dozą attyckiéj soli i odrobiną fantastyczności, użył za tło tego niewielkich rozmiarów eposu, w który nadto zręcznie i z wielką prawdą wplótł obraz niektórych na porządku dziennym wówczas będących polityczno-socyalnych rozruchów miejscowych. Jeden z najlepszych krytyków współczesnych, Toldy, powiada o tym utworze, iż mieści on w sobie całą gammę ironii ze wszystkiemi jéj kameleonowo mieniącemi się odcieniami, począwszy od horacyuszowskiego *ridendo dicere verum*, aż do chłoszczącéj potęgi juwenalisowego sarkazmu.

W *Toldi*'m natomiast nie ma ani śladu wszelkiéj goryczy. Jestto poemat trzymany w tonie poważnym, miejscami nawet tragicznym, obfitujący w wiele scen pięknych i wzruszających, do których odmalo-

wania barwy Arany poniekąd zaczerpnąć musiał z osobistych wrażeń własnéj młodości. Całość utworu owiana jest duchem czysto ludowym, pełnym prostoty i charakterystycznéj naiwności, trafnie malującéj odległe czasy i obyczaje.

Toldi jest postacią znaną w historyi Węgier: był to wsławiony wyjątkową siłą fizyczną i wielu rycerskiemi cnotami bohatér, żyjący w wieku XIV na dworze Ludwika Wielkiego. Niepowszednie jego losy opiewał już jeden z dawniejszych poetów z końca XVI-go stulecia, Piotr Selymes Ilosvai. Pomienione dzieło wyszło w r. 1571 pod przydługim nieco tytułem: *Az híres nevezetes Tholdi Miklósnak jeles cselekedeteiröl és bajnokságáról való históŕja*, co dosłownie przemieniając tylko porządek wyrazów znaczy: „Prawdziwa opowieść o dzielnych czynach i bohaterstwach sławnego, wybitnego Mikołaja Toldiego“.

Niewiele zgrabniejszym od nadpisu jest cały ten poemat: lecz nie należy potomnym sądzić 'go surowo, albowiem — pomijając już wzgląd na niedostatecznie jeszcze wyrobiony język w tak dawnych czasach—autorowi za wielką zasługę poczytać trzeba, iż w epoce pełnéj bolesnych wstrząśnień politycznych: gdy byt Węgier aż do posad zachwiała potęga turecka z jednéj, a dyplomacya Austryi z drugiéj strony — że poeta wówczas właśnie utworem, sławiącym cuda odwagi rycerza węgra, w niemałym stopniu podniósł i ożywił ducha narodowego.

W każdym razie Arany tak w pierwszéj, jak i w dwóch następnych częściach zupełnie samodzielnie pojął i przeprowadził postać bohatera analogją zachowując tylko w tych szczegółach, które o Toldim przekazała tradycya historyi lub legendy. Części téj trylogii, chociaż ściśle się ze sobą wiążą, mimo to każda z nich osobną stanowi całość i innym tchnie nastrojem: pierwsza jest naiwną, prostą, dziką — tak, jak młodzieniec, którego opisuje; druga bohaterska wre gorącą miłością dla swego plemienia, — trzecia zaś, aczkolwiek w przebiegu treści nieco smętna, pełnemi dowcipu szczegółami stanowi świetną ozdobę rodzimie węgierskiéj humorystyki. Wykończone zostały w sporych odstępach czasu jedna od drugiéj, przyczem godném jest zaznaczenia, że trzecia część p. t. *Toldi estéje* (Wieczór, czyli starość Toldiego) pojawiła się pierwéj od drugiéj, bo już w 1854 r., gdy drugą, zatytułowaną *Toldi szerelme* (Miłość Toldiego) wydał Arany w trzydzieści dwa lat po pierwszéj, t. j. dopiéro 1879 r., przegrodziwszy ją od tamtych wieloma innemi utworami.

Toldi jest dziełem niezwykle pięknem pod względem formy, a treść ma pełną uroku. Autor sam całém sercem umiłowawszy swego bohatéra, siłą talentu zmusza i czytelników do podzielenia téj mi-

łości i szczerego pojmowania smutku, wesela, tryumfu, zapału — słowem wszystkiego, czego Toldi doznaje. Ta nić sympatyczna między czytającym a bohaterem utworu trwa niezmiennie przez wszystkie trzy części, i z równą siłą zaznacza się tak w odczuciu uniesienia, gdy podstępny brat Mikołaja Toldi'ego, Jerzy, w celu wyzucia ze spuścizny, doprowadza go aż do zbrodni — jak w przejęciu się prześliczną, głęboko wzruszającą sceną pożegnania uciekającego w świat zabójcy z matką staruszką, następnie znów tak w uciesze z jego tryumfów na dworze Ludwika Wielkiego, tudzież na polu zapasów, we współczuciu z bólem nieszczęśliwéj i tragicznie zakończonéj miłości jego — jak wreszcie w zrozumieniu rozczarowanego i zniechęconego do życia starca, który nie mogąc się pogodzić z cudziemskiemi obyczajami dworu, wraca w zacisze ustronnego Nagy-falu, i widząc, że czas swój już przeżył, własnemi rękoma grób dla siebie kopie.

Najgłębiéj pomyślaną i najbardziéj uposażoną w bogactwo treści z całego tego utworu — a może nawet i ze wszystkich poematów Arany'ego jest część druga: „Miłość Toldi'ego“, którą autor początkowo miał zamiar nazwać *Dalias idök* (Rycerskie czasy). Obok romansu Toldi'ego z Piroską [1]) Rozgonyi (późniejszą żoną Wawrzyńca Tara), prześlicznym typem węgierki o dzielném sercu — na pierwszy plan tu występują stosunki Ludwika Wielkiego z cesarzem niemieckim, Karolem IV, wyprawa na Neapol, a także echa smutnéj, dla potężnego domu Andegaweńskiego mocno niepochlebnéj sprawy Felicyana Zách'a, która przez długie lata jątrzyła się w kraju niewinnéj krwi przelewem.

Wiernie odzwierciedlając koloryt epoki, obyczajów, pojęć i charakteru magyarów z XIV-go stulecia, *Toldi* zdobył odrazu niespożytą sławę i cześć rodaków dla swojego twórcy, a sam stanął na czele najpiękniejszych pomników ojczystéj literatury.

Drugiém dziełem Arany'ego, które gdyby było całkowicie wykończone, znaczeniem w piśmiennictwie prawdopodobnie prześcignęłoby jeszcze „Toldi'ego“, jest: *Buda halála* (Śmierć Budy, czyli Bledy lub Blödelina, brata Attyli). Niestety miała to być także trylogia, a Arany napisał tylko część pierwszą, w któréj zbyt uwydatnione są zapowiedzi i przyczyny daléj nastąpić mających wypadków, aby na podobieństwo pojedyńczych części Toldiego sama w sobie całość mogła stanowić. Po śmierci poety znaleziono w rękopisie tylko niewielki urywek części trzeciéj, która zamykać miała dzieło p. t. *Csaba*

---

[1]) Piroska znaczy dosł. „różana“. Imię to używane bywa w spieszczeniu od Hajnalki, czyli Aurory.

királyfi (Królewicz Csaba, lub Szaba). Epopea ta, rysująca się na tle podań o Hunnach, o ubóstwianym przez nich Attyli, treścią swoją dla ogólno-europejskiéj literatury byłaby mogła stanowić wspaniałe dopełnienie „Pieśni o Nibelungach“ i skandynawskiéj „Eddy“ — tém bardziéj zajmujące, jako rodzimy głos prawnuków owego plemienia potężnego i bitnego — owéj dziczy, jak chcą historycy, lecz czemu ośmielają się zaprzeczać nietylko legendy, ale i niektórzy kronikarze, jak np. Priskus.

W poemacie tym między innemi obrazami przedstawia nam autor domowe życie „Bicza Bożego“, którego wyobraźnia pokoleń przywykła widzieć zawsze tylko w oświetleniu pożóg i purpurze krwi. Jest groźny: lecz mimo to ludzki, wspaniałomyślny, gościnny — taki właśnie, jakim bezstronnie maluje go i piewca Nibelungów. Naród cały chce go mieć władcą: lecz on, idąc za głosem słuszności, dobrowolnie połowę monarchii oddaje starszemu bratu, mniéj zdolnemu Bledzie, czyli Budzie, z warunkiem, aby stolicę swoją nazwał od jego imienia Etelvár'em. Buda nie dotrzymał słowa, i gród swój zwać kazał Budavár'em (dzisiejsza Buda, czyli Ofen). Stąd wszczęła się między braćmi niezgoda, podsycana stale przez chytrego Dytrycha — jednego z sąsiednich lenników. Pogodzili się wprawdzie chwilowo, gdy Etel (Attyla) na polowaniu bratu uratował życie, lecz zawiść panująca między ich żonami Hildą i Gyöngyvérą, niebawem na nowo przeciwko sobie ich zbroi. Buda, wódz niezbyt waleczny, i od swego ludu nie bardzo lubiany, niefortunne czyni wysiłki, by cały kraj zagarnąć; w tym celu przywłaszcza sobie podstępem od bóstwa wojny wyłącznie dla Etela zesłany święty miecz Hadura. Etel rozgniewany, pośród utarczki naciera nań z tyłu, i własną go zabija ręką.

Druga część trylogii byłaby pewno wyjaśniła pomyślne w każdym razie dla Hunnów skutki śmierci Budy: atoli wobec jéj braku zadowolić się musimy urywkiem części trzeciéj, który, chociaż to tylko krótki, zaledwie początkowy ułamek, jest jednakowoż wielce zajmujący, ponieważ idąc za ściśle węgierskiém podaniem, zupełnie inaczéj wystawia powody i szczegóły śmierci Attyli, niż wszelkie inne legendy. Cios mianowicie, który przeciął dni życia wielkiego wodza, przypisany tu jest Krymhildzie, jego żonie, którą w ostatniéj pieśni Nibelungów uśmierca, oburzony jéj okrucieństwy rycerz Hildebrand. Węgierska baśń mija się tu z germańską tak, jak zresztą i w wielu innych szczegółach. Jakkolwiek akcya „Królewicza Csaby“ toczy się późniéj od akcyi Nibelungów, Krymhilda żyje tu jeszcze, jako królowa żądna wpływu na króla, a lubo sama Zygfryda tylko w swém życiu kochała, od Attyli jednakże wciąż niepodzielnéj dla siebie wy-

maga miłości. Gdy przeto Attyla pociągnięty młodością i wdziękami pięknéj Mikoldy, z nią nowe obchodzi wesele—Krymhilda upokorzona, zdeptana, zaciekłą wrąc zemstą, wkłada na siebie Zygfrydowy płaszcz zaczarowany, który jéj postać niewidzialną czyni, i zakradłszy się nocą do małżeńskich komnat, w sercu przeniewiercy zatapia *Balmung*, ów pamiętny miecz pierwszego swego męża. Zrozpaczeni Hunnowie o czyn ten okrutny posądzając raczéj wszystkich, niżeli istotną jego sprawczynię, nie dowiedzieli się nigdy, czyja ręka w krainę cieniów wysłała ducha niezwalczonego ich bohatera.

Na tym fakcie fragment się urywa: o czynach postaci tytułowéj, Attylowego syna, nie ma ani słowa,—co wraz z brakiem części drugiéj powoduje niepocieszony żal miłośników literatury węgierskiéj. Żal ten atoli znacznie koić mogą inne utwory Arany'ego, zwłaszcza *Murány ostroma* (Szturm Murány'u), *Nagyidai cigányok* (Cyganie z Nagyida), kilka krótszych opowieści rymowanych np. *Katalin*, „Św. Władysław“ (łegenda), *Jóka ördöge* (djabeł, czyli żona, dokuczająca chłopu Jóce), — niezrównane ballady, tudzież krótszych rozmiarów wiersz epiczny p. t. *Keweháza*. Treść tego ostatniego odnosi się do historyi Hunnów z czasów, kiedy Attyla był dopiéro jednym z trzech wodzów rodu Erdy, idących ręka w rękę z trzema innymi wodzami rodu Zemeina, do których należał dzielny Keve. Nad brzegiem Dunaju spotykają się oni z Rzymianami, Alanami, Herulami, Gotami i t. d., którymi dowodzili Makrynus z Lombardyi i Dytrych—Sas [1]). W krwawéj bitwie, jaka wynikła, obie strony potraciły wielu mężnych wojowników, a między innymi padł i Keve. Pochowano go na polu boju, a olbrzymi kurhan w tém miejscu wzniesiony zwie się dotąd *Keve-háza*, czyli domem lub mieszkaniem Kevy [2]).

W chronologicznym szeregu znaczniejszych dzieł Arany'ego, po „Chybionéj konstytucyi“ i pierwszéj części „Toldi'ego“, trzecie miejsce zajmuje „Szturm Murány'u“, wydany w 1848 r. Zbyt niespokojne jednak były to czasy, zbyt wytężoną wszyscy mieli uwagę na krwawy dramat narodu, podówczas właśnie rozgrywający się w ży-

---

[1]) Czyli Teodoryk Wielki, król Ostrogotów, a następnie Włoch. Postacie te wszakże, jedynie dzięki bezkrytycznéj fantazyi podania, biorą czynny udział w akcyi tego wiersza; Makrynus bowiem żył podobno na 200 lat przed Attylą, a i Teodoryk spoczął już w grobie, zanim on jako wódz zasłynął. *Keveháza* pod zmienionym tytułem: „Bój Hunnów“ drukowany był w wybornym przekładzie p. Lange w 47 nr. „Życia“, 1887 r.

[2]) W tém miejscu stanęła późniéj Buda, — i tak w obrębie Kevehazu złożone zostały śmiertelne szczątki nietylko Kevy, lecz także Attyli, Arpada i św. Stefana.

ciu, ażeby najpiękniéj nawet napisana książka jakiekolwiek wrażenie wywrzéć była mogła. W dniach owych jeden tylko Petöfi błyszczał na horyzoncie, uwielbiany jako duch, panujący natchnieniem ponad tłumami, których serca wspólnie z jego sercem jednakiém uczuciem tętniły. Kwestyi nie ulega, że uczucia te jaknajgłębiéj podzielał i Arany: świadczy o tém życie jego całe, wszystkie dzieła, a między innemi niektóre drobniejsze utwory, pod wrażeniem tamtych chwil pisane, np. *Nemzetör dal* (Pieśń gwardyi narodowéj), *Egyesülés* (Zjednoczenie), *Alom—való* (Sen—prawdą), *Válság idején* (W dobie przesilenia)—i wiele innych. Są to rzeczy śliczne, obfitujące w niezaprzeczone zalety, i zawierające nie mało klejnotów myśli: jednakże—wyznać trzeba, że nie posiadają one w sobie téj wybuchowéj, wulkanicznéj potęgi, jaką porywały pieśni Petöfi'ego, które temu, w młodzieńczych latach zgasłemu wieszczowi nieśmiertelność zjednały.

„Szturm Murány'u“ jest-to poemat historyczny w czterech pieśniach, ze schyłku XVII-go stulecia. Główną jego bohatérką jest kobiéta o rycerskim duchu, Marya Szécsi — pierwotnie żona Stefana Bethlena, następnie Wesselényi'ego, który tu również pierwszorzędną odgrywa rolę. Zamknięta w twierdzy Murány, broni jéj przed Karolem, księciem Lotaryngii, dowódcą Niemców: widząc jednak niemożność dłuższego oporu, a równocześnie złudzona podstępnemi obietnicami wroga, — wydaje mu twierdzę, poczém zdradzona, w niewolę ujęta — umiéra.

Mimo braku rozgłosu utwór ten wszelako nie jest bez wartości: autor sam nalepiéj go charakteryzuje w jednym z autobiograficznych listów do przyjaciela swego, Pawła Gyulais. „W „Szturmie Murány'u“ starałem się używać stylu, któryby to dzieło przystępném uczynił nietylko dla wykształconego koła czytelników, lecz i dla ludu. Używałem więc języka pośredniego między literackim a pospolitym: ten usiłując podnieść, tamten—spopularyzować. Cel — sądzę był dobry: czy mi się go zadawalniająco przeprowadzić udało, to rzecz inna. Zdaje mi się wszakże, iż główną wadą tego poematu jest zbyteczna usilność dramatyzowania wszystkich i wszystkiego: błądziłem podobno, przypuszczając, iż piszący wyrazistością szczegółów zdolnym jest treść i uczucia tak uplastycznić, tak żywo przed oczy stawić, jak artysta aktor — grą twarzy. W każdym jednak razie ośmielam się twierdzić, iż dzieło to pomimo wszystkich stron słabych, zasługiwało na mniéj obojętne przyjęcie: przeszło ono bowiem tak niepostrzeżenie, że, o ile mi wiadomo, nikt o niém nigdy żadnéj nawet nie napisał krytyki...“

Już nie obojętność — lecz niechęć na razie wywołali „Cyganie

z Nagyida“ (1852). Jest-to gorzka satyra, pod postacią karykaturalnego obrazu nierządu zbuntowanych cyganów, wystawiająca szyderczo „wielu Węgrów grzechy...“ Gniew, oburzenie, boleść miotająca poetą wskutek niepowodzeń, jakich naród jego doznał, oto co mu dyktowało te wiersze — najsłuszniejszéj zresztą pełne prawdy. Słuszność ta oczywiście przez wszystkich uznaną została niebawem, zwłaszcza gdy Arany dalszemi utworami dowiódł, że jeśli gryzł — to sercem.

Do tego samego rodzaju „zgrzytów satyrycznych“, które jednak wcale zbawiennie na ogół oddziaływały, należy także prześliczny wiersz p. t. *Rablelkek* (Niewolnicze duchy), gdzie autor słabym jednostkom urągliwie przyklaskuje, że bezsilnie, gnuśnie olśnione słońcem, w promieniach jego poruszać się nie umiejąc, podle do ciemnicy wzdychają, w któréj obojętnie mogli drzémać.

Arany, jako człowiek rodzinnemi obarczony obowiązkami, czynny udział w zawierusze 1848-go r. brał głównie tylko pracą w ministeryum spraw wewnętrznych: potém zaś, skoro nastały czasy spokojniejsze, wrócił do profesorskich zajęć, i wykładał język węgierski i łacinę w Nagy-Körös, dopóki nie powołano go w r. 1858-ym do Pesztu, na członka Akademii. Zajmując krzesło, wygłosił znakomitą rozprawę p. t. *Zrinyi i Tasso.* W r. 1860-ym nowo-wskrzeszone Tow. Kisfaludy'ego wybrało go na dyrektora, a w rok późniéj Akademia przyznała mu za „Śmierć Budy“ najwyższą nagrodę im. Nádasdy'ego, i po zgasłym Władysławie Szalay'u ofiarowała mu zaszczytny urząd sekretarza.

Osiadłszy w Peszcie, redagować zaczął czasopismo *Szépirodalmi figyelö* (Obserwator literatury pięknéj), od r. 1862 dla rozszerzonego programu wychodzące pod innym tytułem: *Koszoru* (Wieniec), którém bardzo korzystnie wpływał na podniesienie smaku artystycznego wśród czytającego ogółu. Wkrótce potém jednak w twórczości jego nastąpiła wieloletnia przerwa. Nerwowy, wrażliwy, o sercu niemal kobiéco-tkliwém, każde nieszczęście kraj przygniatające, każdy cios rodzinny zawsze silnie odczuwał: już strata ukochanego druha Petöfi'ego (1849 r.) podziałała nań w wysokim stopniu rozstrajająco [1]),

[1]) Dlatego to drobniejsze poezye jego z owych czasów tchną niezgłębionym smutkiem i zniechęceniem bezprzykładném prawie w tak młodym człowieku, któremu nadto wciąż wzrastające uznanie powszechne coraz obfitsze laury pod stopy słało. Ale jemu wszelkie tryumfy były obojętne, skoro ich dzielić nie mógł z bratem swym po duchu—Petöfi'm. *Leteszem a lantot* (Rzucam lutnię)—oto wiersz najsilniéj uwydatniający ból i tęsknotę za przyjacielem, a także drugi *Harmincz év után* (po trzydziestu latach 79 r.), gdzie powiada: „Śnisz mi się teraz częściéj,

a śmierć ukochanéj córki (1865 r.) wtrąciła go w rozpacz grożącą obłędem, która tylko dzięki najtroskliwszéj opiece rodziny i lekarzy powstrzymaną została w granicach długotrwałéj melancholii.

Gdy nieco powracać zaczął do zdrowia, znów ujął pióro, i w pracy szukając uspokojenia, iście po mistrzowsku przełożył „Hamleta“ i „Sen nocy letniéj“ Szekspira, poczém zwolna i oryginalnie pisać rozpoczął: a jakkolwiek dawniéj nie należał do poetów, którzy osobiste— t. j. że tak powiemy prywatne swoje uczucia zbyt często w rymy ubierać zwykli, jednakże poezye jego z téj epoki mieszczą w sobie tak silny oddźwięk burz, które serce i mózg mu rozsadzając, długie lata w bezczynności ducha jego więziły, — że doprawdy pojąć nie możemy niektórych głosów — zresztą nielicznych, zarzucających Arany'emu pewną dozę chłodu. Jego prędzéj możnaby nazwać dumnym, że się nie spowiada publiczności wprost ze szczegółów smutku, jaki mu duszę rozrywał; atoli koncentrując w sercu całą skarbnicę wrażeń i uczuć, ilekroć tworzył jakie dzieło, zbyt hojną ręką ze skarbnicy téj czerpał, by go można sprawiedliwie o oziębłość oskarżać. Prawda, że utwory jego wszystkie nacechowane są wielką powściągliwością słowa, każdy jednak, trafnie pojmujący ducha tego poety, czytelnik, właściwość tę poczytać musi nie za brak ciepła, lecz jedynie za przedziwnie szlachetną umiejętność zachowywania miary, która, chociaż niekiedy wygląda surowo, częstokroć jednakże prawdziwie bywa wzniosłą.

Po długiém milczeniu najpierwszym, zdaje się, wierszem Arany'ego był „Epilog“. Posępnie, lecz spokojnie wypowiada w nim poeta dążności, jakie nim kierowały w życiu, oraz zawody, jakich doznał: skarży się na zazdrość ludzką, przez którą nagroda za pracę „pali niby koszula Nessusa“ — i wspomina, że gdyby jego celem było tylko posiąść sławę i tytuły — czułby się najszczęśliwszym z ludzi, ponieważ odznaczeń spotykało go więcéj, niżeli zasłużył [1]). Ale on całe życie pragnął tylko wolności: ma ją teraz wprawdzie, i wokoło siebie ją widzi—zapóźno to jednak. „Chociaż klatkę otworzono, ptak o złamanych skrzydłach pozostaje więźniem.“

Mylił się atoli, pisząc ten własny swój epilog, tak jakby nie spo-

---

niżeli przed laty“... wymownie świadczy, jak uporczywie myśl jego wciąż wracała do ukochanego przez siebie i cały naród piewcy, który zabłysnąwszy, ożywiwszy serc tysiące—nagle i tajemniczo, jak mgła, rozwiał się bez śladu.

[1]) Cesarz Franciszek Józef, po koronacyi na króla Węgier, obdarzył Arany'ego krzyżem św. Stefana, oraz tytułem barona, w dowód uznania dla największego poety ludu, który mu koronę przyznał.

dziéwał się od siebie już niczego więcéj. W tym właśnie bowiem, ostatnim okresie swego życia wykończył i wydał jedno z najpiękniejszych dzieł swoich: „Miłość Toldi'ego“, która go kosztowała nie mało lat usilnych i mozolnych studyów, a zanim wyszła w całości, wyjątki z niéj drukowały niektóre pisma. Kreślił także opowieść rymowaną: *Bolond Istók* (Szalony Stefko), któréj jednak nie skończył. Oprócz tytułu, wiersz ten z jednym z poematów Petöfi'ego ma jeszcze i tę wspólność, że obadwaj autorzy w owym Stefku widzieli samych siebie, i pod maską jego przygód wystawiali własnego ducha walki, porywy i niektóre zdarzenia z własnéj swéj młodości. Nareszcie teraz właśnie napisał kilka najpiękniejszych swych balad, tudzież niejeden wiersz liryczny.

Co do balad — najzdolniejsi krytycy dzieł Arany'ego słów nie znajdują na wyrażenie całego uwielbienia dla nich. August Greguss nazywa je niezrównanemi „wzorami“ téj formy poezyi, a Paweł Gyulai mianuje autora Szekspirem balad. I rzeczywiście: czynią one wrażenie błyskawicy, krótko a ostro rysującéj się w mózgu czytelnika. Treściwie, jasno i silnie trafiając w jego umysł, mają to do siebie, iż bez umiejętnéj nawet interpretacyi deklamatora zdolne są lodem ściąć krew w żyłach, płomieniem pierś rozpalić, a w serce rzucić zarzewie niejednéj podniosłéj myśli i czynu. Z wyjątkiem dwóch (jednéj opartéj na podaniu szkockiém: *Sir Patrick Spens*, drugiéj zaś na angielskiém *Walesi bárdok* [1]),—wszystkie są treści narodowéj węgierskiéj. Tematy czerpał autor z baśni, jakie lud osnuł na podstawie faktów historycznych: przeważnie téż bohatérami są tu mężowie lub niewiasty, którzy wśród burzliwéj przeszłości swego narodu dzielnością czynów słusznie zdobyli wdzięczną pamięć potomnych. Oprócz pojedyńczych: „Cecylia Rozgonyi“, „Żona Rákóczi'ego“ (czyli Helena Zrinyi), „Dwaj paziowie Szondy'ego“ i t. d., — Arany miał zamiar skreślić cały cykl balad hunyadowskich: tych jednakowoż tylko część ukończoną została: „Wdowa po rycerzu Both“ (czyli matka Jana Hunyádi'ego), „Szibinyáni Jánk“ (czyli sam Hunyádi), „Władysław V-ty“ i „Matka Macieja“ (Korvina).

Z pośród innych balad, o treści czysto fantastycznéj, zasługują na wzmiankę ogólnie za najpiękniejsze uznane: *Tetemre hivás* (Sąd

[1]) Treść „Bardów walijskich“, aczkolwiek zaczerpnięta z dziejów Anglii, okolicznościowo jednak narodowe miała znaczenie: baladę tę bowiem skreślił Arany w odpowiedzi na żądanie sfer niemieckich, aby ich chwałę opiewał. Walijscy bardowie w liczbie pięciuset woleli wszyscy zginąć na stosie, niżeli zaśpiéwać hymn na cześć Edwarda I-go, który ich kraj okrył zgliszczami i w morze krwi pogrążył.

Boży) i *Tengeri hantás.* Ta ostatnia jest-to bajka, przy świetle księżyca i płonącego ogniska, opowiadana wieśniakom, zajętym „obłuskiwaniem ziarn kukurydzy“ (tak brzmi dosłownie tytuł). Utwór ten przypomina kompozycye muzyczne — owe prządki, gdzie szeroka, ponura nuta śpiewu łączy się z nieustannym, monotonnym szmerem pracy.

Choroba, długo trawiąca organizm poety, wyczerpała jego siły przedwcześnie. Umarł 1882 r. [1]) (w wieku lat 65), wielu rozpoczętych prac nie dokończywszy, a śmierć jego cały naród szczerym przejęła żalem, zwłaszcza, że Arany nietylko talentem, ale i charakterem zasłużył na ogólną cześć oraz uwielbienie.

B. Jaroszewska.



[1]) W roku bieżącym, jako w dziesięciolecie jego zgonu, rodacy stawiają mu w Peszcie pomnik spiżowy (dzieło rzeźbiarza Strobla), którego odsłonięcie naznaczono na październik.



ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Maryan Gawalewicz: 1) „Ćma, materyały do powieści“, str. 278; 2) „Z mego albumu“, zbiór szkiców i obrazków, str. 273 i 3) „Żona“, galerya szkiców z natury. Nowe wydanie powiększone, z rysunkami Piotra Stachiewicza, str. 277. — Warszawa, Gebethner i Wolff.

Ulubionym tematem p. Gawalewicza są kobiéty. Wprawdzie powieść od początku swego wogóle z nadzwyczajném zajmowała się zamiłowaniem piękniejszą połową rodzaju ludzkiego; wprawdzie wszyscy autorowie w téj gałęzi piśmiennictwa wielkiego dokładają starania w odtworzeniu postaci niewieścich, pomnąc, że od tych-to postaci zawisło pospolicie powodzenie utworów nietylko wśród kobiét, lecz i wśród mężczyzn; ale bądźcobądź są przecież powieściopisarze, którzy się nawet wobec takiego powszechnego usposobienia i nastroju wyróżnili specyalném zwróceniem uwagi na swoje bohatérki. Rysują z niezmierném zajęciem ich kształty, analizują ich uczucia, myśli, zachcianki, postanowienia; studyują ich ideały, rozwodzą się nad ich dobrym lub złym wpływem na mężczyzn i na społeczeństwo całe. Rozumié się, że jak gdzieindziéj, tak i w tym względzie wytworzyły się dwie zasadniczo-przeciwne sobie grupy: wrogów i wielbicieli płci niewieściéj, w najrozmaitszém ustopniowaniu i cieniowaniu. Jedna grupa dlatego się ze szczególném zamiłowaniem zwraca do malowania kobiét, ażeby jaskrawo wskazać ujemne ich oddziaływanie na charakter i losy społeczeństw, gdy druga wyszukuje starannie wszystkiego, co na ich zaletę i chlubę powiedzieć można.

P. Gawalewicz należy niewątpliwie do grupy drugiéj. Ażeby to okazać, nie trzeba się wdawać w szeroki rozbiór wszystkich dotychczas jego utworów, w których zawsze prawie miejsce najwydat-

niejsze zajmują kobiéty z dodatniéj odmalowane strony; dość będzie powołać się na fakt najbliższy, jaki mamy właśnie pod ręką. Gdy przed paru laty powzięto myśl przedstawienia rozmaitych odmian dwu gatunków, zwanych „mąż“ i „żona“, p. Gawalewicz wybrał do opracowania ten drugi i skreślił 15 sylwetek kobiécych, które wyszły p. n. „Żona“, a obecnie ponownego doczekały się wydania z ładnemi ilustracyami p. Stachiewicza. Dla mizogina jakież tu pole do rozwinięcia zasobów złośliwego dowcipu! Jeżeli bowiem kobiéty wogóle miały w literaturze zaciętych nieprzyjaciół, to z pomiędzy nich znowuż żony stały się najczęstszym i najpodatniejszym celem pocisków satyrycznych... P. Gawalewicz tymczasem użył téj sposobności, ażeby przykładami z życia czerpanemi wykazać, że żona to istotnie najsłodsza, najmilsza, najpracowitsza towarzyszka życia, w złéj czy dobréj doli wiernie przy mężu stojąca i pilnością, zabiegliwością, rozumem, sercem, poświęceniem przekonywająca, że nietylko nie jest ciężarem dla mężczyzny, ale stanowi największe jego szczęście. Wszystkie kobiéty, wolne czy zamężne, powinny być wdzięczne (jak zapewne są) p. G. za tę książkę, bo z jéj przeczytania, jak przed laty po przeczytaniu książki Droz'a, można nabrać ochoty do stanu małżeńskiego. Czy to będzie „Kokoszka“ karmiąca, odziéwająca, mustrująca swoje siedm piskląt z wiecznie pogodną twarzą, z niezmąconym humorem, z wiarą w przyszłość; czy „Trusia“, która nic zgoła myśléć, postanowić, a może i czuć nie potrafi bez wyraźnego pozwolenia swego męża; czy owa młoda, rzeźwa, pełna soków żywotnych mężatka, co po dwuletniém pożyciu staje się siostrą miłosierdzia dla swego sparaliżowanego męża i truchleje tylko nad tém, by nie umarł i nie pozbawił jéj możności poświęcania się („Muu“); czy „Ofiara“ kaprysu męża“, który z kochającą kobiétą się rozwiódł dla chwilowéj zachcianki, a potém w chorobie od niéj jednéj, od niéj tylko doznawał czynnego spółczucia i pomocy, niewynagrodzonych nawet świadomością tego, komu były święcone, czy owa staruszka z „*Inséparables*“, co w pogodzie ducha i zadowoleniu szczerém towarzyszyła wszędzie swemu niegdyś dzielnemu wojakowi, a potém udającemu już tylko rzeźkość inwalidzie, a tak z nim zżyta, że ledwie o parę miesięcy w jeździe do mogiły wyprzedzić się dała:—zawsze i wszędzie widzimy w mniejszym lub większym stopniu uwydatnione te rysy usposobienia i charakteru, które zjednywają przywiązanie, uwielbienie i cześć nawet. Ba, takie właściwości, same przez się niepożądane, jak dziecinność i niepraktyczność, chorobliwa zazdrość, gderliwość są wystawione ujmująco, jako dowody miłości przyjmowane przez mężów częściéj z radością i wdzięcznością, aniżeli poddaniem się („Bziczek“,

„Otellina,“ „Baba„). A jeżeli wśród 15 żon, narysowanych przez p. G. znajdzie się jedna „Muszka,“ która polubiwszy kolacyjki w gabinetach restauracyjnych, zatraciła zupełnie charakter kapłanki ogniska domowego, to i dla niéj znajduje autor jeżeli nie usprawiedliwienie, to wytłómaczenie w tém, iż sam jéj mąż zaprawił ją do takiego życia i wprowadził na drogę, która pod względem moralnym ku otchłani zbacza. Ale i w tym wypadku nawet „Muszka“ jako żona była doskonałą towarzyszką i dopiéro wtenczas szukała nowego opiekuna i dostarczyciela niezbędnych już dla niéj wygód i przyjemności, kiedy ją pierwszy opuścił.

Na wszystkie te kobiéty patrzy powieściopisarz nadzwyczaj życzliwie, czasami z uśmiechem łagodnéj ironii i pobłażania, niekiedy z czcią i zachwytem. Aniołów domowych widzi we wszystkich sferach towarzyskich bez różnicy stopnia uobyczajenia i oświaty. Tam nawet, gdzie pospolicie doszukujemy się tylko zdrożności i zepsucia, w atmosferze teatralnéj, p. G. odkrywa i z lubością opowiada o cnocie, bezinteresowności, szczerém sercu, zacnym charakterze. W galeryi „Żon“ pomieścił téż „komedyantkę;“ ale z tego zatytułowania rozdziału fałszywy byłby wniosek, iż autor zamierzył przedstawić to, co w owym wyrazie zazwyczaj widzimy. Przeciwnie i sama postać „Stalki,“ którą rozkochał i poślubił lekkomyślny panicz, a opuścił ją pod wpływem gniewu swojéj rodziny, — jak i w słowach wprost od siebie wypowiedzianych staje p. G. w obronie téj grupy istot ludzkich, wytykając ogółowi niewłaściwość a często bezzasadność podejrzeń rzucanych na aktorki. „Świat — słowa są p. G. — uważa się obowiązanym do kontroli nad każdą gwiazdą sceniczną i pilnuje Argusowém okiem, czy która upada, czy się trzyma, jaką drogą krąży i dlaczego... Świat ma w sobie naturę starego kawalera, lubi ploteczki i nowinki, zbiéra pikantne anegdoty i jest ciekawym więcéj, niż mu wolno i niż wypada; wszystko musi podpatrzyć, podsłuchać, podejść. Do buduarowych tajemnic ma szczególniejszą słabość, a do żadnego buduaru nie wchodzi tak bez ceremonii, jak do buduaru artystki. Zdaje mu się, że kupując bilet do teatru, kupuje także wejście za kulisy, do garderoby, do domu téj lub tamtéj pani z afisza i ma prawo zaglądać przez szparę, przykładać ucho do dziurki od klucza, a potém bawić się ich kosztem. Zapomina, że aktorka to także kobiéta, któréj się pewne względy należą“ (str. 67).

W innym zaś zbiorku szkiców: „Z mego albumu“ nakreślił p. G. bardzo miluchną sylwetkę aktorki bez talentu „Mimi,“ która dla swéj buzi tylko i figurki była w teatrze tolerowana, a która jednak z tych zalet swoich nie korzystała po komedyancku, lecz znalazłszy kolegę,

co ją uszanować umiał i kochając ją zhańbić jéj nie chciał, nie mogła chwili przeżyć w nieporozumieniu z nim i gotowa była na wszystko, byle go o swéj wiernéj i wytrwałéj miłości przekonać. Dziecinna-to, nierozwinięta myślowo postać, ale zdaje się należéć do tych, które uczuciem tylko żyją i zawsze niém żyć będą.

Wobec takiego usposobienia względem niewiasty, łatwo odgadnąć, że i tam, gdzie zdrożności jéj przedstawia, stara się to robić bardzo oględnie. A raczéj: nie stara się, tylko już wprost z nastroju swego tak je maluje, żeby wstrętu moralnego nie budziły, lecz zasłużyły sobie na spółczucie czytelnika. Temperament, wychowanie, otoczenie, świat wogóle winien zazwyczaj, że zdolności niepospolite, że natura w gruncie szlachetna, że uczucie namiętne nie znalazły prawidłowego pod względem etycznym rozwinięcia, lecz strawione zostały w szybkim, gorączkowym biegu za coraz to nowemi wrażeniami, których istoty te były wiecznie spragnione.

Studyum takie nad motylami nocnemi, które blask wabi ku sobie nieprzeparcie, chociażby życiem przypłacić to miały, dał nasz autor w książce p. t. „Ćma,“ skromnie ją nazwawszy „materyałami do powieści.“

W określeniu tém jest do pewnego stopnia i prawda. Nie rozpatrzył bowiem p. G. wszechstronnie typu kokiétki, może dla tego, że już niejednokrotnie był on kreślony przez takich powieściopisarzów jak Kraszewski i Korzeniowski, nie ukazał nam, że tak powiem, mechanizmu wewnętrznego usposobień, nastrojów, kaprysów, niezadowoleń, wstrętów, przebiegających jak strumienie elektryczne po duszy Lili, lecz obrawszy sobie formę urywkową a urozmaiconą niby materyałów zbiorowych przez jednego z głównych bohaterów powieściowych do monografii ćmy, pozostał jéj wierny do końca i dawał czytelnikom od czasu do czasu tylko możność zajrzenia w serce i głowę bohaterki, poprzestając przeważnie na opowiadaniu faktów życia zewnętrznego.

O wychowaniu Lili, o jéj otoczeniu w domu rodzicielskim, o jéj pożyciu małżeńskiém dowiadujemy się tylko, ile ona w rozmowach lub listach sama napisała, a przecież zawierzyć jéj w zupełności nie można, nie dlatego, żeby lubiła kłamać, owszem, jednym z jéj rysów oryginalnych jest to właśnie, że pospolicie rządzi się otwartością i prawdą, ale dlatego, że zbyt była wrażliwa i fantastyczna, iżby we wszystkiém, co mówiła i pisała, nie było odbicia jedynéj téj chwili, w któréj to robiła, a która musiała być całkiem różną od chwil innych. Bardzo bystrą spostrzegaczką nazwać się ona nie może, nawet w tém, co dotyczyło jéj bezpośrednio; o mężu np. tak lekceważonym

z początku, podawanym za główny powód jéj wszystkich zboczeń, nabiéra ona odmiennego zdania wówczas dopiéro, kiedy na maskaradzie z nim rozmawia, żądając zgodzenia się na rozwód. Ten niewyjaśniony należycie charakter stosunku do męża i jego stosunek do żony przed opuszczeniem go przez nią, jest, zdaniem mojém, największą z wad psychologicznych, jaką w téj pracy wytknąć mi wypada. Bez tego bowiem ważnego szczegółu motyw zasadniczy, który pociągnął za sobą dalszy rozwój charakteru Lili, nie ma niezbędnéj jasności.

Bystrością nie zgrzeszyła także w wyborze pierwszego kochanka, dla którego dom męża opuściła, a który za nią nie podążył wskutek braku energii i zależności od starszego brata pod względem moralnym i materyalnym. Ale ten zawód jest bardzo dobrze pomyślanym pod względem psychologicznym. Zrobiwszy tak ryzykowny krok dla takiego zera moralnego, jakim był Izio Szaniecki, wobec swéj nadzwyczajnéj wrażliwości, mogła się Lila uczuć odrazu i na zawsze wykolejoną, mogła odtąd poczytywać życie za sposobność jedynie do trzymania jaknajwiększéj liczby mężczyzn na uwięzi i igrania z ich zmysłami i uczuciami. W takiéj fazie niewątpliwie mówiła o sobie zupełne prawdy Bolesławowi, który ją uratować przez ożenie się z nią zamierzał. „O ile siebie znam — powiada ona — nie znoszę żadnych więzów, jak znarowiony koń, — muszę żyć na swobodzie, albo się unoszę, buntuję, zrywam wędzidło i biada temu, który mnie poskromić pragnie!... Nie ma we mnie ani cienia zwyczajnéj banalności dzisiejszych kobiét. Nie wiem, czy jestem złą czy dobrą i mniejsza o to—jestem sobą. Nic mnie nie obchodzi moralność i opinia waszego świata, robię to, co w danéj chwili zrobić chcę i basta... Gdybym pana nawet szalenie kochała, nie umiałabym się zmienić i przezwyciężyć dla tego uczucia i tém bardziéj dręczyłabym cię bez litości, a w końcu znienawdziła tém więcéj, im bardziéjby mi miłość ta ciążyła... Ja wogóle mam o was wszystkich wyobrażenie bardzo niepochlebne; lubię was pasyami, ale lubię jak... jak winogrona, które można skubać po gronku i łupiny odrzucać. To się panu wydaje cyniczném, co mówię?... Trudno, mam chwile szczerości i mówię prawdę...“ (str. 128—130). Chwile takie zdarzały się jéj dość często, o ile naturalnie szczerość mogła podbudzać żądze i namiętności mężczyzn.

Inne przejawy życia Lili: ciągłe przyciąganie i odpychanie wielbicieli, drażnienie ich zmysłowości, otaczanie się całemi rojami, ażeby przez umiejętne rozdzielanie łask i względów utrzymywać ich w ciągłéj czujności, rozrzutność i lekkomyślne szastanie zdrowiem, pozorne lekceważenie bytu, kształcenie się w śpiewie, wstąpienie do teatru:

są to już szczegóły zewnętrzne, które dobrze ilustrują słowa saméj Lili powyżéj przytoczone, ale które nas nie wzbogacają głębszém wniknięciem w istotę zjawiska tego. Śmierć jéj była wynikiem starcia się jéj subtelnego, ale chłodnego temperamentu z usposobieniem gorącém i namiętném Włocha-śpiewaka, który gwałtowną ręką poszarpał delikatną siatkę zalotności. Odtrąciwszy naprzód ostrém słowem, pociągnęła niebawem kochanka na przejażdżkę po jeziorze, zaczęła drażnić jego miłość własną, chwaląc margrabiego, jednego ze swych wielbicieli, wynosząc jego galanteryę i dobre wychowanie, znajomość kobiét i delikatność uczuć. Potém wyjęła z za gorsu bilet jakiś pomięty i udawała, że go całuje. Włoch mniemał, że to bilet margrabiego, domagał się oddania, a gdy nie chciała, pchnął ją końcem wiosła w wodę, a gdy się chwyciła łodzi, chcąc się ratować, nadeptał jéj na palce, a potém zadał cios w głowę.

Autor w końcowéj rozmowie z przyjaciołmi przez usta Bolesława, który najwięcéj wycierpiał na zalotności Lili, kochając ją jeszcze, wypowiada objaśnienie takich zjawisk i stosunków, i składa winę na „wiek dekadentów“, jakiemi są w większości dzisiejsi ludzie z inteligencyi. Zdaje się nawet wątpić o możności wyleczenia się z téj choroby nerwów, uczuć i namiętności. W ogólnym tedy stanie patologicznym społeczeństwa znajduje i „ćma“ swoje usprawiedliwienie. Ze stanowiska psychologicznego zapewne, ze stanowiska społecznego—chyba nie...

Piotr Chmielowski.

Jean Jaurès. „De la réalité du monde sensible.“ Paris. Alcan. 1891. str. 370.

Czy świat zmysłowy, ten świat pełny blasku barw, woni i dźwięków, świat, który przemawia do wszystkich zmysłów naszych zarazem, jest rzeczywistością czy złudzeniem? „Zdrowy rozum“ gotów zawsze wyśmiać to pytanie: Molière każe Sganarellowi przekonać się o rzeczywistości świata za pomocą kijów, które dostaje; a tak samo jak Molière wykpiwa idealizm Berkeleya, drwi Voltaire z idei Leibnitza o celowości świata, przedstawiając ją karykaturalnie w swoim Panglosie. Nie zawsze jednak zdrowy rozsądek ma słuszność wobec filozofii; gruby błąd Molièra polega na niezrozumieniu zadania. Nikt bowiem nie wątpi o rzeczywistości wrażeń i wyobrażeń naszych o świecie. Idzie o to, czy jest coś poza temi wyobrażeniami? Czy świat istniał jako taki przed pierwszém ukazaniem się świadomości, czy będzie trwał po jéj wygaśnięciu?

„Unosimy wszechświat z sobą do mogiły, lub raczéj, ponieważ sam grób jest tylko wyobrażeniem naszém, ponieważ nie istnieje dla

nas, skoro istnieć przestajemy, unosimy go w nicość. Ziemia, w któréj pogrzebani będziemy i szczątki tego, co było naszą istnością, wszystko to istnieje tylko dopóty, póki sobie je wyobrażamy; a przestając być, przestajemy je wyobrażać. Ziemia, przyjmująca zwłoki nasze, rozpływa się w nicości wraz z nami; przestaje ona istnieć i świat przestaje istnieć. Nie możemy tu mówić o nocy; ciemność jest jeszcze wrażeniem; ciemność istnieje tylko dla świadomości, a ponure widmo nocy, za pośrednictwem którego staramy się uzmysłowić sobie śmierć, jest jeszcze wspomnieniem i jakby cieniem życia“ (str. 321). Takie jest stanowisko subiektywizmu, do którego z koniecznością nieuniknioną zdają się prowadzić wyniki wiedzy.

„Zdrowy rozsądek“ ma tę przewagę nad filozofami, że nie stawiając sobie zagadnień podobnych wierzy wprost w rzeczywistość świata; a bez téj wiary trudno byłoby na świecie. Lecz filozofia przez krytykę poznania burzy tę naiwną wiarę, a nie tak łatwe, jak się wydać może, jest jéj naukowe uzasadnienie. Kantowska „rzecz w sobie“ jest „pojęciem granicznóm,“ a więc również wyobrażeniem naszém, źle harmonizującém z całością jego krytyki.

P. Jaurès za zadanie sobie postawił uzasadnienie filozoficzne rzeczywistości świata, a celem jego nadanie trwałości tym wierzeniom, bez których życie ludzkie traci wszystko, co je ludzkiém czyni. „Społeczność ludzka potrzebuje sprawiedliwości braterskiéj i potrafi ją osiągnąć wbrew rozczulonym sceptykom, którzy wymagają tylko jednéj rzeczy od cierpienia powszechnego: odcienia cichego smutku na swoje własne szczęście“ (str. 33).

Ponieważ fizyka rozkłada zjawiska na ruchy, zaczyna więc autor badanie swoje od analizy tego pojęcia, a przychodzi do wniosku, że podstawą ruchu jest byt, istność (*être*). Istność ta może się objawiać bądź jako akt, bądź jako potęga; jako potęga wyraża się ona w ilości, jako akt — w formie. „Jeśli więc we wrażeniu odnajdziemy ilość i formę... zbliżymy wrażenie do ruchu; pojednamy je w pojęciu bytu.“ Prowadzi to do krytyki poglądów Lotzego i Wundta na istotę wrażenia: „Wszystkie te przedsięwzięcia psychologii fizyologicznéj, są tylko zlepkiem niejasnym formułek Kantowskich, źle zrozumianych, z hypotezami również mało uzasadnionemi jak pozbawionemi doniosłości“ (str. 117). Z drugiéj strony występuje p. Jaurès przeciwko poglądom Bergsona, zaprzeczającego ilościowego określenia wrażeń. Niektóre z zarzutów są bardzo trafne, a wszystkie prowadzą autora do wniosku, że ilość jest istotną cechą wrażenia. Również występuje on przeciw twierdzeniu Kanta o podmiotowości przestrzeni, dowodząc jéj rzeczywistości i nieskończoności.

Ale główny punkt oparcia subiektywizmu nie tkwi w istocie form, pod któremi poznajemy świat zewnętrzny (wrażenia, ruchu, przestrzeni), lecz w têm, że wszelka świadomość, przez to już, że jest świadomością, t. j. podmiotem, pociąga podmiotowość poznania. Autor doskonale rozumié to i na ten punkt zgromadza wysiłki krytyki swojéj.

Doprowadzając do wyników ostatecznych Kantowskie poglądy George'a Lyon'a, powiada autor: „Któż wié, czy materya sama świata zmysłowego nie wyłania się z ciemnych głębi jaźni, ażeby potém kształtować się według form téj jaźni świadoméj i myślącéj? Niech i tak będzie; lecz któż nie widzi, że to „ja“ wzięte tu jest w najrozmaitszych znaczeniach. Ja naszych drobnych upodobań i próżności, ja, które fryzuje wąsa przed zwierciadłem, ja zależne od organizacyi fizycznéj, które widzi żółto-czerwone przedmioty, bo ma oko zakażone żółtaczką, ja rachujące, rozumujące, kojarzące wyobrażenia pod wpływem praw rządzących umysłem, ja, które jest tém prawem, ja wzniosłe tworzące te prawa, poddające pod nie naturę, a zostające w ten sposób jéj prawodawcą, ja nieznane, olbrzymie, niepoznane przez siebie samego, stwarzające materyą wszechświata; ja wątłe, istota jednego dnia, zgubione w bezmiarze czasu i przestrzeni; ja nieskończone, wieczne, wyższe od czasu i przestrzeni, gdyż je stwarza— wszystko to dla filozofów jest jaźnią, zawsze tém samém ja. Biorą człowieka i nazywają go „ja,“ biorą wszechświat i nazywają go „ja;“ biorą Boga i nazywają go również „ja“,” (str. 330). Daléj wykazuje autor pomieszanie pojęć, które spotykamy w twierdzeniu Schopenhauera, że cały świat mieści się w mózgu (wyobrażenie przestrzeniowe— mózg, stanowiące część świata zmysłowego, postawione zamiast podmiotu), lub u Kartezyusza: „gdy mówi: jestem niedoskonały — mowa o Kartezyuszu, ale gdy mówi: nawet po zniknięciu czasu, przestrzeni, ciała mego, całéj przyrody, jestem, albowiem myślę — mówi o Bogu“ (str. 343).

Już z tych ustępów mogą widziéć czytelnicy, że poglądem na świat p. Jaurèsa jest panteizm. Byt nieskończony, którego objawami są ruch mieszczący się w przestrzeni i jaźń istoty myślącéj jest Bogiem. Bóg jest wszechbytem, a każdy osobnik, każda rzecz jest tylko ograniczoném poznaniem lub samopoznaniem tego wszechbytu. Dla czegóż myśl nieskończona ogranicza się w ciele ludzkiém? Jest to wielkie zagadnienie, odpowiada autor, a w têm połączeniu myśli i ciała objawia się raz jeszcze ten rodzaj wcielenia boskiego, które jest dla nas ostatnim wyrazem świata (349). Światło, dźwięk w nas mają świadomość siebie samych, a my służymy tylko za powód dla

świadomości powszechnéj, aby w ośrodku oznaczonym świadomości (duszy naszéj) pochwyciła idealną rzeczywistość wiecznego światła. Najlepszym dowodem, że granice mego ja osobowego rozszerzają się i ścierają się prawie, aby się zmieszać ze świadomością bezwzględną (powszechną), służy to, że we wrażeniach wzrokowych granice mózgu rozszerzają się, zlewając się prawie z wszechświatem nieskończonym (355). Światło nie ma innego organu tylko samo siebie... Świat nie spoczywa na brzegu otchłani boskiej, do któréj może zostać wtrącony; świat jest tą samą otchłanią (368).

Poglądy te są do pewnego stopnia pokrewne z koncepcyą Czolbego, którego dusza wszechświatowa jest wiecznym bytem Jaurèsa, a wspólném źródłem obudwu systematów jest naturalnie Spinoza. Świat dla panteisty ma zawsze dwa oblicza i stosownie do tego, na które z nich skupia się uwaga filozofa, systemat jego przybiera bardziéj materyalistyczny lub bardziéj idealistyczny charakter. Czolbego słusznie zaliczono do materyalistów, gdyż kładł nacisk przeważnie na to oblicze, które do zmysłów naszych jest zwrócone; Jaurèsa nazwalibyśmy idealistycznym panteistą.

Jakkolwiek sympatyczną jest ta dążność udowodnienia filozoficznego rzeczywistości świata, jakkolwiek wiąże się ona ściśle z naszemi ideałami moralnemi — cóż bowiem może być rozpaczliwszego nad myśl, że istoty, które kochamy, nie są rzeczywistością? — nie wydaje mi się jednak, aby dowodzenia autora były przekonywającemi. Zwłaszcza zaś zaprzeczenie podmiotowości przestrzeni wydaje mi się najsłabszym punktem tego dowodzenia. Wielka myśl Kanta tak doskonale wiąże z sobą cały szereg faktów w teoryi poznania i historyi myśli, że trudno jéj zaprzeczyć doniosłości ściśle naukowéj hypotezy, a chcąc ją zwalczyć, trzeba postawić na jéj miejscu coś równie doniosłego. P. Jaurès posuwa się aż do zaprzeczenia kopernikowskiego stanowiska Kanta w historyi filozofii. Jedno z dwóch powiada on: albo Kant każe obracać się nieskończoności naokoło naszego ograniczonego ja, albo to ja jest samo nieskończonością, t. j. Bogiem. Ale jeśli tak, to nie ma żadnego odkrycia, żadnego przewrotu, jest to *philosophia perennis,* wieczna religia (str. 344). Ale tu mieszają się dwie rzeczy różne: stanowisko i materyalna treść systematu. Oczywiście tak w odkryciu Kopernika, jak i Kanta główną rzeczą jest, że zjawiska tłumaczą się stanowiskiem widza zamiast rzeczywistych zmian zewnętrznych. Czy cały wszechświat obraca się naokoło ziemi, czy ziemia naokoło słońca, jedno i drugie za czasów Kopernika, t. j. przed poznaniem praw ciążenia powszechnego, mogło się wydawać równie prawdopodobném, nie mogło więc być probierzem w ocenie je-

go odkrycia [1]). Pomimo to, dzieło p. Jaurèsa ma wielką wartość tkwiącą głównie w jasném postawieniu zagadnień teoryi poznania i związanych z nią problematów metafizycznych. Silna i poetycka wyobraźnia autora nie pozwala mu zatrzymać się na abstrakcyjnych formułach słownych; najbardziéj oderwane pojęcia wcielone są w żywe obrazy, każda myśl doprowadzona prawie do naocznéj jasności. Rzadko téż można znaleźć dzieło, traktujące o tak trudnych zagadnieniach w tak jasny i przystępny sposób. Przytoczone ustępy dają czytelnikowi pojęcie o stylu autora.

Wł. M. Kozłowski.

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

— *A. Espinas.* **Histoire des doctrines économiques.** Znany u nas autor „Społeczeństw zwierzęcych“ wydał świéżo nową książkę, poświęconą przedstawieniu dziejów nauki ekonomicznéj. Stanowisko Espinasa najlepiéj maluje ustęp przytoczony, który zarazem streszcza poglądy jego co do metodologii w ekonomii. „Jedyny środek popchnięcia naprzód ekonomii politycznéj polega na tém, aby sterować ją w kierunku coraz większego rozszerzenia życia społecznego. Ekonomista winien być przeniknięty poczuciem harmonii, jednoczącéj klasy narodu i narody wzajemnie pomiędzy sobą“. Rozwój doktryn ekonomicznych przedstawia nasz autor jako powolne rugowanie „mistycyzmu“ przez „naturalizm“. Mistycyzmem w ekonomii jest dlań okres starożytny i średniowieczny, kiedy usiłowano potrzeby ekonomiczne podporządkować wymaganiom etycznym, a dobrobyt materyalny niżéj stawiano od zadowolenia moralnego. Naturalizm, t. j. epoka, kiedy potrzebom materyalnym przyznano równoprawność, rozpoczyna się według Espinasa z Sullym i Bodinem; początkowo stawia on w merkantylizmie i fizyokratyzmie kroki bardzo nieśmiałe i wreszcie obejmuje panowanie z wolnym handlem. Jakkolwiek w jedném miejscu nasz autor wypowiada zdanie, że idee ekonomiczne są odzwierciedleniem stanu społecznego i streszczają mniéj lub więcéj świadomie jego potrzeby, jednak na praktyce bardzo mało uwzględnia tę prawdę. Trzyma się tego gruntu jako tako przy rozpatrywaniu dok-

---

[1]) Prof. H. Struve zwrócił moją uwagę na *petitio principii* zawarte w tym zarzucie: ażeby twierdzić, że Kant kazał całemu światu obracać się wokoło mego ja, należało poprzednio dowieść, że ten świat jest nieskończonością, albo że nawet wogóle istnieje niezależnie od jaźni, a to właśnie stanowi zadanie.

tryn starożytnych i nieco przy średniowiecznych; lecz w miarę tego, jak zbliża się ku czasom nowożytnym, podkład życiowy znika i doktryny poczynają prowadzić żywot samodzielny. Zresztą dodajmy, są one przedstawione nader pobieżnie, a niekiedy z zupełną nieznajomością rzeczy. Moglibyśmy wskazać wypadki, gdzie autor czerpie zdanie swoje o tym lub innym autorze z drugiéj, a nawet z trzeciéj ręki. Wogóle książka Espinasa niczem nie wzbogaca wiedzy ekonomicznéj. Nawet przychylni mu krytycy francuscy (np. *Revue d'économie politique*), przyznając pracy téj pewne zalety, z naciskiem podnieśli zbyt często przebijającą u autora niedostateczną znajomość przedmiotu.

L. K.

— **Księga przysłów, sentencyi i wyrazów łacińskich,** używanych przez pisarzów polskich. Zebrał *Leopold Czapiński.* (Z zapomogi Kasy pomocy imienia Józefa Mianowskiego). Warszawa 1892, 8-o str. 524. — Wplatanie przysłów i zwięzłych wyrażeń łacińskich do mowy ojczystéj, praktykowane do dziś jeszcze przez pisarzów i mówców wszystkich oświeconych narodów, jest następstwem panowania przez długie wieki łaciny w charakterze ogólnego języka cywilizacyi i nauki. Zaprzeczyć nie można, że przy wykładzie myśli, w toku zdań i wyrażeń swojskich, w porę użyta sentencya łacińska podnosi wrażenie słowa wypowiedzianego i dodaje mocy wysłowieniu. I w tém też spoczywa głównie przyczyna utrzymania się dotąd zwyczaju używania tych wyrażeń. W literaturach oświeconych narodów istnieją oddawna zbiory owych zwięzłych, dobitnych sentencyi łacińskich, w mowie literackiéj, a nawet codziennéj świadomie stosowanych. U nas zbioru takiego brakowało. Dopiéro teraz potrzebie téj uczynił zadość p. Czapiński, wydając swoją „Księgę.“ Zawiéra ona obszerny zbiór przysłów i sentencyi łacińskich, spotykanych w pismach polskich różnych epok, przeważnie zaś u pisarzów bieżącego stulecia. Przysłowia te podane są w porządku abecadłowym i każde z nich opatrzone przekładem polskim; przy wielu zaś autor wyjaśnił źródło ich pochodzenia, przytaczając pisarza rzymskiego, do którego wyrażenie owo należy; a następnie do każdego prawie dodał ustęp z pisarzów polskich, nieraz dwa i więcéj, wyjaśniających znaczenie i użycie tegoż przysłowia. Tym sposobem wielka obfitość sentencyi łacińskich, zebranych z dzieł polskich, staje się w opracowaniu pana Czapińskiego dla szerszego ogółu przystępną i zrozumiałą. Czytelnik w księdze téj spotka co krok jakąś prawdę zwięźle wypowiedzianą; czy filozoficzną, czy historyczną, już to samą przez się głęboką,

już też do głębszego myślenia pobudzającą. Wskutek tego dzieło pana Czapińskiego zaliczyć należy do prac poważnych i niezaprzeczenie pożytecznych. W szczegółach samego opracowania tu i owdzie możnaby wykazać pewne niedokładności lub niedopatrzenia; są one jednak niezbyt ważne i nieliczne i wartości dzieła nie obniżają. Szkoda tylko, że autor nie przydał na końcu książki skorowidza samych przysłów łacińskich w porządku abecadłowym, jak to mają dzieła tego rodzaju niemieckie, francuskie i inne; jak np. zbiór francuski Larousse'a p. t. „Flore latine.“ Że wykazy takie podnoszą wartość praktyczną dzieł podobnych, rzeczą jest dobrze znaną. Byłoby więc pożądaném widzieć i w księdze p. Czapińskiego taki skorowidz; a natomiast, aby nie powiększać objętości dzieła, w tekście samym niektóre zbyt obszerne ustępy z pisarzów dałyby się sprowadzić do rozmiarów szczuplejszych. *A. A. Kr.*





KRONIKA MIESIĘCZNA.

Kolejka lubelska.—Emigracya żydów. — Muzeum rzemieślnicze. — Wystawa wiedeńska.—Instytut głuchoniemych. — Mowa Amicisa i wakacye.—Awanse na kolejach. — Cyrkularz do przemysłowców łódzkich. — Towarzystwo wioślarskie. — Konkurs dramatyczny.

Kiedy przed trzema miesiącami pisaliśmy na tém miejscu o organizacyi „szantażu“ w Lublinie, o stowarzyszeniu młodych ludzi, które pod nazwą „Fortuna“, zamierzało teroryzować miasto i okolicę przez ogłaszanie tajemnic, lub téż przez wymuszanie datków za milczenie, nie przypuszczaliśmy, że znów w tak krótkim czasie w tym samym Lublinie sądzona będzie wielka banda łotrowska, posiadająca dość skomplikowaną organizacyą, z przywódcami na czele. Proces téj szajki, zwanéj „kolejką“, odbył się właśnie niedawno przed sądem okręgowym.

Początek jéj sięga wstecz lat siedmiu. Wtenczas już po Lublinie obiegały pogłoski, że pomiędzy żydami tamtejszymi powstała organizacya złodziejska z przywódcami, starszymi członkami, praktykantami i szkołą, w której pod nadzorem starszych kształcili się w rzemiośle złodziejskiém chłopcy nieletni. Przestępcy połączyli się, jak proces wyjaśnił, w karną całość, bo solidarność zapewniała im większą rękojmię bezpieczeństwa, większe łupy i zyski, niż przy „działaniu“ pojedyńczém.

Miejscowi mieszkańcy poczuli wkrótce na sobie skutki téj solidarności. Kradzieże stały się bardzo częste, a odkrycie winowajców bardzo trudne. Na swoich współwyznawców i innych mieszkańców nakładała banda kontrybucyę, to jest opłatę pewnych kwot. Powtó-

rzyło się zresztą to samo, co się dzieje wszędzie i zawsze, przy tajnéj organizacyi takich ohydnych stowarzyszeń: mieszkańcy w ciszy i bojaźni znosili ucisk, obawiając się pomsty.

Nareszcie podanie, opatrzone 100 przeszło podpisami kupców lubelskich, żądające opieki nad swém mieniem i zdrowiem, wniesione do naczelnika żandarmeryi, wywołało energiczne śledztwo policyi i władzy sądowéj. W lecie roku ubiegłego aresztowano przeszło 80 osób; do odpowiedzialności pociągnięto 48.

Sprawozdawcy opowiadają o przygnębiającém wrażeniu, jakie wywierali oskarżeni, kiedy konwojowano ich z więzienia do sądu: liczna hałastra, przyjaźnie dla szajki usposobiona, towarzyszyła jéj stale. Oskarżeni, o cynicznych, typowo-złodziejskich twarzach, nie zdradzali przerażenia, ani zdziwienia. Zresztą z formalnościami sądowemi byli obeznani.

Odważniejsi świadkowie charakteryzowali ustrój i działalność bandy. Przywódcy kierowali wszystkiém, sprawowali czynności wywiadowcze, wskazywali gdzie i kiedy kogo okraść i jak postępować, ażeby uniknąć odpowiedzialności. Banda miała wykonawcę swoich wyroków, jeżeli kto był skazany na pobicie lub kalectwo. Miała także paserów, którym sprzedawała przedmioty skradzione, miała swoje punkty zborne i własną gospodę o kilku wyjściach dla łatwiejszéj ucieczki w razie niebezpieczeństwa.

Nazwisk oskarżonych i kar, przez wyrok sądowy ogłoszonych, nie przytaczamy.

Taką była w krótkiéj treści organizacya i działalność „kolejki“ złodziejskiéj w Lublinie.

Zjawisko, niestety, bardzo smutne. Co do „kolejki“ lubelskiéj, to jéj zawiązek i organizacyą starano się wytłómaczyć obyczajowo-etyczną odrębnością żydów.

Niższe, nieoświecone warstwy żydowskie—mówiono—ze swojém zupełnie odrębném życiem, odrębnemi obyczajami i odrębną moralnością, umożliwiły właśnie powstanie w ludném mieście, takiego stowarzyszenia, jak „kolejka“. W tradycyach niższych warstw ludności miejscowéj, w jéj wyobrażeniach i sposobie bytu nie byłoby z pewnością potrzebnego do tego materyału.

Jeżeli w prowincyach południowych Włoch—mówiono—pomimo wszystkich instytucyi nowożytnego państwa, dotychczas sądownictwo i żandarmerya toczą walkę z „mafią“, któréj wytępić nie mogą — to odwieczne zwyczaje tych prowincyi i wyobrażenia krajowców sprzyjają takim zbrodniczym stowarzyszeniom. Lecz u nas wszystkie to

okoliczności są inne i szajki podobne mogą być tylko wytworem żydowskim. Tak objaśniano ten potwór karny, zwany „kolejką“.

Nie możemy przyłączyć się bezwzględnie do téj opinii, choćby dlatego, że zaprzeczają jéj akta sądowe.

Przed kilku laty, o ile pamiętamy, w gubernii łomżyńskiéj grasowała banda łotrów, która dopuszczała się rabunków, kradzieży i krwawych nawet gwałtów, uorganizowana także podobnie z przywódcami i wykonawcami. Spokojowi i dobytkowi mieszkańców zagrażała ona w sposób groźniejszy, niż „kolejka“ lubelska. Otóż szajka ta składała się nietylko z żydów, ale i z chrześcian. Żadne plemię, ani żadne wyznanie nie ma monopolu, ani na zbrodnię, ani na cnotę, ani na dobroczynną, ani na występną organizacyą. Może mieć tylko mniéj lub więcéj sposobności, mniéj lub więcéj warunków, tym cnotom, lub zbrodniom sprzyjających.

Wychodząc z takiego punktu zapatrywania, wyznajemy jednak, że proces lubelski rzuca ponure światło na ciemną masę żydowską.

Niepodobna było bez uczucia głębokiéj odrazy czytać opisu wszystkich sposobów, jakiemi kolejka teroryzowała ludność. Znęcanie się, dręczenie fizyczne, były na porządku dziennym. Nie dziw téż, że wobec takich objawów, niechęć ludności miejscowéj do masy żydowskiéj jeszcze wzrastać może.

Jeżeli żydzi są rzeczywiście tak sprytném i solidarném społeczeństwem, za jakie są pospolicie poczytywani, jeżeli wpływ poważnych lub zamożnych jednostek między nimi sięga tak daleko, jak utrzymują, to ten właśnie zmysł solidarności skłaniać ich powinien do wpływania w odpowiednim duchu na swoich współwyznawców. Za uwagi takie, ze szczeréj tylko intencyi po chodzące, gniewać i oburzać się także nie należy. Są rzeczy zbyt jawne, zbyt dotkliwe, zbyt jaskrawo rzucające się w oczy, ażeby o nich przy największém nawet uczuciu tolerancyi milczéć można. Do takich należał właśnie proces „kolejki“ w Lublinie, a bardzo ujemnego jego znaczenia nie osłabiłoby ani milczenie, ani największa tolerancya, która tutaj nic do czynienia miéć nie mogła.

W zeszłym miesiącu pisaliśmy o kolonizacyi żydowskiéj w Ameryce. Obecnie po ogłoszeniu w „Gońcu Urzędowym“ Najwyżéj zatwierdzonéj w tym względzie opinii komitetu ministrów, wiemy już o ulgach i ułatwieniach, które stosowane będą do żydów, pragnących emigrować do Ameryki.

W końcu r. z. utworzyło się w Londynie akcyjne „Towarzystwo kolonizacyi żydowskiéj“, z kapitałem zakładowym 50 mil. franków, z zadaniem ułatwienia współwyznawcom swoim emigracyi z Europy

do Ameryki, zakładania tam kolonii i t. d. W tym celu główny akcyonaryusz i prezes rady Towarzystwa, bankier Hirsch, ofiarował stowarzyszeniu 25 tysięcy hektarów ziemi, nabytych w prowincyi Buenos-Ayres, w rzeczypospolitéj argentyńskiéj. Przestrzeń ta obecnie już jest zaludniona. Dla dalszego więc rozwoju kolonii, Towarzystwo nabyło przeszło 3½ miliona hektarów w téj saméj rzeczypospolitéj. Oprócz tego, Towarzystwo zamierza jeszcze rozszerzyć kolonizacyą do Brazylii, Meksyku i Kanady.

Dla zaczęcia działalności Towarzystwa w Rosyi, Hirsch poczynił kroki celem uzyskania od rządu pozwolenia na założenie centralnego komitetu emigracyjnego w Petersburgu i lokalnych komitetów w znaczniejszych miastach, które być mają organami wykonawczemi głównego. Według propozycyi Hirscha, Towarzystwo może w przeciągu lat 25 ułatwić emigracyę 3,250,000 żydów; działalność ma być zaczęta już w r. b.

Na skutek powyższych starań, komitet ministrów zezwolił, jak zaznaczyliśmy, na działalność Towarzystwa pod warunkiem, aby podlegała ścisłéj kontroli ministeryum spraw wewnętrznych. Członkowie komitetów będą zatwierdzani przez ministra, komitety lokalne zależéć będą od gubernatorów, i nareszcie sama działalność Towarzystwa może być przerwaną, jeżeli w przeciągu lat 2-ch nie wykaże oczekiwanego rozwoju.

Współdziałanie rządu z Towarzystwem kolonizacyjném polegać będzie na następujących ulgach dla emigrantów: otrzymają oni bezpłatne paszporty emigracyjne, oswobodzeni zostaną od powinności wojskowéj, pod warunkiem, ażeby wyjechali z państwa przed dniem poboru. Emigranci, którzy korzystali z pośrednictwa Towarzystwa i ulg, uważani będą za opuszczających granicę państwa na zawsze.

Ponieważ zdarzyć się może, że emigranci nie zostaną przyjęci do obywatelstwa żadnego innego państwa i wrócą do kraju, jako poddani ruscy, więc Towarzystwo kolonizacyjne obowiązaném zostało do złożenia w Banku państwa 100,000 rs. dla pokrycia możliwych z powyższego powodu rozchodów. Gubernatorowie nareszcie otrzymają instrukcye, jaki rozciągnąć należy nadzór nad czynnościami komitetów emigracyjnych.

Tak stoi obecnie sprawa kolonizacyi żydowskiéj, stwierdzona urzędownie, i żadnéj już wątpliwości ani zamiary Hirscha, ani współdziałanie rządowe ulegać nie mogą.

Ażeby oznaczona przez Hirscha liczba emigrantów w przeciągu lat 25-ciu mogła wyjechać do Ameryki, trzeba, ażeby przeciętna liczba emigrantów rocznych wynosiła 130,000. Nie wiemy naturalnie, czy

emigracya przyjmie tak wielkie rozmiary; lecz choćby wyjeżdżała tylko połowa téj liczby, to wobec szybkiego wzrostu ludności chrześciańskiéj dzisiejszy stosunek i tak znakomitéj ulegnie redukcyi.

Teraz więc powiedzieć możemy, że uczyniono pierwszy ważny krok do pozytywnego rozwiązania kwestyi żydowskiéj. Z nieskończonych, bardzo nieraz zaciekłych rozpraw i dyskusyi, z platonicznych pragnień, przechodzi to rozwiązanie na grunt realny. Pożądaném byłoby bardzo, ażeby wszyscy, w taki lub inny sposób w téj sprawie zainteresowani, zrozumieli istotną ważność tego nowego zwrotu kwestyi żydowskiéj.

Niewątpliwie, że żadna inna z współczesnych emigracyi za morze, a widzieliśmy z nich już tak wiele, nie ma tak sprzyjających warunków, jak żydowska. Każda była ryzykiem, grą z niepewną przyszłością, walką z odmiennemi i ciężkiemi warunkami. Ta, przeciwnie, jest wsparta przez państwo, wielkie kapitały i wielkie inteligencye. Nie jest interesem przedsiębiorców, lecz dziełem filantropów i mężów stanu. Emigrant żydowski wyjeżdża z państwa, nie ścigany przez władze policyjne: przeciwnie — one mu wyjazd ułatwią. Państwo daje mu wielki przywiléj, uwalniając od służby wojskowéj, tak dla niego uciążliwéj. Nie stanie się ofiarą agenta emigracyjnego, jak inni, którzy zostali po prostu sprzedani plantatorowi kawy lub bawełny, lecz przeciwnie — otrzyma zaraz na miejscu bilet bezpłatnéj podróży, pieniądze na żywność i wszystkie informacye od dobrze świadomego, umyślnie w tym celu założonego komitetu. Na miejscu nie czeka go tułaczka, wyzysk i wszystkie koleje niepewnego losu, lecz przeciwnie—gotowy warsztat rolny lub rzemieślniczy, produkcyjna praca, ci sami współplemieńcy, z którymi żył tutaj, ten sam język, obyczaj, i modlitwa, znane mu cechy obcowania społecznego i towarzyskiego, co wszystko jest rzeczą tak ważną, co stanowi prawie moralną istotę ludzką, co uwalnia od rozpaczy i tęsknoty. Czekają go te wielkie i żyzne łany Ameryki, które w czterech ostatnich wiekach były prawdziwą ziemią obiecaną dla ludów staréj, przepełnionéj Europy. I tylko koniecznie należy zabrać tam z sobą ducha przedsiębiorczości. Tego rasie semickiéj, zdaje się, nie brakuje, o tolerancyę nieco trudniéj. Ale ten kraj swobody jest krajem tolerancyi, bo jedna wynika z drugiéj. Byłoby dobrze o téj wielkiéj cnocie pamiętać emigrantom żydowskim.

Kolonie Hirscha w Ameryce — to przestworza światła i powietrza, w porównaniu z dzisiejszém zacieśnieniem.

Zimą pisaliśmy o Muzeum rzemieślniczém, którego organizacya uzykała zatwierdzenie władzy. Muzeum powstało, jak wiadomo,

z ofiar prywatnych, dzięki zwłaszcza znaczniejszéj ofierze jednego z kapitalistów i pozostaje pod opieką oddziału Towarzystwa przemysłu i handlu.

Ponieważ prace, do urządzenia Muzeum zmierzające, posunęły się znacznie naprzód, więc wspomnieć o nich należy.

Zaznaczmy więc najprzód, że pierwszą czynnością było sformowanie komitetu muzealnego. Skład tego komitetu stanowią: przewodniczący p. Władysław Kiślański, jego zastępca p. Stanisław Rotwand, kasyer p. Mieczysław Pfeiffer, sekretarz p. Stefan Szyller.

Co do dokonanych już czynności przez tak uorganizowany zarząd muzealny, to pierwszą było wypracowanie projektu sal rysunkowych i kopii.

Jest-to jedno z najważniejszych zadań Muzeum.

Komisya, w tym celu wyznaczona, przekonawszy się, że sala, przy Muzeum przemysłu i rolnictwa istniejąca, zadaniom nauki rysunków nie odpowiada, wypracowała nowy statut.

Nie będziemy go tu przytaczać, a zaznajomimy się tylko pokrótce z zaprojektowanym przez komisyę planem i metodą kształcenia rzemieślników w rysunkach. Sala rysunków i kopii powinna dać rzemieślnikowi możność systematycznego wykształcenia się w rysunku, oraz służyć za miejsce zdejmowania szkiców według wzorów i modeli w tym celu zebranych. Dla tego drugiego celu będą płatni specyaliści udzielać objaśnień. Do sali będzie mógł uczęszczać każdy za ustanowioną opłatą. Niezamożni, lecz zdolni rzemieślnicy, będą uwalniani od opłaty. Sala ma zostać zaopatrzoną w podręczniki, dykcyonarze i encyklopedye potrzebne do nauki rzemiosł i sztuki stosowanéj w związku z przedmiotem będącéj.

Statut opracował p. Szyller a budżet wygotował p. Dickstein. Z obliczeń budżetowych dowiadujemy się, że koszt utrzymania sali, wynagrodzenie przewodników, światło, usługa i t. d. wyniosą rocznie 1500 rub. Dochód z kart wejścia, projektując opłatę roczną 6 rub. od osoby, może wynieść 900 rub., a deficyt pokryć będzie trzeba z ogólnych dochodów Muzeum. Jednorazowy zakup utensyliów pociągnie za sobą wydatek około 1000 rub., które zaczerpnięte zostaną z kapitału zakładowego.

Ten statut, plan urządzenia sali i budżet zostały przez komitet muzealny zatwierdzone i w jesieni sale rysunkowe mają być otwarte.

Kompetencya ludzi, którzy plan pierwszych czynności Muzeum przygotowali, jest rękojmią, że został on obmyślony dobrze i względnie do posiadanych środków wykonalnie. Otwarcie sali rysunkowéj

będzie krokiem wcielenia w życie tak bardzo potrzebnego i gorąco zalecanego Muzeum rzemieślniczego. Oby tylko zajęcie się tą instytucyą w ogóle interesowanych było istotne, należycie kierowane i podtrzymywane.

Drugi miesiąc upływa od otwarcia wystawy teatralno-muzycznéj w Wiedniu. O przedstawieniach, zabawach, artystach i gościach na téj międzynarodowéj wystawie czytamy codziennie korespondencye w gazetach. Nie o to nam jednak chodzi.

Dla zebrania i wystawienia pamiątek, muzycznéj i teatralnéj naszéj sztuki się tyczących, oraz dla zaprodukowania utworów dramatycznych i muzykalnych, zawiązał się w Wiedniu specyalny komitet, który od kilku miesięcy o sobie przypominał publiczności. Gazety warszawskie donosiły o każdém poruszeniu komitetu. Artyści nasi, z których tak wielu posiada europejską sławę, mieli zaprezentować sztukę naszą w Wiedniu, a na wystawie miały być zgromadzone pamiątki po sławnych kompozytorach i autorach — słowem historya sztuki, poglądowo przedstawiona.

Wszystko to miało być a nie będzie nic. Ani sztuk teatralnych, ani koncertów nie będzie, a co do pamiątek, to historyę i stan obecny muzyki i teatru naszego przedstawiają na wystawie wiedeńskiéj fotografie w kilkunastu pozach jakiegoś drugorzędnego aktora krakowskiego i kilka niedbale, na chybił trafił zebranych pamiątek po Szopenie.

Tak się przedstawiają zasługi komitetu, powołanego do urządzenia działu sztuki naszéj na wystawie wiedeńskiéj.

Dzisiaj jest to już fakt dokonany, a właściwie nic się nie dokonało i nie dokona. Każda krytyka jest jednak w tém nieszczęśliwém położeniu, że sądzić musi i może dopiéro fakty dokonane. Kto jest osobiście winien — nie wiemy, bo składu komitetu wiedeńskiego nie znamy, a z odległości o takich rzeczach dokładnie sądzić trudno.

Możemy jednak sądzić z porównania. Czesi, jak wiadomo, zaprezentowali się na wystawie wiedeńskiéj bardzo poważnie, wywarli lepsze wrażenie na widzach, aniżeli Niemcy i Francuzi, a przecież w wystawie brał udział tylko jeden ich teatr z Pragi. U nas po dużym ruchu, po wielkiéj ilości zadrukowanego pomysłami, zapowiedziami i pertraktacyami papiéru, śladu nie zostanie.

P. Kazimierz Zalewski w „Wieku“ napisał bardzo ostrą, choć słuszną i dobrze motywowaną krytykę całéj działalności komitetu. Czytamy w niéj:

„Po korespondencyach, listach, tysiącznych naradach i ogłoszeniach w gazetach, pojawia się w „Kuryerze Warszawskim“ korespondencya z tego samego źródła, widocznie silnie autoryzowanego, które już dytyramby na cześć komitetu od pół roku *urbi et orbi* szerzy, z któréj to korespondencyi dowiadujemy się, że z przedstawień polskich na wystawie nic nie będzie, bo Czesi do swoich dołożyli, a gdy na polskie przedstawienia funduszu do pokrycia ewentualnych strat nie ma, więc komitet się od nich cofa, uważając, że i tak zadanie swoje dostatecznie wypełnił, że zrobił wszystko, co mógł zrobić. Z tego ostatniego aktu komedyi doprawdy naśmiać by się można, gdyby nie był w gruncie rzeczy tak smutnym i przykrym dla nas. Ten komitet, oświadczający przez upoważnionego korespondenta, że wprawdzie zawiązał się po coś, ale sam nie wié po co, że miał urządzić jakąś wystawę, ale jéj nie urządził, a właściwie skompromitował się tylko nagromadzaniem jakichś okazów bez planu i wartości, że wreszcie miał zrobić coś, a nie zrobiwszy nic, twierdzi jeszcze, że zrobił, co mógł, to już jest szczyt komizmu.“

Co do nas, nie podnosimy wcale tego faktu do znaczenia klęski społecznéj. Lecz jest to w każdym razie zawód artystyczny, bardzo nieprzyjemny.

Warszawa posiada dobrą instytucyę pedagogiczną, którą przed światem chlubić się może. To Instytut głuchoniemych i ociemniałych.

Należy wspomnieć teraz o nim z tém większém uznaniem, że mija lat 75 od założenia oddziału głuchoniemych, a 50 — niewidomych. Ma téż wyjść pod koniec r. b. Pamiętnik jubileuszowy Instytutu.

Popis przy zakończeniu roku szkolnego w z. miesiącu był więc wydatniejszą uroczystością. Z przemowy dyrektora Instytutu, dowiedzieliśmy się, że roczny budżet wynosił 64 tysiące rub. Rok ubiegły był pomyślny dla zakładu, bo został on obdarzony zapisem na przeszło 40 tysięcy rub., a oprócz tego zasiłek rządowy wynosił przeszło 3,000 rub. jednorozowéj zapomogi. Dyrektor zakładu przypuszcza, że mieszkańcy odleglejszéj prowincyi nie wiedzą o istnieniu zakładu: w przeciwnym razie zapisów byłoby więcéj. Instytut razem z oddziałem przy ulicy Piwnéj liczył 235 wychowańców i wychowanek; w téj liczbie niewidomych 34. Stosunek ten jednak nie wskazuje bynajmniéj—zdaniem dyrektora — ażeby pierwszych w kraju było więcéj, niż drugich; znaczy to tylko, że rodzice chętniéj oddają do zakładów dzieci głuchonieme, niż ślepe; z nieszczęścia tych ostatnich niektórzy ciągną zyski w postaci żebraniny. Do Instytutu przyjmowani są wszyscy niewidomi od lat 8—15, głuchoniemi od 8—13.

Popis Instytutu wywiera zawsze na obecnych szlachetne wrażenie. Cierpliwość i umiejętność ludzka, która umié w tych nieszczęśliwych, obudzić inteligencyę, wykształcić ich pomimo braku tak ważnych zmysłów, moralnie i fachowo, zasługuje na wdzięczność wszystkich dobrych ludzi. Instytut posiadał głośnych nauczycieli, że wymienimy tylko ks. Szczygielskiego i Papłońskiego, których umiejętność i imię sięgały poza granice kraju. Nie łatwo podobno obecnie przychodzi kompletować skład nauczycielski; nauczyciel musi posiadać tyle cierpliwości i odrębnego nawet talentu nauczania. Z tém wszystkiém Instytut stoi jednak na dawnéj, zasłużonéj stopie i niewątpliwie utrzymać się na niéj zapewne potrafi.

Przy zakończeniu roku szkolnego we Włoszech głośny pisarz, Edmund Amicis, wypowiedział w Turynie mowę do młodzieży. Na mowę tę zwróciła uwagę cała poważna prasa europejska, a z dzienników naszych „Kuryer Warszawski“ przedrukował ją w całości. Zasługuje ona bardzo na uwagę: jest jasną, głęboką i wzniosłą Znakomity autor wskazał, jakby należało przemawiać do młodzieży, uczyć ją bez pedantyzmu, uszlachetniać bez surowości. Amicis przemawiał do poczucia serca, wyobrażenia ludzkości i wielkości.

„Cóż wam mogę powiedziéć — rzekł — jeżeli nie to co mówią do was co roku, co mówimy wam wszyscy w szkole i w domu i co się mówi od wieków, dziatwie wszystkich krajów? Mówią wam: „uczcie się,“ mówią wam: „bądźcie dobrymi.“

„Uczcie się“ — mówię wam, ponieważ wszystkie pojęcia, jakie utrwalają się teraz w waszym mózgu, tworzą jakby osnowę, na któréj będziecie musieli późniéj tkać przędzę nauk wyższych; ponieważ wesoła miłość szkoły w dzieciństwie tworzy w młodości ten zapał do nauk, który staje się kultem wiedzy w wieku dojrzałym; ponieważ są to lata niepowrotne, w których sami stanowicie o swojéj przyszłości, ponieważ droga życia niczém innćm nie jest, jak tylko rozszerzoną ścieżką szkoły.“

Zarówno wymownie i powabnie zaleca Amicis młodzieży dobroć, bez któréj „wykształcenie umysłowe jest tylko pięknym płaszczem, rzuconym na samolubstwo i pychę.“

„Wielki pisarz naszych czasów — mówił — który napełnił świat swojém imieniem, zdając sprawę ze swojego długiego, bo 84-letniego żywota i wspomniawszy o królach i cesarzach, o wielkich mężach nauki i stanu, generałach, artystach, wyrobnikach, ludziach wszelkich stanowisk i wszelkiéj krwi, którzy kiedykolwiek odwiedzili dom jego, zakończył temi słowy, które były niejako testamentem jego mądrości: „Gdy zobaczyłem wszystkich tych ludzi, przesuwających się prze-

demną, przekonałem się, że jest pod słońcem jedna rzecz tylko, przed którą musimy schylić czoło: geniusz, że jest jedna rzecz tylko, przed którą musimy uklęknąć: dobroć.“

Z rzewną i przekonywającą wymową dowodził Amicis, jak dobroć kształci sumienie, jak urabia charakter, jak wpływa na otoczenie, jak uczy wdzięczności i współczucia, jak po upływie długiego czasu jest najświatlejszém wspomnieniem, zostawioném człowiekowi przez życie.

Piękna nauka moralna, jaką wygłosił Amicis do młodzieży włoskiéj, nie zamyka się wyłącznie w obrębie pedagogicznym. Tak prosta, a tak głęboka, zwrócona do dzieci, a sięgająca do wielkich zadań człowieczeństwa, przemawia słowami wszechludzkiéj miłości braterskiéj.

„Uczcie się chętnie, czcijcie rodziców, szanujcie szkołę, poważajcie pracę, tłumcie w głębi waszych szlachetnych dusz zaledwie kiełkującą nierozsądną i niegodną dumę, która zasadza się na przywilejach bogactwa, zazdrośćcie jedynie duszom wielkim, lgnijcie tylko do dusz pięknych; gardźcie, brzydźcie się lenistwem, sobkowstwem, zepsuciem i niesprawiedliwością, na jakiejkolwiek znajdowałyby się wysokości i jakąkolwiek pokrywałyby się maską: zacznijcie od dnia dzisiejszego pomiędzy sobą być opiekunami słabych i przyjaciółmi nieszczęśliwych i kochajcie się jak bracia, ponieważ braćmi jesteście potrójnie: w małéj rodzinie szkolnéj, w wielkiéj rodzinie kraju i w olbrzymiéj rodzinie ludzkości, którą powinniśmy objąć całą, jak jest wielka, w szlachetnym uścisku nadziei i miłości.“

Cywilizacyę pojmują i łączą obecnie tak często jedynie z wygodami i rozkoszami materyalnemi, z zadowoleniem własnych, nizkich namiętności i ciasnych interesów. Amicis pojmuje i tłómaczy ją inaczéj. Dla niego cywilizacya jest przedstawicielką najdroższych interesów ludzkości, walką o szczęście i byt dla wszystkich.

„Już wstaje — mówi — na widnokręgu jutrzenka dwudziestego stulecia. To wasz wiek, dzieci! Idźcie na jego spotkanie, jak armia wesoła i nieustraszona. My, co z sercem wzruszoném składamy wam życzenia pożegnalne, pragniemy jedynie po to tylko żyć dłużéj, aby pocieszać was w pierwszych waszych boleściach, błogosławić pierwszym waszym zwycięstwom i witać tryumfujący rownież za waszą sprawą sztandar cywilizacyi, który oddamy w ręce wasze wsławiony przez ducha i poświęcenie minionych pokoleń.“

Przyjemnie i pożytecznie jest z tak daleka nawet wysłuchać tych słów, tchnących prawdą, szczerością i przekonaniem. Górującym tonem w téj mowie było poczucie ludzkości, wyzwolone z pęt przesą-

dów plemiennych. Czytając ją, zapominamy zupełnie o narodowości mówcy. Czujemy, że tak mówić może tylko człowiek, godzien téj nazwy w najszlachetniejszém jéj znaczeniu. I w epoce brutalnéj walki na pięści i noże dobroczynnym mógłby być wpływ tych słów ewangelii nowożytnéj, ewangelii świeckiéj, która schodzi się z ewangelią religijną na gruncie moralności, dobroci i pracy, gdybyśmy ją częściéj słyszeli.

„Kanikuła“ już dochodzi do kulminacyjnego punktu. U nas nie powiedział nikt wprawdzie zarówno pięknéj i podniosłéj etycznie mowy, jak Amicis, lecz zrobiono względnie dużo dla młodzieży, potrzebującéj wytchnienia na świeżém powietrzu. Instytucya kolonii letnich, dzięki energii swego komitetu i ofiarności ogółu, wysłała wszystkich prawie kandydatów na wieś. Młodzież szkolna używa wczasu.

Wiadomo, że obecnie wielu z kompetentnych pedagogów zaleca. ażeby ferye szkolne były poświęcone wyłącznie odpoczynkowi, ruchowi i rozrywkom, ażeby nie tylko nie przymuszać, lecz nawet wzbraniać młodzieży powtarzania lub przygotowywania kursów szkolnych. Ani koniugacyi, ani deklinacyi, ani powalania nawet palców atramentem — mówią. Wakacye powinny był zupełnym wypoczynkiem dla zmęczonego umysłu dziecka. Niech mają czas wzmocnić się wygięte przez długie miesiące nad ławą piersi, niech się kształci, skuta gramatyką wyobraźnia. Wyobraźnia jest wielkim czynnikiem w rozwoju umysłu i charakteru, o któréj bardzo zapomniał europejski, suchy system szkolny.

O ile wiemy, rodzice, opiekunowie i pedagogowie - rutyniści w bardzo przeważającéj części nie pogodzili się wcale dotychczas z temi swobodniejszemi zapatrywaniami na naturę dziecka i system nauczania. Oni, podobnie, jak Amicis, powtarzają pupilom swoim ustawicznie: „Uczcie się, uczcie się!“ Tylko, że Amicis swoje: „uczcie się“ interpretuje inaczéj, a oni inaczéj. On, jak przekonaliśmy się z jego przemowy, wołając: uczcie się, zachęca do tego „szczerego zapału do nauki, który staje się kultem wiedzy w wieku dojrzałym,“ do skupienia się około sztandaru cywilizacyi. Oni, powtarzając: „uczcie się“ baczą i pilnują przedewszystkiém, ażeby ich syn lub wychowaniec przesiedział możliwie długą liczbę godzin nad książką. Spotkaliśmy się także niedawno w prasie ze zdaniem, ażeby w okresie wakacyi młodzież nie zaniedbywała nauki, ażeby „się uczyła.“ Jesteśmy zdania, że wobec panującéj u nas przeważnie metody rodzicielsko-pedagogicznéj napomnienie to jest zbyteczne. Przeciwnie — przemawiajmy raczéj za wytchnieniem młodzieży w okresie wakacyjnym.

Podobno w żadnym innym kierunku pracy ludzkiéj, w żadnéj nauce, postęp nie jest tak powolnym, a rutyna tak trwałą, jak w pedagogice. Nie należy więc wzmacniać jéj jeszcze. Jeżeli, jak kompetentni znawcy rzeczy powszechnie utrzymują, młodzież gimnazyalna w szkołach europejskich jest nadmiernie przeciążona materyałem gramatycznym, którego przetrawić bez szkody dla samodzielnego rozwoju inteligencyi nie może, to pozwólmy jéj w czasie wakacyi odpocząć przynajmniéj i swobodę wyobraźni odzyskać.

Z gazet dowiadujemy się o pożytecznêm i godnêm wysokiego uznania rozporządzeniu dyrektora kolei nadwiślańskiéj.

Urzędnicy kolejowi narzekali zawsze dotychczas na system protekcyjny. Położone zasługi rzadko powodowały awans w służbie, który dostawał się mniéj zasłużonym, lecz szczęśliwym.

Otóż dyrektor pomienionéj drogi wydał rozporządzenie, aby prowadzona była lista starszeństwa maszynistów i pomocników maszynistów. Służba parowozowa ma być odtąd awansowana systematycznie, według położonych zasług i dla tego będzie zaprowadzona księga stanu służby. Zawiérać ona w sobie będzie wszystko, dotyczące pracownika, a więc: datę urodzenia, stopień wykształcenia, datę otrzymania służby na kolei, pierwszy etat, ilość przebytych wiorst w ciągu roku, nagrody, kary i t. d. Wszystko to posłuży za wskazówkę przy awansowaniu. Jeżeli rozporządzenie to wykonywanêm ściśle będzie, to jest nadzieja, że i inne drogi żelazne pójdą za dobrym przykładem, ku pożytkowi własnemu i swoich pracowników.

Ważny także dla techników krajowych cyrkularz urzędowy otrzymali fabrykanci i przemysłowcy łódzcy. Zaleca on, ażeby technicy, majstrowie i oficyaliści w zakładach łódzkich znali język ruski lub polski i że znajomości tych języków nie posiadający nie mogą na zajmowanych stanowiskach od 1 stycznia r. p. pozostawać. Rozporządzenie to jest aktem sprawiedliwości względem pracowników miejscowych, zależnych od pryncypałów obcego, po większéj części niemieckiego pochodzenia. Niemiecki personel techniczny, w fabrykach łódzkich, nie ma już teraz żadnego usprawiedliwienia, kiedy kraj posiada dostateczną liczbę wykształconych specyalistów własnych. Przemysłowcy i kapitaliści łódzcy, którzy wielkie swoje fortuny w kraju zrobili, powinni byli sami mieć poczucie obowiązku, wskazujące im, że należy dostarczyć pracy ludności krajowéj, że tego wymaga najprostsza, że się tak wyrazimy, handlowa przyzwoitość. Przedsiębiorcy i przemysłowcy francuscy têm się właśnie w obec niemieckich dobrze zalecają, że obsadzają miejsca w zakładach swoich kra-

jowcami. Przemysłowcom łódzkim musiał o tym prostym obowiązku przypomnieć cyrkularz urzędowy.

Towarzystwo wioślarskie w Warszawie obchodziło dziesięciolecie swego istnienia. Zdobyło ono sobie wielką popularność w krótkim czasie, a wycieczki wodne bliższe i dalsze stały się ulubioną rozrywką warszawiaków. Liczba członków towarzystwa wynosi obecnie około 800, a wszystkich, którzy w ciągu trwania w niém uczestniczyli kilka tysięcy. Towarzystwo wioślarskie dobrze się zapisało w pamięci, przyjmując udział i biorąc inicyatywę dobroczynną w wielu celach pożytecznych, a przedewszystkiém w czasie wielkiego wylewu Wisły w r. 1884. Nawiedzona klęską ludność pobrzeża znalazła wtenczas u wioślarzy żywe współczucie, które się wyraziło w czynnéj pomocy.

Na ogłoszony w r. z., po otwarciu przebudowanego Teatru wielkiego, konkurs dramatyczny „Kuryera Warszawskiego“ nadesłano trzydzieści kilka prac. W jesieni dopiéro dowiemy się, jaka praca została zaszczyconą nagrodą i uznaniem sądu konkursowego. Jeżeli obecnie wspominamy o tym konkursie, to dla zaznaczenia, że docinki i aluzye, adresowane już teraz do przyszłego laureata i pisma, które konkurs ogłosiło, uważamy za w wysokim stopniu niewłaściwe. A jednak takie złośliwe uwagi tu i owdzie spotykamy. Zkąd, za co, dla czego? Przecież ofiarodawcą, który tysiąc pięćset rubli na nagrodę konkursową przeznaczył, inna intencya, jak chęć wzbogacenia lub ożywienia literatury dramatycznéj kierować chyba nie mogła.

I jeszcze teraz, po latach sześciu, czytamy tu i owdzie złośliwe apostrofy do konkursu imienia Bogusławskiego i jego laureata, p. Kozłowskiego, kierowane. Jeżeli sąd konkursowy pomylił się, jeżeli autora „Alberta“ nietrafnie pierwszą nagrodą oznaczył — toć przecież dosyć już było czasu do strawienia téj chyby, która ostatecznie o pomstę niebios nie woła. Przestańcie więc sarkać, gorszyć się i potępiać, wy wszyscy owczemi szlaki biegnący sędziowie i arystarchowie.

W teatrach warszawskich zaszły zmiany osobiste. Miejsce prezesa dyrekcyi, jenerała Palicyna, zajął pułkownik Karandiejew. Reżyserem dramatu i komedyi na miejsce pp. Kotarbińskiego i Ładnowskiego został p. Szymanowski.

B. Lut.



SPROSTOWANIA.

(w zeszycie Czerwcowym).

				zamiast		*czytać*
str.	495,	w. 3	od dołu	Grannt	—	Graunt
„	496,	„ 10	od góry	Assluton	—	Assheton
„	497,	„ 11	„ „	Marter	—	charter
„	495,	„ 17	„ „	XVII	—	XVIII
„	497,	„ 4	„ „	wielką	—	nizką
„	498,	„ 19	„ „	nigdy	—	niekiedy
„	„	„ 32	„ „	reszty zaś	—	pozostałości
„	499,	„ 19	od dołu	po latach	—	po 20 latach.

(w zeszycie Lipcowym).

				zamiast		*czytać*
str.	24,	w. 2 i 3	od góry	historyi	—	lustracyi.



Wydawcy: *W. Spasowicz* i *A. Pawiński.* — Redaktor *P. Chmielowski.*

Дозволено Цензурою. Варшава, 27 Іюня 1892 г. — Druk Jana Cotty.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „ATENEUM"

w kwartale II-gim 1892 r.

1. **Łużyce.** Wrażenia z podróży skreślił *Wilhelm Jelski.* Warszawa, nakład Redakcyi tygodnika „Głos", 1892, 8-vo, str. 76.
2. *T. Ribot.* **Filozofia Schopenhauera,** przełożył *J. K. Potocki.* Warszawa, nakład Redakcyi tygodnika „Głos", skład u T. Paprockiego i S-ki, 1892, 8-vo, str. 168.
3. *A. Herzen.* **Zarys psycho-fizyologii** ogólnéj. Przełożył *A. Zassowski.* Warszawa, nakład Redakcyi tygodnika „Głos", 1892, 8-vo, str. 139.
4. **Pomniejsze źródła** do dziejów literatury i cywilizacyi polskiéj w XVI i XVII stulecia, wydał *K. Juliusz Heck.* Zeszyt trzeci. Trzy dzieła Józefa Bartł. Zimorowicza. Stryj, nakład autora, 1891, 8-vo, str. 72.
5. *Robert Buchanan.* **W chwilę po śmierci.** Wędrówka w kraje nieznane. Przełożył z angielskiego *Anatol Krzyżanowski.* Warszawa, nakład T. Paprockiego i S-ki, 1892, 8-vo, str. 146.
6. *Beecher Stowe.* **Podjadki szczęścia rodzinnego.** Przekład z angielskiego. Z przedmową *Estei.* Warszawa, nakład T. Paprockiego i S-ki. 1892, 8-vo, str. 168
7. *Józef Rogosz.* **Grabarze.** Powieść współczesna. Dwie części. Warszawa, nakład T. Paprockiego i S-ki, 1892, 8-vo, str. 259 i 192.
8. **Sprawozdania** komisyi do badania historyi sztuki. Tom V, zeszyt I, folio, str. 48 i XII, z trzema tablicami i rysunkami w tekście.
9. **Rozprawy** Akademii Umiejętności. Wydział matematyczno-przyrodniczy, tom XXIII, 1891, 4-to, str. 406 z 7 tablicami.
10. **Sprawozdania** komisyi językowej Akademii Umiejętności. Tom IV, 1891 r., 4-to str. 384.
11. **Rozprawy** wydziału filologicznego Akademii Umiejętności, tom XV. 1891, 8-vo, str 600.
12. **Archiwum** komisyi historycznéj, tom VI, 1891, 4-to, str. 463.
13. **Sprawozdanie** komisyi fizyograficznéj z r. 1890, tom XXVI, r. 1891, 4-to, str. 29, 275 i 245 z dwoma tablicami.
14. **Atlas geologiczny Galicyi.** Zeszyt 4, tablic 5 folio i tekstu stron 63.
15. *Wincenty hr. Łoś.* **Wczorajsi.** Opowiadania i nowele. Serya I. Warszawa, skład główny w księgarni G. Centnerszwera, 1892, 8-vo, str. 78, 98 i 61.
16. *Kucharzewski Feliks.* **Bibliografia** polska techniczno-przemysłowa. Zeszyt 5 (str. 161—200). Warszawa, 1892, 4-to.
17. **Fortuna**. Powieść *Aleksandra Kiellanda.* Tłómaczyła *O. P.* Warszawa, nakład Redakcyi tygodnika „Głos", 1892, 8-vo, str. 226.
18. **Zasady fizyologii.** (Dodatek do „Prawdy"). Kwartał II, 1892.
19. **Sprawozdanie dziesiąte** z czynności komitetu zarządzającego kassą pomocy dla osób pracujących na polu naukowem imienia D-ra Med. Józefa Mianowskiego, za rok 1891, Warszawa, 8-vo, str. 80.

Uprasza się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do redakcyi. O każdéj z nich będzie bezzwłocznie podana krótsza lub dłuższa wzmianka.

